

Marcin Wolski



Ciemna strona lustra



Ciemna strona lustra

© Copyright by Marcin Wolski, 2010
© Copyright for this edition by Centrum Myśli Jana Pawła II,
Warszawa 2010

Redaktor prowadzący
Magdalena Cicha

Redakcja
Renata Lewandowska

Korekta
Weronika Sygowska

Projekt okładki
Anna Kaszuba-Dębska

Projekt typograficzny i skład
PanDawer, www.pandawer.pl

Wydawca
Centrum Myśli Jana Pawła II
Instytucja Kultury m.st. Warszawy
ul. Foksal 11, 00-372 Warszawa
tel. 22 / 826 42 21
www.centrumjip2.pl

ISBN 978-83-60853-01-6

Druk i oprawa
WEMA Wydawnictwo-Poligrafia Sp. z o.o., www.wp-wema.pl

Mojej wnuczce Adzie

Jeżeli chcesz znaleźć źródło,
musisz iść do góry, pod prąd.

Jan Paweł II, Tryptyk rzymski

Książka składa się z dwóch elementów - wymyślonej postaci antybohatera i wszystkiego, co się z nim wiąże (rodzina, najbliżsi współpracownicy), oraz opartej na źródłach i licznych publikacjach autentycznej biografii Karola Wojtyły, wpisanej w historię najnowszej Polski. Prawdziwe są zatem słowa wygłaszane przez papieża, fragmenty jego homilii, a także szczegóły dotyczące jego zdrowia. Na podstawie dokumentów opublikowanych przez IPN przedstawiłem organizację i zabezpieczenia podczas pielgrzymki do ojczyzny w 1987 roku. Obficie korzystałem ze wspomnień innych tudzież własnej niedoskonałej pamięci.

Szczególnie dziękuję za wskazówki prof. dr. hab. n. med. Jerzemu Woy-Wojciechowskiemu, dr. Andrzejowi Drzycimskiemu i dr. Piotrowi Gontarczykowi. Dziękuję też Centrum Myśli Jana Pawła II, bez którego zachęty i inspiracji nie sięgnąłbym po ten fascynujący, choć jednocześnie ryzykowny temat.

Powieść jest dziełem wyobraźni autora, co nie znaczy, że opowiedziana w niej historia nie mogła się wydarzyć.



Marcin Wolski (ur. 1947) – z wykształcenia historyk. Satyryk, prozaik, poeta, felietonista. Twórca audycji radiowej (*60 minut na godzinę*, ZSYP), telewizyjnych (*Polskie ZOO*) oraz kabaretów. Autor ponad 40 książek, m.in. *Na prawe łóżce* i *Noblista*. Wielokrotnie nagradzany za swoją twórczość.

Śniła mu się krew. Dużo krwi. Za dużo, żeby dało się ją wytoczyć z jednego człowieka. Oprócz krwi śniły mu się kawałki ciał, kobiece dłonie i nóżki dziecięce. Nie potrafił powiedzieć, czy pochodziły one z katastrofy w powietrzu czy z wybuchu na ziemi. Bardzo nie chciał na nie patrzeć, ale musiał. Potem obrazy uległy gwałtownej metamorfizie: znajdował się w miejskiej dżungli, nieoczekiwanie utożsamiał się z jakimś snajperem, przeżywał godziny spędzane w kryjówkach na strychach, dachach, gzymsach, w otworach strzelniczych, wypełniane składaniem broni, przymierzaniem się, próbowaniem języka spustowego, czekaniem... Panorama miasta, cień wysokiego budynku. Tylko kto miał być celem? Tego sen nie wyjaśniał. Przechodził zresztą w kolejną fazę. Biegu.

Opisać świętego?

Czy to w ogóle możliwe? Przecież nie ma jednego wizerunku tej postaci, znanej niemal wszystkim współczesnym. Każdy, kto ujrzał go chociaż raz, zachował w pamięci jego portret, minimalnie inny od tego, który zapamiętał stojący obok człowiek.

A gdyby pokusić się o przeanalizowanie źródeł i stworzyć na ich podstawie jeden obraz, pod każdym względem rzetelny, może nawet trochę różny od ideału, ale wyważony i obiektywny?

Tylko jak obiektywizować uczucia? Jak nie popaść z jednej strony w spisywaną na klęczkach hagiografię, a z drugiej - w życiowy banal? I jak uchwycić metafizykę, ów pozarozumowy klimat tajemnicy, którego nie sposób zgłębić? Można, oczywiście, odmalować - najwmierniej jak się da - tło epoki, detale życia codziennego, ale gdy dobiegnie się do punktu kulminacyjnego, czy ręce starczy mocy?

W ostatecznym rozrachunku będzie to opowieść bardziej o nas niż o nim. Na szczęście zawsze cechowało go doskonałe poczucie humoru, mogę więc wyobrazić sobie, jak z wysokości śmieje się z naszych nieudolnych zamiarów, naciągniętych interpretacji i słabości wyobraźni.

Ja się poddałem. Zamiast opisywać dobro, sportretowałem zło. Skoncentrowane zło naszych czasów - podobne do lodowej czarnej bryły, którą przywalono nasze piersi, zdawało się: na zawsze, a której tajanie rozpoczęło się za sprawą cudu. Tak, cudu. Nie znam bowiem właściwszego słowa na określenie tego, co zdarzyło się u schyłku zmarnowanej dekady, co wyprostowało nam karki, ogrzało dusze, ożywiło serca i dało siłę dłoniom.

Dla ilu z nas - maturzystów konformizmu, tubylców PRL-u i *no-lens volens* budowniczych „Drugiej Polski” - biały dym unoszący się nad Kaplicą Sykstyńską tamtego październikowego wieczoru był początkiem innej drogi? Ilu wiatr historii, który powiał na placu Zwycięstwa, pozrywał czapki z głów i klapki z oczu?

Moje pokolenie, poczęte w cieniu Jałty, odbyło daleką podróż. Zrazu nie zdając sobie sprawy z jego obecności, a później...

I jak nie wierzyć w cuda? Okuci w powiciu, ślepi niczym bohaterowie narodowych legend, półżywi jak Adam Mickiewicz „martwą podnieśliśmy powiekę”...

Trudno patrzeć prosto w słońce, dlatego poprowadzę was przez krainę cienia. Mocniej powiem: zstąpimy do strefy mroku, którą o wiele łatwiej opisać. Bo była naszym domem, naszą klatką, naszym doświadczeniem.

I mogła tym pozostać.

CZĘŚĆ I

BLIŹNIAK

I

Coś wisiało w powietrzu. I nie chodzi nawet o jakąś szczególną duchotę - dzień był wprawdzie słoneczny, ale wietrzny - ani o wszechobecne flagi czy ekstremistyczne napisy na wywieszonych płachtach, do których zdążył przywyknąć. Co nie znaczy - je zaakceptować. Przeświadczenie, że coś się musi stać, wydawało się głębsze niż trawiący go od rana kac, który nie ustępował mimo klina, paru tabletek aspiryny i jeszcze jednego klina. Po obiedzie jego organizm nie miał prawa pamiętać o najbardziej nawet forsownej nocy. Nieprzyjemne uczucie pochodziło gdzieś z trzewi - jego źródło znajdowało się dalej niż mostek, niż żołądek. Ten irracjonalny strach przypominał lęk uczniaka, który wie, że lada moment belfer wyrwie go do odpowiedzi i zada najgorsze z możliwych pytań, popłoch człowieka z lasu, który wprawdzie nie słyszy jeszcze kroków wroga, ale już czuje, że ten nadciąga, albo panikę starego czynownika zdającego sobie sprawę, że wypada z łaski. Ale przecież nie groziło mu ani jedno, ani drugie, ani trzecie. Nie teraz. Nie w tym roku! Za kilka dni skończy sześćdziesiąt jeden lat i cieszył się ugruntowaną pozycją. A co do wrogów... Jego obiektywni wrogowie nie wiedzieli nawet o jego istnieniu. Więc co,

u diabła?! Intuicja myliła go rzadko. Zawsze potrafił wyczuć moment, ludzi, a nieliczne pomyłki, które popełniał, mieściły się w granicach błędu statystycznego. Pomyślał o Krystynie. Nie można nazwać ich związku katastrofą. Stanowił on raczej inwestycję, która właśnie osiągnęła krytyczny poziom. A jak w tym bilansie mieścił się Marcin i wymuszona zgoda na jego wyjazd na studia do Londynu, przy dziesięćdziesięciopięcioprocentowym prawdopodobieństwie, że nie wróci? Cóż, świadomie podjął ryzyko. Poza tym czasy się zmieniły. Już nie karano rodziców za dezercję dzieci, a posiadanie krewnych za granicą nie wymagało publicznego składania samokrytyki.

Tylko dlaczego właśnie teraz, na ciężkim kacu, miałby rozważać podobne kwestie? Rzucił okiem na zegarek. Kwadrans po piątej.

- Zatrzymaj się!

Kierowca, pan Rysio, wykonał polecenie, ale odwrócił ku Konradowi swoją głowę - okrągłą, bladawą, podobną do przerośniętego buraka pastewnego - i czekał na dodatkowe instrukcje.

- Przejdę się! - zdecydował pasażer. Jego czerstwa zazwyczaj twarz była blada i pokryta potem.

- Mam jechać za panem? - zapytał szofer.

- Nie trzeba. I nie otwieraj mi drzwi, ludzie patrzą.

Konrad nie lubił się afiszować swoją pozycją. Nie znosił tytułów, a jeszcze bardziej stopni wojskowych. Wolał uchodzić za anonimowego urzędnika państwowego, wobec sąsiadów - brata łąkę; bawiło go, gdy rozmawiał z nimi o zwykłych sprawach, wysłuchiwał bzdur o problemach, które na jego szczeblu rozwiązywało się pstryknięciem palcami.

Wyszedł z łady i miękko zamknął drzwiczki. Do domu - niewielkiej, przedwojennej willi, którą późniejsze ulepszenia pozbawiły modernistycznego wdzięku - miał kilkaset metrów, a przez skwer przy kościele Świętego Stanisława Kostki nawet bliżej.

Wiosna zdążyła wybuchnąć na całego, w żoliborskich ogródkach kwitły bzy i irysy, nie przejmując się prognozami na zimnych ogrodników. Mimo na wskroś pragmatycznego charakteru Konrad zachował wrażliwość na piękno przyrody. Gdy tylko czas mu na to pozwalał, doglądał ogródka na tyłach posesji. Ostatni nawał spraw spowodował jednak, że tego roku nie zdążył przyciąć drzew ani wykarczować uschniętej wiśni. A jeszcze te obowiązki towarzyskie. No i chłanie z Griszą Ostapowiczem - męczące, choć niezbędne. Jak wczoraj. Oficjalnie nazywało się to spotkaniem ze starym przyjacielem, dziennikarzem akredytowanym przez agencję TASS. Tyle że ich wieloletnia znajomość posiadała znacznie więcej poziomów, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Kiedyś utrzymywali swoje spotkania w tajemnicy, teraz Konrad nie musiał się maskować. Nie tylko z nim pijał Griszę, choć nie dla każdego taka rozmowa była równie korzystna jak dla niego. Nie miał przy tym złudzeń - i bez podobnych spotkań towarzysze radzieccy wiedzieli o nas wszystko. Prawie. W każdym razie wrócił tak nawalony, że spadł ze schodów podczas próby wejścia na piętro. Dawno nie zdarzyło mu się coś takiego.

Mniejsza z tym. Gdy tylko dotrze do domu, wykąpie się i zadzwoni do Majki. A może nie zadzwoni. Przy jego dzisiejszej formie istniało niebezpieczeństwo, że spotkanie skończy się kompromitacją.

Majka - przez moment czuł przyjemne rozczulenie - mogłaby być jego córką, przy odrobinie wyobraźni - wnuczką...

Zawsze lubił kobiety dużo młodsze. Tym razem jednak, wdając się w romans z koleżanką swojego syna (a niewykluczone, że przez jakiś czas kimś więcej niż tylko koleżanką), trochę przeholował. „Ale to właśnie dzięki młodym paniom młodziejemy!” - pomyślał.

Minął go jakiś puszczonego samopas piesek, potem dwójka nastolatków, starszawa zakonnica. Nie wierzył w przesady, ale chętnie splunąłby przez lewe ramię. Nawet próbował. Zabrakło mu jednak

śliny. Niebo podejrzanie zakolebało mu się nad głową. Świat wokół zaczął się rozsypywać jak dziecięca układanka. I nie chodziło o zwyczajny zawrót głowy.

- Ach... - skonstatował - więc tak to wygląda.

Tchórzem nie był. I nie bał się śmierci. Doskonale wiedział, że po drugiej stronie niczego nie ma. Ciemność. Koniec. Null! Jeśli nawet odczuwał jakieś obawy, a podobno po ukończeniu trzydziestego piątego roku życia odczuwa je każdy, to dotyczyły one dyskomfortu umierania oraz żalu, że przerwał bieg życia i nie dowie się, co mogłoby się jeszcze zdarzyć.

Stracił kontrolę nad swoim ciałem, ale zorientował się, że leży na chodniku pomiędzy rozdeptanym petem a grudką czyjejs śliny. Zaraz otoczyły go buty - szpilki, trampki i niemodne, podniszczzone, choć starannie wyczyszczone półbuty. Później musieli obrócić go na wznak, bo zobaczył niebo. Jasnoniebieskie, z zachodzącym, ale nadal oślepiającym słońcem. A potem...

Potem odpłynął.

Zanim zapadł w całkowity mrok, czekał, aż wyświetli mu się

- jak podobno bywa w takich okolicznościach - film z jego życia, który przesunie się pod przymkniętymi powiekami z nieprawdopodobnym przyspieszeniem.

Wielu chciałoby zobaczyć właśnie ten obraz, ale Konrad do nich nie należał. Nie lubił wspomnień. Nawet te neutralne łączyły się z goryczką kontekstu. Miawały drugie dno lub były skażone nieuchronnością nieprzyjemnego dalszego ciągu.

Organizm odmówił mu jednak filmowego seansu, pozbawił szansy na podróż przez mroczny tunel ku światłu na końcu. Jedyne wrażenia, których doznawał aż do pełnej utraty świadomości, łączyły się z lepką, zimną ciemnością, wszechobecnym błotem, które go wsysało, w którym tonął. Czy był sam? Nie, czuł się otoczony

wiązkami pędzących we wszystkich kierunkach niewidzialnych promieni, przecinających go bezboleśnie. Czyżby sam zmieniał się w rój elektronów? Tylko czy elektrony mogą wywoływać tak potworną groźbę? Nie panował nad swoim umysłem, nie mógł więc pocieszyć się, że to jedynie fantasmagoria obumierających neuronów, że nie istnieje żadne życie po życiu, piekło ani sąd.

Dobiegły go słowa: „Nie lękajcie się!”. Nie miał jednak pewności, czy są skierowane do niego. Zresztą, niby dlaczego akurat do niego? I kto to mówił?

*

Przytomność wróciła mu równie nagle, jak zniknęła. W pomieszczeniu było szarawo, późny zmierzch albo przedświt. Raczej to drugie, za oknem rozbrzmiewał śpiew ptaków.

Do nozdrzy docierała gama zwykłych szpitalnych zapachów

- woń świeżo wypastowanej posadzki mieszała się z odorem środków dezynfekcyjnych, którymi przesiąkła pościel.

Potem usłyszał szmer głosów, jakby pochodzący z zupełnie innego wymiaru:

- Powiedzieli, że będzie żył - mówił młody głos kobiety.

- Bogu dzięki! - odparł inny, również damski, ale zdecydowanie starszy.

„Dziwne - zastanowił się Konrad - myślałem, że brak na tym świecie istoty gotowej dziękować Bogu, którego - jak wiadomo

- nie ma, za fakt, że żyję!”.

Głosy się oddaliły. Znacznie później zorientował się, że podsłuchana rozmowa nie jego dotyczyła. Próbował ocenić swój stan. Czuł kropłówkę wklutą w żyłę, słyszał łomot własnego serca. Dobrze. Usiłował się poruszyć. Niedobrze! Po udarze pozostał mu najwyraźniej niedowład prawej strony ciała, co gorsza, jak się

okazało, połączony z ogromnymi trudnościami mówienia. Gdy próbował wypowiedzieć swoje ulubione przekleństwo, z nieposłusznym ust wychodziło tylko słowo „fu-ra”.

- Wróciliśmy z dalekiej podróży, towarzyszu generale - powiedział podczas porannego obchodu ordynator Centralnego Szpitala MSW znajdującego się przy ulicy kosmonauty Komarowa. - Mieliśmy dużo szczęścia - kontynuował.

„«Mieliśmy», co za chrzaniony pluralis maiestatis! - przemknęło przez myśl Konradowi. - Ja miałem! Tobie, uczonej konowale, upiekłoby się, nawet gdyby sam Kiszczak wykorkował na twoich rękach. W dodatku, po co stosujesz tę idiotyczną partyjną formułę, skoro od lat jesteśmy po imieniu?”.

- I nie uwierzycie, coż za paradoks - ciągnął doktor pułkownik - uratował was ten klecha.

- Kaki hela? - wybełkotał chory.

- Konkretnie jaki, nie wiadomo, bo się zmył, gdy przyjechała karetka, a gapie nabrali wody w usta, mimo że chcieliśmy mu tylko podziękować. Wiadomo jedynie, że młody. I zapewne po przeszkoleniu wojskowym. Bo fachowo zajęli się waszą reanimacją. Gdyby nie on, szkoda gadać... - tu pozwolił sobie na delikatny chichot

- a tak nas krytykowano, że bierzemy kleryków w kamasze.

- Yee go go? - wydukał, próbując zapytać „Wyjdę z tego?”, ale lekarz najwyraźniej posiadał sporą praktykę w porozumiewaniu się z osobnikami o tego typu przypadłościach, bo natychmiast zrozumiał.

- Oczywiście, że wyjdziecie. Zatrudniamy znakomitych rehabilitantów i logopedów, a jeśli zajdzie potrzeba, wyślemy was za granicę.

Konrad nigdy nie darzył medyków szczególnym zaufaniem. Swoją rzeczywisty stan zdrowia wolał oceniać na podstawie min

pielęgniarek i lekarzy. Jednak faktycznie dopisało mu szczęście

- gdyby przewieziono go do bliższego Szpitala Bielańskiego, nikt tamtego popołudnia nie miałby głowy ani serca zajmować się właśnie nim. Komuchem, ubeckim generałem! Wszystkie oczy wlepiły się w ekrany telewizorów, wszystkie uszy przyklejone były do głośników.

W rzymskiej klinice Gemelli walczył ze śmiercią Najważniejszy Pacjent Świata. *Pontifex Maximus*, „Słowiański Papież”, „Biedaczyna z Wadowic”. Trafiony przez jakiegoś Turka z ugrupowania Szarych Wilków - Konrad nazbyt dobrze wiedział, kto i po co te wilki poszczuł.

W trakcie pobytu w szpitalu, zwłaszcza gdy dopadała go złośliwa gorączka, miewał sny, być może stanowiące efekt wielokrotnie oglądanego filmu z zamachu: Wojtyła wśród rozentuzjasmowanego tłumu, Wojtyła unoszący w górę małą spłoszoną dziewczynkę, a zaraz potem osuwający się w ramiona księdza Dziwisza.

W swoich snach Konrad także znajdował się na tym placu i obserwował zdarzenie z różnych perspektyw - raz jako Ali Agca, kiedy indziej jako dostojnik z kurii, anonimowy pielgrzym z Moskwy, pracownik bułgarskich linii lotniczych, dziennikarz z Niemiec.

„*Wszysto rawno* - myślał. - Wszystko to nasi ludzie, awangarda imperium Zła przybyła, żeby odwrócić negatywny bieg zdarzeń”.

„Ile dywizji ma papież?” - kpił kiedyś Józef Stalin.

Życie dowodziło, że dużo, cholemie dużo. Co gorsza, w trakcie pielgrzymki w 1979 roku Polacy zdołali się policzyć.

„Kto do tego dopuścił?” - syczał do swoich ludzi na naradzie kierownictwa KGB w czerwcu 1979 roku Jurij Andropow, szef radzieckiej bezpieki i członek Biura Politycznego KC KPZR. Echo tej narady po pewnym czasie dotarło do sojuszniczych organów w rodzaju ernerdowskiej Stasi czy polskiego SB, łącznie ze znamienym

sformułowaniu Jurija Władimirowicza: „Czy zawsze to my musimy naprawiać cudze błędy?”.

Aluzju paniali. I spróbowali. Doskonale świadomi, że - jak w średniowiecznych bitwach bywało - śmierć króla, wodza, proroka sprawa, że milionowe dywizje idą w rozsypkę. Ale coś nie wyszło.

„Dlaczego przeżyłeś? - pytał podobno Agca swoją niedoszłą ofiarę, która odwiedziła go w celi rzymskiego więzienia - Nie miałeś prawa przeżyć!”.

W szpitalu MSW personel wykazał się wysoką odpowiedzialnością klasową i proletariackim poczuciem obowiązku. Ignorując wieści z Rzymu, albo przynajmniej udając ignorancję, troskliwie zajęł się generałem. I wyciągnął go grabarzowi spod łopaty. Dokonał nawet więcej - dzięki zbiorowemu wysiłkowi kardiologów, neurologów, rehabilitantów, logopedów i masażystów postawiono Konrada na nogi. Po kilku tygodniach wróciła mowa, zniknął obrzęk, a leciutki niedowład, który pozostał, można było ukryć nawet przed czujnymi obserwatorami. Tylko kto go miał obserwować? W pierwszych dniach rekonwalescencji służba szpitalna musiała powstrzymywać potok znajomych i podwładnych, którzy odwiedzali Konrada, przynosili kwiaty i pomarańcze, a niektórzy próbowali nawet przeszmu-glować koniak. Przybiegały sekretarki po podpisy, przychodzili kierownicy po instrukcje, wicedyrektorzy po upoważnienia. Ale w miarę upływu dni, kiedy okazywało się, że rehabilitacja potrwa dłużej, niż się spodziewano, a powrót na dotychczasowe stanowisko stawał się mało prawdopodobny, strumyczek gości zaczął się gwałtownie kurczyć. Sprawy w ministerstwie przejęli zastępcy, a jesienią doszło w MSW do poważnej reorganizacji, która wynikała ze zmiany na stanowisku pierwszego sekretarza KC PZPR. Naraz zrobiło się luźno. W porównaniu z poprzednim rejwachem - wręcz cicho i pusto. Regularnie do jedyńki Konrada wpadali zaledwie kierowca, pan

Rysio, oraz Wiesia Gellman, jeśli nie ze względu na dawny afekt, to przynajmniej z przyzwoitości. I to by było na tyle. Majka pojawiła się raz. Ogromnie zakłopotana, co gorsza, prawie natychmiast zde- rżyła się z Krystyną, która naubiła jej od dziwek. Nic dziwnego, że już się nie pokazała. W tym trudnym czasie żona Konrada sta-nęła na wysokości zadania, przerwała urlop. Z poświęceniem, lecz bez przesady, odgrywała swoją rolę „wpół do wdowy”, wypadając w niej godnie. Odwiedzała męża zrazu codziennie, potem co drugi dzień. Bez czułości, ale z poczuciem odpowiedzialności za rodzinę i wspólny majątek. Marcin przysłał w tym czasie może trzy kartki, ale wracać do Polski nie zamierzał. Szczerze mówiąc, Konrad wą- pił, czy chłopak stawiłby się nawet na jego pogrzeb. Był to jeden z powodów, dla których, mimo iż mocno przygnębiony swoim sta- nem, nie spieszył się z umieraniem.

W sumie najwinniejszy okazał się Grisza Ostapowicz. Wpadał bez zapowiedzi, nocami, bezszelestnie jak duch. Przysiadł na łóż- ku, przynosił najświeższe plotki i pytał o opinię.

- Przecież ja nic nie wiem - wzdychał Konrad.
- Nawet odcięty od źródeł informacji masz lepszego nosa niż ci chłoptasie z wojskówki.

Na stwierdzenia Konrada, że idzie w odставку, Grisza reagował energicznym przeczeniem.

- Nie łam się, przyjacielu. Z twoją wiedzą i doświadczeniem zawsze będziesz potrzebny.

Nie podzielał tej pewności. Zdrowy, i owszem, wzbudzał re- spekt, a czasami strach, ale schorowany i pozbawiony mocy...?

- Oczywiście, może pan pracować, ale musi się pan oszczę- dzać. Nauczyć się funkcjonować na pół gwizdka, a jeszcze lepiej na ćwierć - radził lekarz, jakby nie zdawał sobie sprawy, że w ich resorcie działa się albo na full, albo wcale.

Wkrótce okazało się, że mówił to nie tylko jemu. Już podczas pierwszej rozmowy z szefem, kiedy pomiędzy szpitalem a sanatorium zawitał do ministerstwa, dowiedział się, że powrót na dotychczasowe stanowisko jest wykluczony.

- Rozmawialiśmy z Wojciechem - powiedział szczerze. - Gdyby interesowała cię Rada Państwa albo jakaś zagraniczna placówka, rzecz zostanie załatwiona od ręki.

Konrad ledwo się pohamował przed bluzgnięciem.

Był, do cholery, ledwie po sześćdziesiątce i z powodu głupiego wylewu nie chciał rezygnować z tego, co umiał najlepiej, a przy okazji lubił. Od czterdziestu lat nie zajmował się niczym innym, cały czas się pnał. Nie po to wygrał mnóstwo potyczek i wojenek podjazdowych, żeby dać się wyeliminować z powodu jakiejś niesprawnej żyłki! Ale co miał zrobić?

Przeszedł więc na emeryturę, zachowując stanowiska zastępcy członka Komitetu Centralnego i doradcy ministra spraw wewnętrznych.

Musiał przyznać rację lekarzom. Powrót do zdrowia trwał dłużej, niż przypuszczał, i liczył wiele etapów. Najpierw Konstancin, potem sanatoria w Pieszczanach i Mineralnych Wodach, na koniec zima na Kubie. Ominęło go mnóstwo przyjemności w procesie przygotowywania stanu wojennego. Być może właśnie dzięki jego absencji chorobowej udało się uciec temu zdrajcy pułkownikowi Kuklińskiemu.

Ale czy czas ten należało uznać za stracony pod każdym względem? Niezupełnie. Wprawdzie lekarz zalecał ostrożność, jednak Konrad spotykał się w Varadero przez tydzień z pewną bardzo młodą towarzyszką kubańską o skórze połyskującej niczym stary mosiężny dzban. Gdyby mógł, importowałby sobie takie cudo do Polski i zatrudnił do obsługiwanego stołu i łoża, ale miał świadomość, że wywołałoby to zbyt wielką sensację.

Ostatecznie wrócił do Polski parę dni po 13 grudnia. Nie uprzedził ani Wiesi, ani pana Rysia. Zresztą, telefony nie działały. Wziął taksówkę z Okęcia, a kiedy taksjarsz wymienił cenę równą miesięcznej pensji nauczyciela, Konrad wyjął legitymację. Nic nie zapłacił, a taryfiarz po prostu uciekł.

Czuł się dziwnie w domu po tak długiej nieobecności. Panowała tu cisza i pustka. Rozminęli się z Krystyną. Wyjechała do Marcina i zamierzała spędzić z nim święta.

Papiery rozwodowe złożyła u adwokata. Ćwierć wieku za późno!

Naraz poczuł się jak gość. Nawet zapach mieszkania wydawał się inny. Warszawa też się zmieniła. Okoliczne ogródki pokrywał śnieg, na placu Wilsona żołnierze grzali się przy koksownikach, tylko z kościoła Stanisława Kostki dobiegały śpiewy patriotycznych nabożeństw... Zaklął cicho. „Potęga ciemnoty jest naprawdę niewiarygodna!” - pomyślał. Obszedł dom, przerzucił kilogramy nikomu niepotrzebnych listów, po czym zabrał się za porządkowanie narosłego przez pół roku bałaganu.

Swój ulubiony zegarek, szwajcarskiego tissota, który nosił w dniu katastrofy, znalazł w pudle ze szpargałami. Krystyna miała oddać go do naprawy, ale widocznie zapomniała. Szkiełko nadal było pęknięte, a wskazówki i datownik trwały w punkcie, w którym zatrzymały się podczas upadku. 13 maja, godzina 17.19...

17.19! Przedtem jakoś nie zwrócił na to uwagi. Cóż za przedziwny zbieg okoliczności - udar trafił go dokładnie w momencie strzałów do papieża.

Wprawdzie sprawami Kościoła zajmował się Departament IV, w niewielkim stopniu podlegający jego kompetencjom, ale od lat wiedział, że jest rówieśnikiem Karola Wojtyły. Urodzili się w tym samym roku, tego samego dnia - 18 maja 1920. Nigdy nie przyszło mu do głowy, by próbować wyciągać z tego faktu jakieś wnioski.

Nie wierzył w horoskopy i tym podobne astrologiczne brednie. Chociaż przypomniał sobie, że czytając przed trzema laty życiorys nowego papieża, jako człowiek spostrzegawczy zwrócił uwagę na dalsze podobieństwa: kiedy Karol skończył dziewięć lat, zmarła mu matka, trzy lata później - starszy brat. Zaskakująca zbieżność, nic więcej. Nie takich przypadków bywał świadkiem... Jednak zgodność zamachu i jego udaru co do minuty...?

Większość gazet otrzymywał w pracy. W domu Krystyła prenumerowała jedynie „Tygodnik Powszechny” i parę pism kobiecych. Plik „Tygodników” poniewierał się w pawlaczu. Wyciągnął egzemplarze z okresu zamachu i tygodnia rekonwalescencji. Z wąskiego paska zatytułowanego *Obraz tygodnia* można się było dowiedzieć więcej o kraju i świecie niż z całej prasy partyjnej. W dodatku redakcja, z uporem godnym lepszej sprawy, zaznaczała ingerencje cenzury, wpisując w nawias klamrowy podstawę prawną.

Przejrzał numery z trzech miesięcy, porównując zawarte w nich informacje z własną historią choroby. Wynik okazał się zdumiewający.

Odzyskał przytomność, tak jak Jan Paweł II, rankiem 14 maja. Podobnie jak on, 3 czerwca, został wypisany ze szpitala. W wypadku Konrada zostało to dodatkowo połączone ze skierowaniem na rekonwalescencję do Konstancina. Dziesiątego czerwca, kiedy papież ponownie dostał gorączki, u Konrada wykryto objawy żółtaczki wszczepiennej. Stan oceniono jako poważny. Analogicznie do Karola Wojtyły, Konrada hospitalizowano do 14 sierpnia. Potem przebywał w kolejnych sanatoriach. Ciekawe, że 7 października 1981 roku - w dniu, w którym biskup Rzymu po raz pierwszy od zamachu wystąpił na audiencji środowej - generała poddano badaniu, po którym lekarze stwierdzili całkowite cofnięcie się afazji: „Może się pan uważać za zdrowego, ale trzeba się oszczędzać i stosować do zaleceń lekarzy”.

Pół nocy przesiedział nad papierami, zastanawiając się nad nieprawdopodobnym układem zdarzeń. Wniosków jednak żadnych nie wyciągnął. Bo i jakie? Opatrzność, w którą nie wierzył, postanowiła zrobić sobie z niego kawał?

Zapewne w normalnym wirze zajęć zapomniałby o tych dziwacznych zbieżnościach, ale przeniesiony do rezerwy miał mnóstwo czasu na myślenie. Tym bardziej że choroba i długi okres rekonwalescencji sprawiły, iż dawni znajomi i przyjaciele w dużym stopniu o nim zapomnieli. W dodatku większość towarzyskich kontaktów podtrzymywała Krystyna. Po jej wyjeździe, pozbawiony wsparcia sekretarek, zauważył, że brakuje mu wielu podstawowych informacji - choćby numerów telefonów. Toteż trudno przychodziło mu odzywać się do ludzi. A poza tym, czy naprawdę pragnął liczego towarzystwa?

Oczywiście, pojawił się pan Rysio. Wiesia Gellman też odwiedziła go po paru dniach. Skądś wiedziała o planach rozwodowych. W oczach starej panny widział pełną gotowość zajęcia miejsca Krystyny. Marzyła o tym od lat. Ale nie po to wyzwolił się z jednych oków, żeby pakować się w drugie. W dodatku ta kobieta skończyła już pięćdziesiąt lat, a puszek nad jej górną wargą zmienił się w całkiem pokaźny wąsik, który łaskotał go przy każdym pocałunku. Niestety, mimo że ich stosunki od lat były koleżeńskie, przy pożegnaniu czy powitaniu Gellmanówna tak celowała, żeby utrafić prosto w usta. A jemu nawet nie wypadło się obetrzeć.

Tuż przed świętami zadzwonił do Majki. Szybko pożałował rozmowy, z której dowiedział się, że dziewczyna wychodzi za mąż. Życzył jej wiele szczęścia na nowej drodze życia. Majka... Łatwa zdobycz, miła satysfakcja i nasilające się przekonanie, że być może właśnie przez ten romans utracił syna.

Wigilię spędził samotnie. Wprawdzie od bardzo dawna nie obchodził katolickich świąt, ale tego dnia, kiedy we wszystkich

okolicznych domach ludzie (niezależnie od stopnia pobożności) gromadzili się przy rodzinnych stołach, jego samotność stała się wręcz nie do zniesienia. Tylko co miał zrobić? Przyjął nieśmiało zaproszenie pana Rysia i pojechał do podwarszawskich Ząbek, by pławić się tam w gminnym katolicyzmie, z jego sianem pod obrusem i słomą w butach?! Opcja spędzenia świąt z Wiesią również go nie pociągała. No bo jakie to byłyby święta. Chanuka przy szabasowych świecach?

Telewizji nie dało się oglądać, spacyfikowany publikator^m nachałnie podlizujący się społeczeństwu w kółko nadawał kolędy, a te działały na generała drażniąco. Próbował czytać, ale usnął w fotelu. Obudziły go dzwony. Za oknem grupki opatulonych ludzi maszerowały na pasterkę. Ziębnięci, poobijani psychicznie rozbitkowie dziesięciomilionowej Solidarności spieszyli do świątyń, by pokłonić się oseskowi, który leży w żłobie...

- Dobrze to wszystko zostało wymyślone - mruknął sam do siebie. - *Kudy* nam do takich obrzędów! - Kościół eksperymentował jednak od prawie dwóch tysięcy lat, a marksści kombinowali za ledwie od stulecia.

Przez moment zastanawiał się, co by było, gdyby nałożył stare palto i wmieszał się w tłum wiemych. Ciekawe, czy by go rozpoznał? Praktyki religijne pamiętał jeszcze z dzieciństwa, więc mógłby udatnie symulować. A jeśli nawet rozpoznano by w nim ateusza, czy kapłan - zapewne ten sam młody człowiek, który pół roku wcześniej uratował go za pomocą sztucznego oddychania i masażu klatki piersiowej - wyrzuciłby go ze świątyni? Wbrew ulubionej maksymie „Zło dobrem zwyciężaj”?

Znów zaczął padać śnieg. A on stał przy oknie, chuchając na przemarznątą szybę, jak małe, ciekawe świata dziecko, którym ostatecznie kiedyś był. I nawet wierzył w Świętego Mikołaja

przybywającego z wielkim workiem w saniach zaprzęgniętych w re-nifery. Dziś doskonale wiedział, że ów cudowny zaprzęg na pewno nie zatrzyma się przed jego domem.

*

Już pierwszego dnia świąt stwierdził, że dłużej nie wytrzyma ze swoją samotnością. Przerzucił stare kalendarzyki i przypomniał sobie pielęgniarczkę Zuzię, na którą zwrócił uwagę jeszcze w trakcie rehabilitacji w Centrum im. prof. Mariana Weissa. Dziewczyna, doskonała masażystka, dowcipna i urodziwa, wyraźnie go kokietowała. Już wtedy pozwolili sobie na sporo poufalitych gestów, no, może więcej niż gestów... Niewiele myśląc, zadzwonił do kliniki. Jego telefon należał do nielicznych działających, podobnie było z centrum rehabilitacyjnym - okazało się, że Zuzanna za parę godzin kończy dyżur.

- Drugi dzień świąt mam wolny. Planowałam wprawdziejechać do rodziny do Zamościa, ale ponieważ nie jestem z nią ostatnio w najlepszych stosunkach...

- Gdzie mieszkasz?
- W Piasecznie.
- Przyjadę po ciebie.
- Mieszkam u bardzo konserwatywnej rodziny.
- Nie zamierzam się domeldowywać, zabiorę cię gdzieś.

Obudził się w nim dawny człowiek czynu. Skoro świt wyciągnął z garażu swego prywatnego fiata mirafiori rocznik 78 (dzięki staraniom pana Rysia doskonale utrzymanego i ciągle na chodzie) i pojechał do Piaseczna.

Zuzanna wyglądała na trochę zaskoczoną szybkim rozwojem zdarzeń, ale nie wydawała się niechętna. Bez większych zabiegów dała się zaprosić na obiad do Kuźni w Wilanowie. Kolację zrobiła

sama u niego w domu, a śniadanie Konrad przyniósł jej do łóżka. Jak na dziecię z odległej Zamojszczyzny okazała się zaskakująco nowoczesna i pozbawiona zahamowań. Generał od początku nie ukrywał, czego oczekuje, a dziewczyna, mimo swych dwudziestu ośmiu lat, zaakceptowała układ. Zapewne nie stanowiło to dla niej wielkiego problemu - sądząc po jej ciuchach i kosmetykach, nie był jedynym zamożnym pacjentem, z którym romansowała.

- Narzeczony? - wzruszyła ramionami, kiedy zapytał o jej życie uczuciowe. - Chwilowo brak kogoś takiego. Po trzydziestce dobrze wyjdę za mąż, urodzę dzieci i zostanę stateczną matką Polką.

W nagrodę za szczerość i dotychczasowe usługi zaprosił ją na sylwestra. Miał kilka propozycji związanych z tą nocą, w tym również z ministerstwa i ze ZBoWiD-u. Jednak w resorcie zbyt wielu ludzi ucieszyło się z jego odejścia, by oglądać teraz ich usatysfakcjonowane gęby, zaś towarzystwo zapyziałych kombatanatów, którym myliły się daty i epoki, budziło w nim grozę. Najciekawiej zapowiadała się impreza u redaktora Ułanowicza, lidera jednego z mikroskopijnych ugrupowań świeckich katolików, arystokracji i konesera wszystkich smaków tego świata, a także - jak twierdzili fachowcy z Departamentu IV MSW - tamtego. Tajemnicą polisylną było to, że Olgierd Ułanowicz jest cenionym współpracownikiem Służby Bezpieczeństwa, a jego kontakty z biskupami, a nawet z samym papieżem, zapewniają nie tylko stały dopływ informacji, ale również doskonałą orientację w procedurach, rytuałach i mechanizmach kościelnych: od Kurii Rzymskiej po ciała diecezjalne i Senat Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego.

Konrad uznał, że „powrót do świata żywych” w towarzystwie młodej, pełnej temperamentu dziewczyny to ze wszech miar doskonale *entree*, poza tym Ułanowicz dysponował pewnymi wiadomościami, które generałowi w stanie spoczynku były bardzo

potrzebne. Krótko mówiąc, mógł w sposób idealny połączyć przyjemne z pożytecznym.

Willa „hrabiego Olgierda”, jak mówili o nim wszyscy, ambasadora ZSRR nie wykluczając, położona na malowniczym żoliborskim stoku, stanowiła jedną z niewielu budowli Warszawy, która szczęśliwie przetrwała okupację i nie zmieniła swoich właścicieli. Ułanowicz, przed wojną zagorzały endek i miłośnik rozwiązań totalitarnych, znakomicie odnalazł się w nowej rzeczywistości. Plotkowano, że uczył dobrych manier nowych właścicieli Polski: Bieruta - jeść widelcem i nożem, Bermana - zachowywać się zgodnie z polskimi tradycjami, a słynną Lunę Brystygierową - odróżniać mszę od nieszpórów i *Credo* od *Pater noster*. Podobno we wczesnych latach pięćdziesiątych byli nawet kochankami, co dla wykwintnego arystokraty, ponoć biseksualisty, stanowiło mniejszy wysiłek, niż mogło się wydawać. Dyrektorka Departamentu V miała ładną twarz, a jeśli idzie o figurę... Niemniej przy pewnych pozycjach nawet monstrualny zad posiada swoje uroki. W dodatku wszystko ma swą cenę. I jeśli stanowiło ją dostatnie życie i zachowanie majątku, Ułanowicz, gdyby zaszła taka potrzeba, przespałby się z samym Różańskim.

Konrad z Zuzanką przeszli te kilkaset metrów spacerkiem, chłonąc odmienny tego wieczoru klimat miasta, w którym na jedną noc zawieszono stan wojenny, stwarzając pozór normalności. Dziewczyna, której jakoś udało się wcisnąć do fryzjera, wyglądała szalowo w czarnej sukience doskonale podkreślającej figurę. „Sarenka, prawdziwa sarenka” - powtarzał w myślach. Elegancję podkreślała złota broszka przy dekolcie, którą z okazji Nowego Roku podarował jej generał. Przed kilkunastoma latami kupił ją za bezcen w Sojuszu. Podobno należała do kogoś z Romanowów.

Ułanowicz - wysoki, szpakowaty, w paryskim smokingu - witał gości na progu.

Towarzysz kamerdyner odbierał pałta, szaliki i kapelusze.

Płoneły kandelabry, pulsowała dyskretna muzyka, od strony kuchni dochodziły wspaniałe zapachy, rzadko obecne w gastronomicznej rzeczywistości PRL-u. Tyle że Polskę Ludową zostawili za drzwiami, na oblodzonej jezdni i posypanym piaskiem chodniku.

Na zewnątrz dopiero co umilkły salwy wojny wydanej przez Jaruzelskiego własnemu narodowi, w ośrodkach internowania przebywały tysiące najaktywniejszych patriotów. Ale tu, w salonie o gabarytach sali balowej i przyległej do niego oranżerii, panowała nieco surrealistyczna atmosfera dostatku i spokoju.

Przeważali ludzie władzy, dyspozycyjni publicyści, było dwóch pisarzy partyjnych i kilku funkcjonariuszy zmilitaryzowanego radia i telewizji. W sumie zebrano się koło setki wpływowych facetów, w towarzystwie żon, córek i kochanek, na których tle Zuzanka jaśniała niczym prawdziwy brylant. Pito ostro, ale jak na razie nikt nie spadł pod stół. Gorzej z płasami. Tańczyli nieliczni, a ponieważ przy stołach uginających się od żarcia zaspokojono głód, poczęły tworzyć się grupki dyskusyjne o dość monotematycznym charakterze. Pijany dyrektor z telewizji ubolewał, że ekstrema nie stawiała oporu, w związku z czym trzeba się z nimi cackać w rękawiczkach. Sędziwy weteran spod Lenino wpadł mu w słowo, rekomendując karabin maszynowy jako najlepszy środek dialogu społecznego. Tu i ówdzie opowiadano sprośne kawały o księżach i zakonnicach bądź złośliwie sztychano z uwięzionych przywódców Solidarności.

Konrad zatańczył parę razy z Zuzanną, po czym dorwał Ułanowicza i zamknąwszy się z nim w gabinecie, zapytał o Wojtyłę. Potrzebował szczegółowego życiorysu papieża.

- Zabieracie się za niego? - arystokrata porozumiewawczo przymrużył oko.

Generał zaprzeczył.

I - Potrzebuję tych informacji z powodów prywatnych - odrzekł

i »ucho.

I - W takim razie znakomicie się składa - rozpromienił się Ul-

lanowicz. - Zakończyłem właśnie pracę nad biografią tego człowieka. Do szuflady! - dodał pospiesznie, wiedząc, że jego bieżące publikacje wydawane pod pseudonimem przez Książkę i Wiedzę na zlecenie Wydziału Prasy KC PZPR, w rodzaju *Antyszambry i lochy Watykanu*, mogą okazać się przydatne jedynie aktywistom Towarzystwa Krzewienia Kultury Świeckiej.

- Do szuflady? - Konrad zmarszczył brwi.

- Trzeba myśleć na wyrost. Przyszłościowo! Kiedyś czasy się zmienią i rzecz napisana przez świadka epoki z talentem i znawstwem będzie warta wszystkich pieniędzy. Szczęśliwie dysponuję jeszcze jedną kopią...

Konrad miał własną opinię na temat ewentualnej zmienności czasów, ale przyjął maszynopis i wrócił do salonu, zastanawiając się, w czyich ramionach zastanie Zuzankę. Najpierw w ogóle nie mógł jej znaleźć. Po dłuższych poszukiwaniach trafił na oswiałą dziewczynę, która przycupnęła na parapecie w korytarzyku przy kuchni. Nie uśmiechnęła się na jego widok.

- Coś się stało? - zapytał.

Przecząco pokręciła głową.

Zatańczyli raz jeszcze, ale wyraźnie czuł, że jego partnerka jest nie w sosie. Czyżby przedawkowała alkohol? Nie wyglądała na wstawioną.

Inna sprawa, że on również coraz bardziej odstawał od towarzystwa. Pamiętając o stanie swego organizmu, oszczędzał się w picciu, był więc, nazywając rzecz kolokwialnie, „trzeźwy jak Świnia”. Natomiast reszta bankietowiczów piła na umór i teraz oklaskiwała rozebranego do rosolu aktywistę reżimowych pismaków, który włożył

na okno i recytował własny poemat na motywach Mickiewiczowskiej *Alpuhary* na pohybel solidaruchom, Reaganowi i rzymskim inkwizytorom:

Patrzcie, o karty. Kto dzisiaj błąd,
kto bohaterem, kto osłem?
Jam was oszukał podczas narady,
z której nagranie wyniosłem...

- Chciałabym wyjść! - powiedziała mu prosto do ucha Zuzanna.

Zauważył, że poblądła, uznał więc, że świeże powietrze dobrze jej zrobi. Wyszli po angielsku i ruszyli w kierunku placu Komuny Paryskiej.

- Źle się poczułaś? - zapytał, żeby coś powiedzieć. Wydawało mu się, że zgromadzone towarzystwo olśni prowincjuszkę.

. - Świetnie - odburknęła. - Jak na balu w Targowicy.

Na moment osłupiał. Nigdy dotąd nie rozmawiali o polityce, ale trwał w przeświadczeniu, że ta nowoczesna, bezpruderyjna kobieta jest odporna na kościelno-solidarnościowe historie. Fakt faktem - dla człowieka z zewnątrz prominenci i ich przyjaciele mówiący otwartym tekstem mogli brzmieć trochę zbyt dosadnie, ale czego się spodziewała, idąc z nim na bal? Mszy za ojczyznę?

- Nie można brać tego zbyt serio, ludzie byli pijani - tłumaczył. - Niemniej to prawdziwa elita.

Myślał, że ją rozbroi, tymczasem pojednawcze słowa osiągnęły skutek odwrotny do zamierzonego. Strąciła jego rękę ze swego ramienia.

- Elita? - parsknęła. - Gdybym miała granat, z radością cisnęłabym go do tego szamba.

- Zwariowałaś! - syknął. - Skąd ci takie rzeczy przychodzą do głowy?

- Może jestem tylko głupią cichodajką, ale również Polką!
- zawołała i zerwawszy z nóg eleganckie szpilki, bosą, po śniegu rzuciła się do ucieczki w noc.

Nie spotkali się już nigdy więcej.

II

Nie od razu zabrał się do lektury dzieła Ułanowicza. Zaraz po 1 stycznia próbował włączyć się w nurt zmilitaryzowanej rzeczywistości. Zachęcony kilkoma rozmowami odbytymi podczas przyjęcia, pojechał do ministerstwa, odwiedził KC. Dość naiwnie, jak się wkrótce przekonał, liczył na to, że w czasie rewolucji jego wiedza okaże się dla resortu wyjątkowo cenna i jako doradca będzie mógł pomóc kierownictwu. Wszędzie traktowano go grzecznie i uprzejmie, ale nie zaproponowano mu niczego konkretnego do roboty. Rozmowy kończyły się przeważnie zaproszeniem na kolejną wizytę, ale kiedy próbował potwierdzić termin, informowano go, że promineneci są zajęci, spotkanie przekładano lub zwyczajnie wypadło ono z grafika. Stan wojenny niczym pociąg pancerny podążał po wyznaczonych torach, a ekskluzywne grono jego organizatorów nie zabiegało o dodatkowych współników.

Po paru tygodniach bezskutecznych zabiegów poszedł - rozgorączony - do Stanisława Kani, byłego Pierwszego, z którym od lat mówili sobie po imieniu. Ale ten, mimo wczesnych godzin porannych mocno wstawiony, tylko rozłożył ręce.

- Uważają, że dadzą radę sami. Wszystkiego najlepszego! Obawiam się tylko, że pewnego dnia obudzą się z ręką w nocniku. A my razem z nimi!

Konrad, specjalista od polityki wewnątrzpartyjnej, wiedział, że powody takiego postępowania są racjonalne. Obaj ze Stasiem nie

należeli do koterii, która właśnie dorwała się do władzy. W najlepszym razie należało poczekać na kolejny obrót koła historii. No i oczywiście tego obrotu dożyć.

W połowie stycznia sięgnął po maszynopis hrabiego Olgierda. Wcześniej jakoś nie mógł wziąć się do czytania. Chodził koło teczki jak pies wokół jeża, nie bardzo wiedząc, co chce tam znaleźć. Ale gdy już zaczął czytać, nie potrafił się oderwać. W dodatku - im bardziej wgrzyzał się w tekst napisany przez arystokratę, tym większe ogarniało go zdumienie. Życiorys Karola Wojtyły, Jeśli idzie o daty, wydawał się bliźniaczy - przynajmniej w kwestii śmierci najbliższych. Tu zgadzały się nawet datyienne. Z drugiej strony jeśli był „bliźniakiem” papieża, jego zwierciadlanym odbiciem, to odbijające go lustro musiało odznaczać się krzywizną i to taką, którą stworzono z dużą złośliwością.

Miasteczko pół polskie, pół żydowskie, nie za wielkie, ale i nie za maleńkie, ukryte wśród pagórków, na które wspinały się sady, pszeniczne pola i zagajniki, ze świątynią przy niewielkim rynku, otoczonym siecią uliczek, zabudowanych najwyżej dwupiętrowo, na ludzką miarę. Nostalgiczną ciszę poranka, potęgowaną pntł mgły schodzące ze zboczy, przerywał jedynie dźwięk dzwonów, tłukących się w dolinie jak serce w młodej piersi - równo, ra dośnie, bezpiecznie. Żydzi przewracali się jeszcze na drugi bok, natomiast co bardziej pobożni katolicy spieszyli do kościoła, na którego bocznej ścianie widniał znamienny napis „Czas ucieka - wieczność czeka”.

Jeśli sam Bóg wybrał to miejsce i tego człowieka, to w swoim wyborze musiał kierować się nadzwyczajnym poczuciem harmonii i spokoju. Wytypował prowincjonalną mięścinę, małe mieszkanko na pierwszym piętrze, podnajmowane u żydowskich właścicieli,

i rodziców więcej niż skromnych - ojciec Karol, zawodowy wojskowy, matka Emilia, córka rymarza i szewcówny, wiecznie zajęta prowadzeniem domu i wychowywaniem dwójki dzieci - ludzi szarych, przyzwoitych, słabego zdrowia... Jeśli różniło ich cokolwiek od innych wadowickich rodzin, to może większa bogobojność i powaga w podejściu do życia.

„Podobne i niepodobne” - pomyślał Konrad. Przymknął oczy i na moment znalazł się zupełnie gdzie indziej - w małym podwileńskim miasteczku, położonym na przeciwległych kresach Rzeczypospolitej. Przed oczyma stanęła mu drobna postać matki Eugenii i zwałista figura ojca Jerzego w kolejarskim mundurze. Nie zachowały się żadne zdjęcia z tamtych czasów, ale z dokładnością, tak jakby wyjechał stamtąd wczoraj, mógłby opisać widok z okna, ustawienie mebli, nawet książek na etażerce czy naczyń w kuchennym kredensie. Doskonale pamiętał wysoką sylwetkę brata Edwarda i jego wesoły, łobuzerski uśmiech. Czternaście lat różnicy wieku to zbyt wiele, by mogli stać się kumplami, a Edek żył zbyt krótko, by dotrzeć czasów, w których dystans generacyjny zaczyna się spłaszczać, aby stać się nieomal niezauważalnym. Edward... Ile to lat? A przecież nadal dudnił mu w uszach radosny tupot butów na schodach i rzucone od progu: „Co tam, stary drabie?” albo „Jak się miewasz, panie juniorze?”.

Matka (zachował zastanawiająco mało konkretnych wspomnień z nią związanych) kojarzyła mu się ze słońcem. Przypominał mu się pewien letni dzień, kiedy rozespany, a może nawet zapłakany, szukając jej, zszedł na dół. Eugenia nagle otworzyła na oścież kuchenne drzwi i stanęła w smudze słonecznego światła, wlewającego się kaskadą barw. I zaśpiewała:

A jak będzie sionce i pogoda, słońce i pogoda,
pójdziemy se razem do ogroda.

Zaraz tam poszli. Ogródek był wątyły, przystający do kolejowych familoków, wąski pasek między zabudowaniami a torem, ale wtedy wydawał mu się zaczarowaną krainą. Nawet drewniana wygodka miała swój magiczny urok, chociaż wolał nie przebywać w jej ciemnym wnętrzu, kiedy za parkanem przejeżdżał pociąg. Budka trzęsła się jak chory na płasawicę, a jej mały użytkownik, skamieniały ze strachu, mógł jedynie liczyć na to, że niestabilna konstrukcja się nie zawali i nie pochłonie go czeluść dołu z nieczystościami.

W odróżnieniu od nerwowego ojca, który łatwo wybuchał, matka pozostała w pamięci Konrada wcieleniem dobroci, to ona czytała mu książki, opowiadała bajki, karmiła i prowadziła na spacer. Niestety, szybko umarła. Na raka.

Cztery dni po śmierci Emilii z Kaczorowskich Wojtyłowej ojciec zabrał obu synów na pielgrzymkę do Kalwarii Zebrzydowskiej. Pragnął ukoić ich własny dramat poprzez wpisanie go w szerszy kontekst - tajemnicę Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, Zwiastowania, Narodzenia, wreszcie towarzyszenia Synowi pod krzyżem. Czy przyniosło to Karolowi ulgę? Z pewnością pokazało drogę. Dla przyszłego papieża zawierzenie Matce Boskiej miało stać się jednym z najważniejszych elementów jego moralnej struktury.

Jeśli szukać podstawowej różnicy pomiędzy rodziną papieża a jego, to - w porównaniu z religijną atmosferą panującą w domu Wojtyłów - kolejarska familia Konrada nieomal zupełnie ignorowała Boga. Dziadkowie, którzy zwykle dbają o edukację religijną wnuków, pomarli wcześniej. Matka, choć wierząca, chodziła do kościoła

rzadko, a ojciec - nigdy. Uważał się za socjalistę, chociaż zdecydowanie bliżej było mu do Feliksa Dzierżyńskiego niż do Józefa Piłsudskiego. Niesłuchanie zaperzał się, gdy dyskusja schodziła na temat praktyk socjalizmu w Rosji Sowieckiej.

„Oczerniać ZSRR może jedynie dureń albo łajdak!” - wrzeszczał.

„Towarzysz Jurek” - samouk - wcześniej naczytał się marksistowskich książek, które wpoily mu przekonanie, że świat jest wyłącznie materialny i całkowicie poznawalny, a księża to pasożyty, którzy cynicznie używają religii do swoich niecznych celów. Na tym tle między rodzicami dochodziło do awantur, tyle że Konradek - zbyt mały - nie rozumiał sensu ich światopoglądowych sporów. Ale jedno zdanie, okrzyk matki, utkwiło mu na zawsze: „Żydy pokielbały ci we łbie!”.

Zabawne, ale pierworodny Edward nie podzielał poglądów ojca. Wcześniej wciągnęło go harcerstwo, gdzie, jak wiadomo, obowiązywała dewiza „Bóg, Honor, Ojczyzna”, a po wojsku wstąpił do policji państwowej. I tylko szczęśliwemu zbiegowi okoliczności należy przypisywać, że będąc po dwóch stronach barykady, nigdy nie zderzyli się realnie podczas demonstracji ulicznej.

Równocześnie Edzio, choć często przebywał poza domem, stanowił ogromne oparcie dla młodszego brata, bardzo mu potrzebne, od kiedy stał się półsierotą.

Konrad różnił się od Karola Wojtyły również fizycznie. Jasne włosy i delikatną budowę odziedziczył po pani Geni. Drobnokościsty, niewysoki (wzrost średni osiągnął dobrze po dwudziestce). W dodatku niesłuchanie bojaźliwy. Utrata matki jeszcze pogłębiła defekty jego charakteru. Bał się ciemności, krzyczał przez sen i często moczył łóżko, za co zbierał dotkliwie cięgi od „towarzysza Jerzego”, który z używania pasa uczynił główną metodę wychowawczą. Z czasem sięgał po rzemień coraz częściej, tym bardziej

że po śmierci żony zastępcą zawiadowcy stacji (nigdy nie udało mu się wspiąć na wyższy szczebel kolejarskiej kariery) zaczął pić. Ostro, coraz ostrzej.

Tymczasem strach przed ojcem nie był jedynym lękiem chłopca. Od małego bał się również swoich rówieśników, przeważnie większych, bardziej brutalnych, którzy, kiedy tylko mogli, dokuczali słabeuszowi, uważanemu w okolicy za ofermę. A co on mógł poradzić, że wolał książki od kopania piłki? Dysponował tylko jednym atutem, przed którym drżały najsmielsze nawet andrusy z okolicy: bratem policjantem! Doskonale wiedzieli, że jeśli w prześladowaniu Kondka posuną się za daleko, pojawi się niezawodna odsiecz na motorze, w błyszczących butach, z pistoletem w ręku...

Niestety, ów jedyny obrońca, postrzelony w pościgu za jakimś złoczyńcą, zmarł po pięciu dniach - 5 grudnia 1932 roku - w wileńskim szpitalu. Dokładnie w czasie, kiedy odszedł z tego świata Edmund, brat Karola.

Można powiedzieć, że obaj oddali życie w służbie społeczeństwu. Z tą tylko różnicą, że starszy Wojtyła umarł na płonicę - w trakcie swej lekarskiej posługi zaraził się od pacjenta, którego za wszelką cenę próbował ratować.

Inne natomiast okazały się reakcje na śmierć i konsekwencje zgonów. Karol Wojtyła, który odejście brata przeżył chyba jeszcze silniej niż śmierć matki, skomentował zdarzenie słowami, które zdumiały świadków: „Taka była wola Boża”.

Natomiast Konrad w analogicznej sytuacji poczuł się jak zwierzę złapane w pułapkę, bez żadnej możliwości ucieczki. Podobno wychodząc ze szpitala, kłął i bluźnił. Później opuścił się w nauce, coraz częściej zaszywał się na „górcie”, jak nazywano poddasze jego domu, w świecie książek, marek pocztowych i marzeń. Niedługo potem ostatecznie zerwał z praktykami religijnymi.

Z powodu bardziej niż prozaicznego: od pewnego czasu obawiał się pójść do spowiedzi. Wielu chłopców ma w podobnym wieku problemy związane z uświadamianiem sobie własnej fizyczności, z pierwszymi doświadczeniami wynikającymi z masturbacji czy młodzieńczego homoseksualizmu, Ale to wszystko było jeszcze przed Konradem. Na razie odkrył grzeszną przyjemność w dręczeniu zwierząt. I to taką, która nie wypływała z atawistycznej u młodego mężczyzny żylki łowieckiej, nakazującej strącić z procy srokę czy upolować z floweru zająca. Chłopak odkrył, że największą uciechę sprawia mu obserwowanie cudzego strachu lub cierpienia. Pościg za bezańskim kotem lub psem i wrzucenie ich do beczki, którą potem toczył dróżką wśród wrzasków dochodzących ze środka. Przy okazji niebawale rozwinął swoje umiejętności łowieckie. Przecież nie mógł bezkarnie prześladować zwierząt należących do sąsiadów. Dlatego mając zaledwie trzynaście lat, budował przemyślnie pułapki, w które chwytał wszystko, co większe od myszy, a mniejsze od cielaka. Zabiegom towarzyszyła ciekawość naukowca. Godzinami potrafił obserwować zachowanie podtapianego kota lub paść oczy i uszy skowytami przerażonego psa spuszczanego na sznurku z zabytkowej baszty. Przywiązywanie do ogona czworonoga kłębka zapalonych pakietów, lewatywa z jodyny lub żrącego płynu do czyszczenia klozetu stanowiły doświadczenia jeszcze ciekawsze. Jednak kiedy zdechł pierwszy obiekt jego badań, sympatyczny kundelek znaleziony pod lasem, poczuł się niedobrze. Trochę przestraszył go sam fakt spowodowania czyjeś śmierci, a trochę ogarnęło niezadowolenie, że popsuł sobie zabawkę. Przecież nie chciał zabijać! Pragnął rozrywki, która przytłumiłaby na moment strach, który odczuwał przed światem postępującym z nim, jego zdaniem, nie lepiej niż on ze zwierzętami. Tylko jak się z tego spowiadać?

Przez krótki okres drżał, zawieszony pomiędzy rozkoszą sady-
stycznych zabaw a lękiem przed mękami piekielnymi, które na nie-
go czekały. Wprawdzie otchłań wiecznego ognia, jako zapłata za
chwile zabawy ze zwierzątkami, wydawała mu się karą przesadzo-
ną, ale - jeśli wierzyć słowom księdza - nieuniknioną.

Na szczęście, materialistyczna edukacja ojca szybko wyleczyła
chłopaka z tych obaw.

Piektło wymyślili księża, żeby straszyć ludzi; Bóg został Stworzo-
ny przez kapłanów i królów w celu ciemnienia proletariatu miast
i wsi; istnieje jedynie materia, która nie podlega żadnemu osądowi
po śmierci - argumenty „towarzysza Jurka”, może i prymitywne, ale
składające się na model łatwy do ogarnięcia przez młody umysł,
trafiały do wyobraźni wyrostka. Co prawda perspektywa, że kiedyś
się umrze, była gorsza od wizji światłości wiekuiestej, ale z punktu
widzenia nastolatka rozciągał się przed nim cały ocean czasu do
przeplięnięcia i nie należało się przedwczesnie zastanawiać, co się
wydarzy po dotarciu do drugiego brzegu.

Dodatkowo ojciec przekazał synowi cały zasób dosadnych
określeń poniżających wroga. O księdzu nigdy nie mówił inaczej
jak „katabas” czy „klecha”, zakonnice obdarowywał pieszczotliwy-
mi określeniami „wrony” lub „kawki”, Boże Ciało nazywał «wietrze-
niem dywaników”, a komunię pod dwoma postaciami - „ludożer-
stwem”. Zanim Konrad skończył szesnaście lat, jego ateistyczne
wychowanie zostało w zasadzie ukończone - znał na pamięć
wszystkie niegodziwości Kościoła: inkwizycje, nawracanie ogniem
i mieczem, wspieranie pańszczyzny i rozbiorów, palenie czarow-
nic na stosach, prześladowanie genialnych naukowców, wciąganie
najwartościowszych dzieł na indeks ksiąg zakazanych, błogosła-
wienie podbojów, a do tego skrzętnie ukrywane skandale, który-
mi, niczym w opowieściach markiza de Sade’a, przeżarta była cała

historia chrześcijaństwa. Składały się na nią wsypane do jednego worka: orgie w Watykanie, papieżycza Joanna, trucicielstwo Borgiów, spiski jezuitów, wytępienie Indian, niewolnictwo, handel odpustami, a nade wszystko - mącenie ludziom w głowach dla własnej korzyści. Przez następne lata miał szanse zweryfikować większość tych kategoriycznych sądów, przekonać się, jak są naciągnięte, uproszczone lub wręcz kłamliwe. W niczym to jednak nie umniejszało niechęci, którą żywił do wierzących i ich duchowych przewodników. Stał się impregnowany nawet na tak obiektywne fakty, jak poświęcenie siostr zakonnych w służbie chorym czy zasługi Kościoła w walce z zaborcami, a później hitlerowcami. Bo naprawdę wierzył, że religia jest chorobą umysłową, roznoszoną metodą bezpłciową. Zaraźliwą pandemią, z którą, jak z każdą epidemią, należy walczyć wszelkimi dostępnymi środkami.

Ta indoktrynacja udawała się z jeszcze jednego powodu. Dorastający młodzieniec bardzo szybko zdał sobie sprawę, że jedyny sposób na utrzymanie ojcowskiej ręki z pasem z dala od jego sempiterny polega na zgadzaniu się z nim. Praktykę potakiwania doprowadził do perfekcji. Kiedy z jakiegoś powodu nad dolną częścią jego pleców gromadziły się burzowe chmury, potrafił jednym pytaniem skierować całą uwagę i wściekłość rodziciela na znienawidzoną instytucję. A w ostatecznym odwodzie czekała ukryta fłaszeczka, której widok, a jeszcze bardziej zawartość, potrafiły ułagodzić nawet największą furję starego kolejarza.

Konrad więc już jako kilkunastolatek odkrył, jak prostym urządzeniem jest człowiek i jak łatwo nim sterować. Wystarczało tylko znaleźć jego najłabsze punkty, czasem dowiedzieć się tego i owego, aby potencjalnego przeciwnika zmienić przynajmniej w neutralnego kolegę. Zatem umiejętnie wślizgiwał się w łaski klasowych przywódców i podwórkowych hersztów, szczuł na siebie (nie

pozostawiając śladów) konkurencyjne grupki. Stał się zausznikiem kilku budzących postrach nauczycieli, ale żaden uczeń nie rozpoznałby w nim kapusia, zresztą w wieku siedemnastu lat zaczął wreszcie rosnąć, pozostawiając za sobą innych szkolnych kurdupli, na których wyżywał się chętnie, choć inteligentnie.

Czasem przyjemność okazywała się tak duża, że w nim samym wzbudzała grozę. Kiedyś w lesie pod Mołodecznem, dokąd wybrał się z ojcem na grzyby, usłyszał płacz małego Żydziaka, który zgubił drogę. Konrad został sam, podpity opiekun zasnął w leśniczówce.

W pierwszym porwywie serca pospieszył z pomocą. Niestety, dzieciak zamiast się ucieszyć, dalej zachowywał się histerycznie, opluł go i próbował kopnąć. Tego było za wiele dla małego sadysty tkwiącego w ciele ucznia gimnazjum. Najpierw obezwładnił gnoja, potem przywiązał go do drzewa i straszył ponad pół godziny, przedstawiając pełny asortyment tortur, które obiecywał zastosować. Żadnej zresztą nie uskutečnił. Jednak barwne opowieści o zakopywaniu w mrowisku czy nacieraniu fekaliami w celu zwabienia wilków, okraszone wzmianką o krukach wydziobujących oczy i szczurach wślizgujących się we wszystkie otwory ciała, wprawiły malca w stan kompletnej paniki. Oprawca parokrotnie udawał, że odchodzi i zostawia przywiązanego chłopca na pastwę losu. Cóż za pyszna zabawa - widzieć, jak ten płakał i wył ze strachu, a w dodatku popuszczał w spodnie. Kiedy jednak ofiara na dobre zemdląła, Konrad odwiązał drobne ciało i uciekł. W nocy zakradł się w to samo miejsce, sprawdzić, czy malec nie żyje. Zniknął, a więc przeżył. Aż do rana, póki nie wyjechałi z leśniczówki, drżał, że przyjdzie po niego policja. Ale nie przyszła. Może szczeniak, kiedy doszedł do siebie, nawet się nie poskarżył?

W wieku jedenastu lat Karol został ministrantem. Szybko ksiądz Kazimierz Figlewicz powierzył mu kierownictwo nad innymi chłopcami

służącymi do mszy. Jego zdolności przywódcze były oczywiste, chociaż potrafił doskonale funkcjonować w zespole, a w piłkarskiej drużynie stawał przeważnie na bramce. Bardzo szybko jego wyobraźnią zawładnęła romantyczna poezja i teatr. Recytował poezję na wieczorach teatralnych i występował w wielu spektaklach. Bywał Zygmuntem Augustem w sztuce Wyspiańskiego, Hajmonem w Antygonie Sofoklesa, Hrabią Henrykiem w Nie-Boskiej komedii Krasińskiego, a nawet frywolnym Guciem w Ślubach panieńskich Fredry...

Konrad westchnął. Na tej płaszczyźnie żadnych podobieństw nie widział. On sam bardzo szybko zorientował się, że nie posiada żadnych szczególnych uzdolnień artystycznych, nie potrafił ani pięknie pisać, ani rysować, ani muzykować. Jeszcze w klasie wstępnej organista wydał wyrok na jego śpiewanie: „Tobie to słoń musiał na ucho nadeprnąć”.

Przejście ojca na rentę oznaczało konieczność przerwania szkoły rok przed maturą i pójścia do pracy. Rok później upomniało się o niego wojsko. Ale ta perspektywa już go nie przerażała. Potrafił radzić sobie z ludźmi większymi i silniejszymi od siebie. Poza tym marzył, aby pójść w ślady brata i wstąpić do policji. Jako licealista rozczytywał się w przygodach Sherlocka Holmesa czy Tomy'ego Mixa i znał wszystkie kryminały Antoniego Marczyńskiego. Wykazał się zresztą pewnymi osiągnięciami na polu dedukcji. Metodą analizy zdemaskował nocnego złodzieja w ich miasteczku. Pomógł także miejscowemu komendantowi (rówieśnikowi Edwarda) w zastawieniu pułapki na rabusiów kolejowych.

- Będziesz znakomitym detektywem - upewniał go podkomisarz Marecki - godnym następcą swego wspianego brata.

Być może oceniał go trafnie. Nie miał jednak okazji zweryfikować swej opinii, bo w trakcie wojny zginął z rąk oprawców z NKWD.

W każdym razie, kiedy Karol Wojtyła znalazł się na Uniwersytecie Jagiellońskim, Konrad przekroczył bramę ponurych koszar w jednym z pogranicznych miast na wschodzie Polski.

*

Na zegarze wybiła trzecia. Oderwał się od lektury. Poczuł, że musi napić się czegoś mocniejszego albo zapalić. Obie przyjemności zostały kategorycznie zabronione przez lekarza. Ale spaceru na in-deksie czynności zakazanych nie było! Niewiele myśląc, ubrał się i wyszedł w mroźną noc. Wielki zimny księżyc wisiał nad Żoliborzem, przyglądając się ziemi z pełną obojętnością. Chłód podziałł dobrze na rozgorączkowaną głowę.

„Czego ty tam właściwie szukasz? - po raz kolejny zadawał sobie pytanie. - Co chcesz sobie udowodnić? Podobieństwa w życiu o niczym nie świadczą. Przypadek i tyle!”.

Ale bardziej dociekliwa część jego jaźni nie dawała się zbyć równie łatwo.

„Czy jest możliwe nagromadzenie tylu przypadków jednocześnie? Poza tym chyba niewłaściwie stawiasz kwestie. To, że znajdziesz w życiorysach punkty zbieżne, pozostanie co najwyżej ciekawostką, jeśli nie zadasz sobie ważniejszych pytań. Jakich? «Dlaczego?», «Co z tego wynika?». Nic! Na gruncie materialistycznym z pewnością nic. Wszystko stanowi serię zdarzeń w czasie i przestrzeni, podległych jedynie prawom fizyki. W przyrodzie nic przecież nie dzieje się po coś. Nikt nie pisze scenariuszy naszego życia. Nie pojawiamy się na tym padole łez w jakimś określonym celu i nie mamy do wypełnienia żadnej misji”.

Naraz zdał sobie sprawę, że głos w jego głowie pobrzmiwa charakterystycznymi zaśpiewami „towarzysza Jerzego”. Czyżby z wiekiem aż tak bardzo upodobał się do swojego ojca?

- A gdzie to się tak wałęsamy, obywatelu, mimo godziny milicyjnej?

Unióś głowę i zobaczył dwóch zziębniętych funkcjonariuszy, na pierwszy rzut oka przeniesionych do stolicy z głębokiej prowincji.

- Dokumenty poproszę.

Machinalnie sięgnął do wewnętrznej kieszeni i natychmiast Uświadomił sobie, że wyszedł z domu bez dokumentów.

Idiotyczna sytuacja. Czy powinien tłumaczyć się przed tymi chłopakami z Łap czy Przasnysza, że jest generałem MSW, zastępcą członka Komitetu Centralnego? Potem przemknęła mu inna myśl: „A gdyby odmówić jakichkolwiek wyjaśnień, dać się aresztować, zawieźć na komendę...? Cóż to by było za ciekawe doświadczenie!”.

- Do was mówimy, obywatelu - głos zniecierpliwionego milicjanta zrobił się wręcz niesympatyczny, co podsunęło Konradowi jeszcze jedno rozwiązanie. Ciągłe w nie najlepszej formie, bez większego trudu dałby radę obalić obu chłopaków, skuć własnymi kajdankami i odwieźć na komisariat.

Pomysł wydał mu się nęcący, ale nim zdążył wprowadzić go w czyn, tuż koło nich z piskiem opon zahamowała czarna wołga i ktoś przywołał starszego z funkcjonariuszy. Ten szybko podszedł do samochodu i pochylił głowę przy otwartym okienku. Młodszy pozostał na miejscu, unióś tylko nieco wyżej automat i nadal przyglądał się czujnie stojącemu przed nim mężczyźnie.

„A więc, mimo że chory i na emeryturze, nadal mam swojego diabła stróża...” - pomyślał generał.

Po trzydziestu sekundach było po wszystkim. Zniknęli obaj milicjanci oraz czarny samochód. I znów pozostał tylko śnieg, mróz i księżyc. A Konrad mógł bez przeszkód kontynuować spacer i rozmyślenia.

Potrafił uchwycić elementy, które, mimo podobieństw, sprawiały, że drogi jego i Karola Wojtyły z każdym rokiem oddalały się od siebie coraz bardziej. Ale mimo wszystko ciągle nie stawały się idealnie przeciwne - wybijający się student Uniwersytetu Jagiellońskiego jeszcze nie podjął decyzji o kapłaństwie, podczas gdy rozpoczęcie przez Konrada pracy w aparacie represji Polski sanacyjnej zdawało się nieomal pewne.

Jednak wszystko bardzo szybko miało się zmienić.

W trakcie służby wojskowej Konrada wybuchła wojna.

*

Ułanowicz wykazał się talentem batalisty. Konrad szczerze zazdrościł mu epickiego rozmachu, z jakim odmalował wrześnieją katastrofę. Odnosiło się wrażenie, że z pokrytych pismem maszynowym kart wzbijają się duchy tamtych czasów, słychać jęk syren, co „w oktawy opada”, warkot czołgowych silników, hurgot gąsienic po kocim bruku, tętent kampanii kawalerii idącej kłusem z furkotem proporczyków, lament kościelnych dzwonów, płacz dzieci i rozpaczliwy skowyt psa, który jeden jedyny ocalał z całego gospodarstwa.

Arystokrata plastycznie opisywał przeżycia młodego Karola i doświadczenia wspólnej z ojcem ucieczki na wschód, aż do Tarnobrzega, skąd, gdy okazało się, że w tej wojnie nie ma dokąd uciekać, zawrócili do Krakowa.

Autor jakby unosił się ponad atakowaną z dwóch stron Polską niczym drapieżny ptak, ogarniając jednym spojrzeniem fronty, zgrupowania wojsk, przemarsze grup uderzeniowych i desperackie bitwy, by potem gwałtownie zbliżyć się do jakiejś grupki ludzi, do pojedynczych pionków wielkiej rozgrywki i wedrzeć się w ich serca i umysły.

Konrad z września 1939 roku zapamiętał głównie zmęczenie, niewyspanie, trud nieustannego przemarszu połączonego z oczekiwaniem na wielką bitwę, która nie nadchodziła. Trwała wojna, ludzie ginęli dziesiątkami i setkami tysięcy, a jemu nie udało się ani razu wystrzelić. Może na tym polegało jego szczęście. Najpierw szli ku frontowi, potem pojawiły się odwrotne rozkazy - podążania w stronę przyczółka rumuńskiego, wreszcie 17 września gruchnęła wieść o wkroczeniu Rosjan. Świat zwałił się im na głowę. Jeszcze wczoraj silni, zwarci, gotowi, teraz rozbrojeni, stanowili tułaczą gromadę. Rosjanie, pieczołowicie zajmując się oficerami, szeregowców puścili wolno.

Wśród zdemobilizowanych rywalizowały sprzeczne tendencje. Jedni radzili udać się za rządem do Rumunii, aby dotrzeć na Zachód, skąd lada dzień musiała ruszyć ofensywa niezwycięzonej Francji, która wespół z sojusznikami winna roznieść w pył hitlerowskie państwo zła. Inni, zwłaszcza rekrutujący się z którejsz z licznych mniejszości narodowych, gotowi byli pozostać w sferze sowieckiej i włączyć się w ludowe państwo robotników i chłopów, które i tak prędzej czy później „ogarnie ludzki ród”. Konrad, mimo entuzjastycznych nauk ojca, nie palił się do tej perspektywy, rozważał powrót do domu, pod Wilno, choć słuchy o tym, że zajmują je Litwini, nie działały zachęcająco.

Kapral Marczak, z którym zaprzyjaźnił się w trakcie kampanii, sugerował przejście przez linię demarkacyjną, do Warszawy, póki jeszcze można. Syn warszawskiej Pragi uważał, że z dwojga złego lepiej znaleźć się wśród Niemców, bo są bardziej przewidywalni, a na dodatek czystszy. Konrad zgodził się z tą argumentacją. Obaj dostali zatrudnienie przy odgruzowywaniu praskiego węzła komunikacyjnego. Po dwóch miesiącach udało mu się nawiązać korespondencyjny kontakt z ojcem i ściągnąć go do stolicy.

- Nawet nie podejrzewałem, że Litwini mogą nas tak nienawidzić - żalił się stary kolejarz po przyjeździe do syna. - Całe życie wydawało mi się, że wszystko rozumiem, a teraz jestem taki pogubiony...

Lewicowemu internacjonalistcie wiele rzeczy nie mieściło się w głowie. Sojusz Hitlera ze Stalinem, gwałtowne załamanie państwa polskiego, o którym miał fatalne zdanie, ale - jak przyznawał z westchnieniem - „było to nasze państwo”. Coraz bardziej słabł, a po upadku Francji, która mimo posiadania „najpotężniejszej armii lądowej” skapitulowała dwa razy szybciej niż Polska, praktycznie przestał podnosić się z łóżka. A jak już wstał, to gapił się w pejzaż bud, baraków i gołębników, rozciągający się za oknem wynajętej izby w drewniaku na Goślawku. Umarł mroźnym rankiem 18 lutego 1941 roku. Tak jak ojciec Jana Pawła II.

Pozostawił sporo papierów, przeważnie mało odkrywczych komentarzy, kreślonych na marginesach marksistowskich broszur, a także swoje dzienniki, wypełnione szczegółowymi informacjami o pogodzie, aktualnych cenach czy sytuacji na froncie. Ostatniego zapisu, bardzo nierównym pismem, zdradzającym palce ledwo trzymające ołówek, dokonał dzień przed śmiercią: „A jeśli się myliłem?”.

III

Bóg używa niekiedy zadziwiających posłańców, aby nieśli Jego przesłanie i odmieniali dusze ludzi. Ongiś posłużył się rybakami, celnikami i rzemieślnikami z okolic jeziora Genezaret albo pastuszkami, którym w Fatimie objawiła się Maryja. Czy oznacza to, że ludzie prości są lepszym materiałem niż intelektualiści (choć regule przeczą, na przykład, Paweł z Tarsu czy Augustyn z Hippony)?

Człowiek, który miał ważny, a może decydujący wpływ na wybory młodego Wojtyły, był krawcem. Krawcem i trochę księgowym. Jan Tyranowski specjalizował się wszyciu i łataniu męskich płaszczy. Chuda, przygarbiona sylwetka, długie siwe włosy zaczesane do tyłu, głos nieco piskliwy. Dziwak. Samotny, przez wielu uważany za pomyleńca. Pięć lat wcześniej, słuchając homilii w kościele parafialnym na Dębnikach, doznał duchowego przebudzenia. Zwykle kazanie, jak twierdzili znajomi, otworzyło w sercu dojrzałego mężczyzny jakąś nową życiową przestrzeń, a zarazem poczucie misji. Zaczął wieść żywot świeckiego zakonnika. Do swojego mieszkania przy ulicy Różanej 1, w pobliżu Rynku Dębnickiego, począł zapraszać młodych ludzi, najpierw na modlitwę różańcową, potem na czytanie Biblii i rozmowy o wierze. Uważał, że w każdym człowieku tkwi głęboka religijność, której trzeba pomóc się ujawnić. Nie przypadkiem blisko tuzin uczestników tych spotkań został później księżmi.

Czas okupacji, przywodzący myśli o apokaliptycznym końcu, sprzyjał mistyce, a miejsce niszczonej struktur kościelnych i zgromadzeń zakonnych zajmowała indywidualna inicjatywa. Co znamienne, chociaż Gestapo namierzyło grupę Żywego Różańca i wpadło do mieszkania Tyranowskiego, organizatora spotkań uznano za niegroźnego mistyka religijnego, w dodatku niespełna rozumu.

Nasuwa się przedziwna analogia - krakowski krawiec, niczym apostoł rybak, skutecznie łowił dusze. W lutym 1940 roku, w kościele Świętego Stanisława Kostki w położonych na prawym brzegu Wisły Dębnikach, zwrócił uwagę na młodzieńca obecnego na rekolekcjach i zaproponował mu przystąpienie do Żywego Różańca. Karol Wojtyła był wprawdzie od dziecka bardzo religijny, ale ciągle widział siebie jako polonistę, może aktora. Zaledwie dwa lata wcześniej spotkał się z arcybiskupem Adamem Sapiehą, który przybył do Wadowic udzielać sakramentu bierzmowania. Karol witał go po łacinie w imieniu gimnazjalistów i swoją perfekcją

wymowy, sylwetką i uduchowieniem zrobił wielkie wrażenie na księciu Kościoła.

Dostojnik zapytał księdza Zachera, prefekta wadowickiego gimnazjum, na jaki kierunek studiów wybiera się Wojtyła po maturze.

- Idzie na polonistykę - odparł ksiądz Zacher.
- Szkoda, że nie na teologię - westchnął arcybiskup.

Można się zastanawiać, kim zostałby Karol Wojtyła, gdyby nie wojna. Kolejnym polskim noblistą, politykiem, aktorem o światowej sławie? Gdyby nie wojna i krawiec z Dębnik, który odsłonił przed nim tajemnice różańca i skierował jego myśli ku wielkim chrześcijańskim mistykom - Janowi od Krzyża czy Teresie z Avili.

W noc okupacyjną wśród krawieckich manekinów i maszyn do szycia żarliwy samouk rozmawiał z młodym studentem o przemysłach „ojca Europy” - Tomasza z Akwinu...

Powieści i filmy wojenne wyrabiają w kolejnych pokoleniach Polaków dość jednostronny obraz okupacji niemieckiej. Martyrologia, Holocaust, konspiracja i pomoc Żydom. Państwo podziemne i terror Gestapo. Lecz to zaledwie część prawdy o tamtych czasach. Ogromna większość społeczeństwa chciała po prostu przeżyć. Jeśli nawet działała przeciw hitlerowskiemu okupantowi, to kombinując, a nie konspirując.

W Generalnej Guberni nie tylko likwidowano zdrajców i wysadzano pociągi. Ludzie normalnie pracowali, tramwaje chodziły według rozkładu, działały sądy i szpitale. Polacy się kochali, pobierali i bawili. Mimo bojkotu kina były pełne, a gadzinowy „czerwoniak” mógł liczyć na czytelniczą klientelę.

Jeśli w tym czasie za życiowego przewodnika młodego Konrada uznać kaprala Antka Marcza, to reprezentował on właśnie ową słabiej opisaną, choć liczebniejszą część społeczeństwa. Praca

w węźle kolejowym, tym najbardziej newralgicznym punkcie Generalnej Guberni, dawała nie byle jakie atuty do rozwijania prywatnej aktywności.

Konrad nie spotkał swojego Tyranowskiego. W pewnym stopniu rolę jego życiowego preceptora odgrywał Leon Rękoś, brat stryjenki kaprała Marczaka, nazywany przez wszystkich znajomych i współników, niezależnie od stopnia pokrewieństwa - „wujem Leosiem”. Rękoś, już przed wojną wpływowy paser, wszedł w próżnię powstałą na Pradze po zamknięciu Żydów w getcie i rychło stał się osobistością, z którą liczyli się zarówno miejscowi kryminaliści, granatowi policjanci, jak i Niemcy. W jego imperium, obejmującym znaczną część prawobrzeżnej Warszawy, choć - przynajmniej - miał tu wielu konkurentów, region węzła kolejowego odgrywał decydującą rolę. Tędy szedł szmugiel rąbanek i innych luksusowych towarów, przemycano ludzi i broń. Jeśli z transportu zniknął wagon żółwi czy rosyjskiego szampana, to z pewnością u „wuja Leona” „powolniaki” lub wino z bąbelkami stały po cenie hurtowej.

Rękoś nie był zachłanny. Wiedział, że przy drobnych kombinacjach szeregowych niemieckich urzędników korumpowało się dość łatwo. Wielka afery natomiast, wywołująca zainteresowanie samego Berlina, mogła ściągnąć mu na głowę siły, z jakimi nie dałby rady wygrać. Jego nauki, które przyswoił sobie w tym czasie Konrad, brzmiały dość prosto: żeby przeżyć w dżungli, musisz zachowywać się jak drapieżnik - zasada jest prosta: albo ty, albo ciebie!; nie przetrwasz w pojedynkę, stań się członkiem watahy, stada lub hordy i przestrzegaj wewnętrznych reguł grupy, bądź solidarny i koleżeński; ostrożność nie może oznaczać tchórzostwa, a odwaga - brawury; trzymaj na uwięzi emocje; kieruj się zdrowym rozsądkiem, nie wariuj od nadmiaru powodzenia; nie pozwalaj sobie ani

na zbytnią chciwość, ani na zbytnie skąpstwo; uważaj na kobiety, szanuj matki i żony, ale nigdy nie myśl genitaliami...

Chociaż główny motyw działalności starego kryminalisty stanowiły pieniądze, miał znakomite układy z rodzącym się podziemiem, któremu świadczył nie lada usługi - znakomici przedwojenni fałszerze produkowali kenkarty, prawa jazdy, katolickie metryki, kartki żywnościowe. Ludzie Rękosia pośredniczyli też w handlu bronią, gotowi zaopatrywać konspirację w każdą broń mniejszą od katiuszy i czołgu Tygrys. To oznaczało, że musieli dysponować niezbędnymi w tego rodzaju interesach kontaktami z Gestapo i NKWD, a warto wspomnieć, że między 1939 a 1941 rokiem te instytucje żyły w przyjaźni i ściśle ze sobą współpracowały.

Doskonale funkcjonujący mechanizm kombinatora sprawił kłopot jedynie dwa razy. Po raz pierwszy mocno zazgrzytał, kiedy w czerwcu 1941 Niemcy runęli żelazną nawałą na Związek Sowiecki. Zawalił się rynek wschodni, a dawni sowieccy konfidenci stali się zwierzyną łowną, trzeba więc było szukać nowych kontaktów i innych kanałów zaopatrzeniowych. Drugie poważne wyzwanie przyniosły decyzje podjęte na konferencji w Wannsee, czyli ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej. Do połowy 1942 roku przerzut bogatych Żydów z getta (biednymi „wujek Leoś” głowy sobie nie zawracał) płynął niewielkim, ale wartkim strumykiem. Za cenę wprawdzie wysoką, ale w granicach rozsądku, ludziom o bardziej aryjskim wyglądzie umożliwiano wtopienie się w polskie społeczeństwo, pozostałym organizowało się przerzut na Węgry albo aż do Hiszpanii. I trzeba powiedzieć, że Rękoś kierował się w działalności etyką starego przedwojennego złodzieja - jeśli obiecał, dotrzymywał słowa. Konrad przekonał się o tym, gdy pewnego razu w trakcie przerzutu nastąpiła wpadka i trójka Żydów trafiła w ręce Gestapo - Leon wykupił ich wtedy za swoje pieniądze.

- Chodzi przecież o moją reputację! - twierdził.

Marczak uznał takie postępowanie za idiotyzm i frajerstwo, należał bowiem do pokolenia bardziej pazernego i mniej skłonnego do przestrzegania jakichkolwiek reguł. Jeszcze gorszy był jego młodszy brat Tadzio. Urodzony rozrabiaka. I od niego wszystko się zaczęło.

*

W życiu Karola Wojtyły do decydującego przełomu doszło między jesienią 1941 a październikiem 1942 roku.

Czy można postawić przyszłemu papieżowi zarzut, że nie włączył się w nurt konspiracji, którą tętnił młodzieżowy Kraków, że nie zdecydował się na walkę orężną, poprzestając na pracy w tajnym Teatrze Rapsodycznym Mieczysława Kotlarczyka? Czy wypływało to z czysto ludzkiej obawy o własne życie, czy też już wówczas widział perspektywę znacznie dalszą i zadania dla siebie daleko przekraczające indywidualną daninę krwi? Dookoła „śmierć kosila niby łąn”, przyjaciele ginęli, szli do więzień i obozów, a on potrafił jedynie się modlić. „Naszym obowiązkiem jest modlitwa i proszenie Boga, by dał nam siłę przetrwać”. Program minimum? Czy realizacja Pawłowej zasady „Zło dobrem zwyciężaj”? Zresztą, czy mury klasztorne lub kościelne zakryście stanowiły w tamtych czasach miejsce azylu?

Szerzyły się aresztowania księży i zakonników. Wywieziono do obozu salezjanów z parafialnego kościoła na Dębnikach...

Pierwszą i ostatnią teatralną rolę Karola była postać Bolesława Śmiałego w Królu-Duchu Słowackiego. Przyszły metropolita krakowski wcielił się w postać króla, który zabił jego świętego poprzednika... I podobno okazał się w tej roli genialny. Premiera odbyła się

1 listopada 1941 roku. Juliusz Osterwa, świadek spektaklu, twierdził

wręcz, że „narodził się wielki aktor”. Dlatego wszystkich zaskoczyła decyzja Wojtyły. Wkrótce po premierze poprosił Kotlarczyka, aby nie obsadzał go w nowych spektaklach. Równocześnie złożył wizytę arcybiskupowi Sapieszce. Temu samemu, którego przed paru laty tak bardzo rozczarował swoją decyzją o świeckiej karierze. Teraz powiedział wprost:

- Chciałbym zostać księdzem...

W tym momencie Konradowi przypomniła się pewna rozmowa. Odbił ją około Świąta Zmarłych 1941 roku z działaczem lewicowej grupki bojowej, dla której dostarczył trochę broni. Z powodu godziny policyjnej spędzili całą noc w konspiracyjnym lokalu, gadając o polityce i realnych możliwościach ruchu oporu.

- Mógłbyś do nas przystąpić. Tacy jak ty są skarbem - mówił towarzysz posługujący się pseudonimem „Marek”.

- Nie mam talentów żołnierza ani publicysty - bronił się Konrad.

- Ale byłbyś świetnym wywiadowcą i analitykiem - przekonywał jego rozmówca.

- Nie pilno mi do piachu.

- A kto mówi o śmierci? Potrzeba nam żywych aktywistów. Zwłaszcza gdy wybije nasza godzina.

- To znaczy kiedy?

- Już wkrótce. Związek Radziecki pokona Niemców...

- Na razie to hitlerowskie zagony są już pod samą Moskwą.

- I tam utknęły. Nie mogę przewidzieć, ile to zabierze czasu, rok czy dwa lata, ale jestem przekonany. Wystarczy zresztą rzucić okiem na mapę, aby się zorientować, że kiedy nazistowska bestia padnie, do Polski wkroczy Armia Czerwona. I chyba nie sądzisz, że pozwoli dalej rządzić paniczykom z Londynu?

Skończyło się na niczym. Konrad zapewnił, że rozważy propozycję „Marka” i zgłosi się do Związku Walki Wyzwoleńczej, kiedy tylko uzna to za możliwe. W duchu uważał rojenia komunistów za brednie. Wszyscy wiedzieli, że Sowietci trzymają się tylko dzięki pomocy aliantów i jeśli nawet wojna się skończy, będą zbyt słabi, żeby dyktować swoje warunki światu. A gdyby jeszcze, o czym mówili wszyscy, do Anglii dołączyły Stany Zjednoczone...

To ostatnie stało się rzeczywistością już po miesiącu. Japończycy zbombardowali Pearl Harbor i uśpiony dotąd amerykański olbrzym wkroczył do gry. Przez cały następny rok Konrad zajmował się wyłącznie interesami. Z powodzeniem. Zimą 1942 roku naprawdę nieźle mu się powodziło. Wspólnie z Marczakiem kupił nieduży, ale wygodny żydowski dom w Kaczym Dole. Miał młodą narzeczoną - kelnerkę Wandzię - pulchną blondynkę z dużym jędrnym biustem, z którą poczynił sobie coraz śmielej, choć ta trzymała się twardo i pozwalała mu na niewiele, żądając wcześniej zawarcia ślubu. W trakcie działalności handlowej dla „praskiego syndykatu” zjeździł całą Generalną Gubernię, a korzystając z lewych papierów na nazwisko folksdojczya Hansa Reszkego, dotarł aż do Wiednia i Berlina i nabrał ochoty, by odwiedzić Paryż. Dzięki talentowi do języków jego szkolny niemiecki przemienił się w ciągu paru lat okupacji w całkiem sprawną niemieczkę i choć nie miał słuchu muzycznego, potrafił mówić jak berlińczyk, naśladować akcent bawarski czy gardłową mowę z nordyckiego pogranicza. Ponieważ od fałszywych poświadczeń personalistów zawsze lepsze są prawdziwe, z radością kupił nową tożsamość w postaci dokumentów niejakiego Markiewicza, z którym łączyło go dość rzadko występujące w ich generacji imię Konrad. Odpis metryki i oryginał świadectwa maturalnego z Liceum Krzemienieckiego pozwalały cieszyć się dużo lepszym

statusem społecznym. W dodatku bez konieczności uczęszczania na tajne kursy gimnazjalne. O prawdziwym Konradzie Markiewicz, który został internowany przez Sowieców po kampanii wrześniowej, wszelki śluch zaginął, a jego rodzinę wywieziono na Wschód. Nie trzeba było wielkiego proroka, żeby przewidzieć, że po wojnie miasto Słowackiego znajdzie się za granicą i nikt nie zechce sprawdzać ani tożsamości, ani rzeczywistego przebiegu edukacji posiadacza tych dokumentów.

Tymczasem w styczniu 1943 roku przysli do świeżo upieczonego Markiewicza dwaj Marczakowie i półgębkiem oznajmili, że dostali zlecenie.

- O co chodzi?

- O transport piątki Żydków - wyjaśnił Tazio. - Trzeba przerzucić ich z jednej mety do drugiej. Są cholernie dziani.

- Ile to roboty? - parsknął, ale zaniepokoiły go niewyraźne miny braci. - Jest jakiś problem?

- Zrobimy to na własny rachunek... - burknęli niechętnie.

- Oczywiście „wuj Leoś” dostanie działkę, ale bez wdawania się w szczegóły.

- Nie rozumiem.

- Im mniej będziesz rozumiał, tym lepiej dla ciebie - mruknął Antek.

Bardzo szybko się zorientował, co mają na myśli. Zamierzali obrabować swoich klientów, a następnie wydać ich Niemcom. Poczut się wstrząśnięty do głębi, chociaż Marczakowie parokrotnie podkreślali, że ów Blomberg to nie tylko Żyd, ale także kapitalistyczny wyzyskiwacz, przedwojenny bankier, jakby powiedział jego ojciec „prawdziwa burżujska pijawka”.

- Chyba nie tchórzysz? - naciskał Antek.

- Ja? Przecież mnie znasz...

Mimo to zgodził się bardzo niechętnie. Od paru lat poruszał się poza granicą prawa, ale dotąd nikogo nie zabił ani pośrednio nie przyczynił się do śmierci.

Tymczasem rzeczywistość okazała się gorsza, niż podejrzewał. **Do** pomocy przyjęto jeszcze dwóch rzezimieszków - Rypaja i **Mockałę**, którzy nawet w kręgu Rękosia zdążyli już zyskać sobie złą **sławę**. Rodzina Blombergów ukrywała się w piwnicy domu pod Otwockiem, ale przechowujący ją Polacy nie ufali sąsiadom i bali się śmiertelnie, że zostaną zadenuncjowani.

Marczak obiecał Blombergowi, że przewiezie go z całą rodziną do **lasu**, a następnie „skokami” doprowadzi aż do słowackiej granicy.

Umówionej nocy zajęchali w dwie fury na tyły wolno stojącej willi. Żydzi wyszli z piwnicznego schowka, taszcząc cztery ciężkie walizy.

Przodem kroczył ojciec, znany warszawski bankowiec, ogolony, **w** eleganckim futrze, tak jakby ostatni rok spędził na wczasach, **a** nie w jakiejś norze, za nim postępowała jego równie szykowna żona, lekarka, i trójka dzieci, z najstarszą, siedemnastoletnią Hanką o pięknych, regularnych rysach i niesamowitych czarnych oczach.

Widok piątki uzbrojonych mężczyzn wzbudził spory niepokój **u** dyrektora Blomberga.

- Czy to nie za duża grupa? - zapytał szeptem Marczaka.
- Musimy być przygotowani. Gdybyśmy natknęli się na jakiś niemiecki patrol, nie damy się zatrzymać.

Do pierwszych sań wsiadł Blomberg z córką, która bardzo sensownie położyła się z tyłu i nakryła kocami. Miejsce obok dyrektora zajął Tadzik Marczak. Z przodu zasiedli Konrad i bandzior Genek Rypaj.

W drugich saniach znalazła się większość bagaży, pani Blombergowa z dwójką dzieci oraz Antoni Marczak i opyszek Mockała.

Noc była pochmurna, a synoptycy zapowiadali obfite opady śniegu, co sprzyjało ich zamierzeniom.

Zaraz za Otwockiem zagłębili się w lasy. Antoś poczęstował wszystkich alkoholem, ale Blomberg odmówił. Rozmowa się nie kleiła, tak więc nocną ciszę przecinało jedynie parskanie koni i szmer sań sunących po śniegu.

W pewnym momencie z duktu skręcono w węższą przesiekę.

- Dlaczego zbaczamy z drogi? - zdziwił się bankier.

- Bo tędy będzie bezpiecznej - powiedział Tadzik Marczak. Usiłował mówić normalnie, ale jego głos zabrzmiał dziwnie ochrypłe. Blomberg błyskawicznie go przejrzał.

- Zapłaciliśmy wam dobrze - oświadczył.

- Za mało - pokręcił głową Antek. I zdębiał.

W rękę Żyda zobaczył pistolet. Bankier przytknął lufę do głowy powożącego saniami Genka Rypaja.

- Zawracajcie! - zawołał. - Natychmiast!

Dzieci z drugiej fury, gwałtownie obudzone, podniosły wrzask.

- Do roboty! - krzyknął Tadzik.

Szczęknęła broń. Blomberg zdołał wystrzelić dwa razy. Mózg Rypaja obryzgał całe sanie, druga kula trafiła młodszego Marcza-ka w ramię.

Tymczasem spłoszone konie bez nadzoru woźnicy poniosły. Mając za plecami szamocących się mężczyzn, Konrad z trudem zapanował nad zaprzęgiem. Kiedy się odwrócił, walka była skończona. Broczący krwią Tadzio poradził sobie z Blombergiem za pomocą noża. Na drugich saniach trwała prawdziwa egzekucja. Mockała z zimną krwią zastrzelił Blombergową i dwójkę jej dzieciaków. Antek Marczak bardzo błady podbiegł do rannego brata. Z przestrelonej tętnicy posoka waliła jak z fontanny.

- Ratuj go! - wrzasnął do Mockały. - Byłeś kiedyś pieprzonym felczerem.

- Weterynarzem - poprawił zabójca, ale od razu wziął się za przygotowywanie opaski uciskowej.

Ranny, trochę zamroczony, oprzytomniał.

- A gdzie dziewczyna? - zapytał nagle.

Podnieśli koce.

„Róża Saronu” - jak w myślach określił ją Konrad - zniknęła.

- Nie mogła uciec daleko! - orzekł Mockała. - Zaraz ją dopadnę!

- Zajmij się moim bratem! - zdecydował Antek. - Konrad ją przyprowadzi. Dasz radę, Kondek?

- Oczywiście.

- Weź spluwę! Wiesz, co robić.

Przez pierwsze kilkanaście minut działał jak pies gończy. Wrażny ślad dziewczyny biegł ścieżką pod górę. Poszedł tym tropem. Świeży śnieg nie stanowi dobrego podłoża do biegów terenowych, zwłaszcza dla kogoś nienawykłego do fizycznego trudu, kto w dodatku ostatni rok spędził w piwnicy. Dopędził Hannę po kilkuset metrach. Uciekała zbyt szybko, zbyt rozpaczliwie, nic dziwnego, że zupełnie opadła z sił. Zastał ją skuloną w kępie brzoź. Zaraz za nią las rzedł i rozciągało się pole, a na horyzoncie widniały dachy chałup.

Odwróciła do niego swoją piękną twarz i załzawione oczy.

Przypominała zagonioną samę.

Naraz uświadomił sobie, że nie potrafi jej zabić. Że jego serce, nawykłe wprawdzie do okrucieństw, nie jest w stanie zaakceptować zabójstwa bezbronnej dziewczyny. Przecież to nie kot ani bezpański pies. W dodatku była taka piękna.

Konrad, nie licząc nieskonsumowanego związku z kelnerką Wandzią, której pożądał, choć nie kochał, jak dotąd zaliczył parę

kontaktów z prostytutkami i nigdy nie przestał marzyć o wielkiej miłości. Blombergówna przypominała mu jedną z madonn Rafaela albo Murilla, które oglądał w jakimś albumie.

Decyzję podjął błyskawicznie.

- Krzycz - nakazał kategorycznym szeptem, odbezpieczając broń. - Krzycz, najgłośniej jak potrafisz!

Posłuchała - z jej ust wydobyło się przeraźliwe wycie zabijanego zwierzęcia. Strzelił raz wysoko ponad jej głowę i jednocześnie przytknął palec do ust. Krzyk umilkł. Wtedy strzelił drugi raz, tym razem w ziemię. I nadal każąc jej milczeć, jął się cofać.

W jej oczach pojawiło się zdumienie, wdzięczność, może podziw. Ale nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

Wrócił do sań po kwadransie. Ciała zabitych Żydów znalazły się już we wcześniej wykopanych jamach. Zaczął prosić śnieg.

- I jak? - Antoni badawczo popatrzył na Konrada.

- Załatwione - rzucił głucho, lecz zdecydowanie, po czym dodał jakby z lekkim zażenowaniem: - Porzygałem się.

- Nic nie szkodzi! - skomentował Mockała. - Za pierwszym razem to normalne. Potem przechodzi.

- A gdzie ciało? - dopytywał się Marczak.

- Wcisnąłem do jakiegoś wykrotu i zasypałem śniegiem. Do wiosny nikt jej nie znajdzie.

- No to po kłopotcie.

- A co z Tadzikiem?

- Stracił mnóstwo krwi, ale powinien przeżyć. Nakryliśmy go kocami i chyba śpi.

Bilans akcji okazał się zdecydowanie mniej korzystny, niż się spodziewali. W walizkach znaleźli stosunkowo mało biżuterii, złota i dolarów. Najwięcej poniewierano się tam polskich przedwojennych

pieniędzy, a także obligacji, weksli i innych papierów wówczas już zupełnie bezwartościowych.

Opatrunek Mockały okazał się nieskuteczny. Zanim dojechali do zaprzyjaźnionego lekarza w Karczewie, młodszy Marczak nie żył. Markiewicz ze zdziwieniem zauważył, że załawiony Antek się modli. Niewiarygodne, przed godziną zamordował z zimną krwią kilka bezbronych istot, a teraz miał czelność wznosić modły do Stwórcy będącego, wedle Jego wyznawców, Najwyższym, a zarazem surowym Sędzią?!

Jakie szczęście, że jestem niewierzący!" - pomyślał Konrad.

Okazało się, że to dopiero początek kłopotów, których poniekąd sam był sprawcą. Blombergównę znaleźli chłopci związani z AK-owską partyzantką. Bystra dziewczyna podała nazwiska i rysopisy morderców. Czy wymieniła także tego, który ją ocalił?

Szesnastego lutego zapukano do domu w Kaczym Dole. Akurat siedzieli w nim Antek Marczak z Mockałą i pili. Obaj wiedzieli, że „wuj Leon”, do którego doszły jakieś wieści o samowolnej akcji, choć nie o egzekucji, jest na nich wściekły. Konrad też miał uczestniczyć w pojawieniu, ale po drodze wstąpił do dentysty.

To go ocaliło. Wanda, która stała się świadkiem wtargnięcia do domu czterech młodych inteligencików, została wyproszona do sąsiedniego pokoju. Mocno podпиты rabusiom nie starczyło siły, żeby się bronić.

Kelnerka usłyszała jedynie: „W imieniu Rzeczypospolitej...”, a następnie strzały zza ściany. Potem uciekła.

Konrad też nie miał czego szukać w Warszawie. Przez moment myślał o odszukaniu towarzysza „Marka”, który rok wcześniej proponował mu przystanie do komunistów, ale mimo wszystko wolał skryć się na prowincji. Swego czasu prowadził interesy z pewnym cwaniakiem z Lublina, który kombinował w probolszewickiej

konspiracji. I tak, ku swojemu zaskoczeniu, miesiąc później zmienił się w członka leśnego oddziału Gwardii Ludowej.

IV

„Wybraliśmy służbę - uśmiechnął się do siebie generał. - On Bogu, a ja... Komu? Diabłu?”- roześmiał się gorzko.

Z której by strony nie spojrzeć, tamten rok, spędzony przez Konrada w partyzantce, trudno nazwać chlubnym bądź zaszczytnym. „Ludowi gwardziści” stanowili, mówiąc bez ogródek, zwyczajną bandę ukrywającą swój proceder pod rewolucyjnymi hasłami. Istniały, być może, jakieś oddziały składające się z żarliwych rewolucjonistów (z których każdy odznaczał się wrażliwością dziecka i duszą anioła), ale grupa „Chudego” do nich nie należała. Stosunkowo najmniej czasu zabierała im „walka z okupantem”, a sporadyczne akcje kończyły się zwykle okrutnymi represjami Niemców wobec ludności cywilnej. O wiele bardziej dochodowe okazywały się haracze na rzecz partii, ściągane z chłopów lub ukrywających się Żydów.

Nierzadko dochodziło do rozgrywek wewnętrznych, w wyniku których zlikwidowano na przykład braci Mołojców i ich stronników, i rywalizacji z Armią Krajową, polegającej najczęściej na donosach do Gestapo na „ślugusów rządu londyńskiego”.

Ta wielowątkowa działalność uległa przerwaniu, kiedy 29 lutego 1944 roku około trzeciej po południu oddział „Chudego” został osaczony w osadzie Wólka przez „przeważające siły wroga”, liczące ośmiu żandarmów, i rozpierzchnął się zgodnie z zasadą „ratuj się, kto może”. Konrad uciekający wśród ostrzałów nie miał naturalnie pojęcia, że w tym samym czasie jego „bliźniak” znalazł się w równie poważnych opałach. Wojtyle potrafiła niemiecka ciężarówka

i leżał nieprzytomny na poboczu krakowskiej ulicy. Dzięki zainteresowaniu przechodniów i pomocy jakiegoś niemieckiego kierowcy trafił do szpitala i przeżył.

Markiewicz, wyjąwszy draśnięcie w ramię i zadrapania od przedzierania się przez krzaki, też wyszedł z opresji bez większego szwanku. Reszcie towarzyszy z GL-u podobne szczęście nie dopisało. Pięciu, którzy się poddali, od razu powieszono na rynku, kilku zastrzelono w trakcie pościgu. Konrada ukrył w piwniczce na ziemniaki miejscowy organista. Niechęć do kartofli pozostała mu potem na długie lata. Parę dni później stwierdził, nie po raz ostatni w życiu, że najciemniej pod latarnią, i zgłosił się do arbeidsamtu jako ochotnik do wyjazdu na roboty do Rzeszy. Powiedział, że specjalizuje się w naprawie taboru kolejowego - umiejętność ta w państwie coraz aktywniej bombardowanym ze wszystkich stron wydawała się bezcenna. Po dotarciu do Saksonii Konrad Markiewicz wyciągnął papiery Hansa Reszkego i załatwił sobie urzędniczą posadę w Dreźnie. Uznał, że to oddalone od linii frontów miasto jest doskonałym miejscem na spokojne przeczekaanie reszty wojny. I rzeczywiście, przez dłuższy czas bezpiecznie i z oddali mógł śledzić takie wydarzenia, jak lądowanie aliantów w Normandii czy powstanie warszawskie. Jego taktyka została poddana ciężkiej próbie w nocy z 13 na 14 lutego 1945 roku, kiedy aliancki nalot dywanowy obrócił w perzynę zabytkową stolicę Saksonii. (Przebywający w Krakowie Karol Wojtyła od miesiąca cieszył się wolnością). Bomby zapalające wywołały w Dreźnie prawdziwą burzę ogniową. Ci, którzy ocalili od bezpośrednich wybuchów, ginęli w płomieniach lub dusili się w piwnicach, z których ogień wysysał powietrze.

Dla Hansa Reszkego skończyło się na urazach głowy i zwichniętej nodze. Do końca wojny przebywał w krankenhausie w Hoyerswerdzie.

Kiedy Rosjanie znaleźli się w pobliżu, błyskawicznie ozdrowiał, przepoczwarzył się na powrót w Konrada Markiewicza i zgłosił do polskiej jednostki, która zajęła nieodległy Budziszyn. Dzięki doskonałej znajomości niemieckiego i rozeznanii w terenie stał się nieocenionym pomocnikiem i przewodnikiem dowództwa. Szybko awansowano go na sierżanta, po czym dostał przydział do Informacji Wojskowej. Wkrótce nabrał przekonania, że odnalazł tu swoje powołanie. Bezwzględnie demaskował dywersantów i wyszukiwał z proniemieckich formacji Ukraińców podających się za Polaków lub Czechów. Po kapitulacji Berlina został przeniesiony do Landsbergu, który właśnie zamieniał się w praskowiański Gorzów. Roboty dla fachowca było w bród.

W tych pierwszych dniach i miesiącach wolności Ziemię Odzyskane najbardziej przypominały Pogranicze z filmów o Dzikim Zachodzie. Tu i ówdzie działał Werwolf, ukrywali się przestępcy wojenni i Polacy ze Wschodu, z różnych powodów zatajający swoją prawdziwą tożsamość. W dodatku często nie dawało się dociec, kto właściwie rządzi. Okupacyjna władza sowiecka nakładała się na oficjalną - polską, kompetencje partyjne mieszały się z administracyjnymi, a urzędy bezpieczeństwa rywalizowały z Informacją Wojskową. O wyższości racji często przesądzała szybkość działania lub lepsze uzbrojenie. Nie minął rok, a w takich warunkach talent śledczy, zmysł psychologiczny i sztuka dedukcji zrobiły ze skromnego sierżanta prawdziwą gwiazdę; wypożyczała go sobie milicja, korzystała z jego usług prokuratura wojskowa. Nic więc dziwnego, że czuł się tam jak szczupak w Odrze. Spełniały się jego dziecięce marzenia o karierze detektywa, a równocześnie zyskał wspaniałą okazję, by się dorobić, gdy dookoła zalegało tyle poniemieckiego mienia. Szaleli szabrownicy, a wyjeżdżający autochtoni wyprzedawali wszystko za bezcen. Konrad wprawdzie nie przyjmował łapówek, ale nie gardził

intratnymi transakcjami. Odznaczał się również talentem do pozyskiwania informatorów. I właśnie dzięki jednemu z nich wyczył, że pod postacią cichego osadnika kryje się wysoki oficer SS Galizien. Jeszcze większym sukcesem okazało się udaremnienie przerzutu „Ursusa”, jednego z legendarnych przywódców podziemia, który zmylił pościgi i przedzierał się na Zachód z cennym archiwum akt okupacyjnych konfidentów. „Ursus” zginął w zasadzce, a archiwum trafiło do rąk towarzyszy z UB. Do Warszawy poszedł wniosek o odznaczenie towarzysza Konrada Markiewicza oraz skierowanie go na kurs oficerski.

Również w sprawach osobistych pojawiła się stabilizacja - za sprawą Bożenki, hożej dziewczyny zza Buga, która właśnie podjęła pracę w urzędzie. Bożenka Duda była wprawdzie zamężna, ale co mógł jej dać wiecznie kaszlący gruźlik, który ostatni rok wojny spędził w obozie koncentracyjnym? Kiedy i dlaczego się pobrali, pozostawało tajemnicą. Chociaż, trzeba przyznać, Zenon Duda, przedwojenny komunista, miał widoki na awans w nowym systemie. Póki co jednak głównie chorował i jeździł po sanatoriach, toteż Bożenka bez skrzępowania zaznawała przyjemności w ramionach jurnego śledczego.

Może nawet by za niego wyszła. Niestety, jesienią 1946 roku spadły na Konrada wielkie kłopoty. Wraz z postępującą stabilizacją rozpoczęto ewidencję ludności, a także sprawdzanie nawet najbardziej oddanych towarzyszy. Zwłaszcza tych, których awanse szły w parze ze znacznym bogactwem. W dodatku sukcesy młodego sierżanta sprawiły, że zainteresowano się nim bardziej niż innymi.

Ktoś dopatrzył się nieścisłości w jego życiorysie. Oficjalnie Konrad napisał, że po rozbiciu grupy partyzanckiej, w której działał, schwytali go Niemcy i wywieźli na przymusowe roboty. Tymczasem jedyny ocalały bojowiec z oddziału doniósł, że widziano, jak plutonowy Markiewicz dobrowolnie zgłosił się do

arbeitsamtu. Później wpłynęły meldunki na temat jego pracy w Dreźnie, folksdojczca Hansa Reszkego rozpoznało paru robotników przymusowych...

Aresztowano go we wrześniu 1946 roku i przewieziono do Warszawy. Nadzieja, że pomoże mu Marian Spychalski, który jako towarzysz „Marek” pięć lat wcześniej chciał go wciągnąć do konspiracji, spelzła na niczym. Czołowy PPR-owiec w ogóle nie przypominał sobie ich spotkania. Zawiódł również „wujek Leos”. Stary kryminalista jeszcze pod koniec wojny dał nogę za granicę. Rodziny Markiewicz - jak wiadomo - nie posiadał, a kontakt z Bożenką urwał się definitywnie w chwili aresztowania. Rokowania na przyszłość były więc ponure i trapiły go złe przeczucia. Wyjaśnienia, że kierował się wyłącznie instynktem samozachowawczym i nie ma żadnych dowodów na prowadzenie przez niego jakiegokolwiek szkodliwej działalności, zbywano kpiącymi obelgami.

Jego sytuacja stała się jednak naprawdę rozpaczliwa, kiedy do pokoju przesłuchań wszedł niewysoki młody, najwyżej dwudziesto- pięcioletni, Żyd na pałkowatych nogach, z pejczem w ręku.

- Poznajesz mnie? - zapytał.

Konrad dłuższą chwilę szperał w pamięci, ale żadnego skojarzenia nie znalazł, toteż przecząco pokręcił głową.

Prawie natychmiast dosięgło go smagnięcie pejczca.

- Ale ja nie zapomniałem ciebie! - zawołał przesłuchujący.

- I zaraz odświeżę ci pamięć, ty faszysto. Rok 1934, lipiec, lasek pod Mołodecznem.

Więzień poczuł, że pod jego stopami otwiera się przepaść. Oczywiście, od razu przypomniał sobie te odstające uszy i lekko skrzywiony nos... Oto stał przed nim ów żydowski chłopiec, który zgubił drogę w zagajniku. Jeśli rzeczywiście go rozpoznał, Konrada czekała zguba. Nie okazał jednak strachu. Udał jedynie zdziwienie.

- Nigdy nie byłem pod Mołodecznem - rzekł spokojnie. - Doskonale pamiętam, że w 1934 mieszkałem w Krzemieńcu, a wakacje spędzałem nad Dniestrem...

- Kłamiesz! - wrzasnął ubek, okładając go kańczugiem. - Kłamiesz! Od lat cię szukałem i nareszcie znalazłem.

- Musiała zająć pomyłka - powiedział nieszczęśnik, ocierając krew. - Nie mam pojęcia, o co chodzi z tym lasem, ale wówczas jako dzieciak przebywałem z rodzicami na letnisku.

Ubek katował go dobry kwadrans, ale nie wydusił z niego potwierdzenia. Wyglądało na to, że traci pewność siebie. Wreszcie zmęczył się i wysapał:

- Nieważne, czy to ty. I tak cię rozstrzelają.

*

W życiu Karolo Wojtyły dzień Wszystkich Świętych odgrywał szczególną rolę. Pierwszego listopada 1941 roku dawał premierę Teatr Rapsodyczny. Pierwszą i dla Karola ostatnią. Upłynęło pięć lat i w kaplicy pałacu Arcybiskupów Krakowskich kardynał Adam Sapieha wyświęcił młodego kleryka na księdza. Nazajutrz, w Dzień Zaduszny, w krypcie Świętego Leonarda w katedrze wawelskiej przyszedł papież odprawić mszę prymicyjną. Zapewne u młodego duchownego wywołała ona więcej emocji niż ta uroczysta, celebrowana dwa dni później w nawie głównej polskiego Akropolis.

Jakaż przedziwna jest symbolika owego miejsca - krypta Świętego Leonarda to przecież dawna katedra Bolesława Chrobrego! Dopelniała się synteza tysiąca lat dziejów państwa polskiego, przy którym życie ludzkie zdaje się krótką podróżą. Grube mury, niskie sklepienie, prosty krzyż, pelgające płomyki świec. Obok w sarkofagach śpią polscy monarchowie, i ci mami, i ci najwięksi. Kilka kroków dalej pod wieżą srebrnych dzwonów - marszałek Józef Piłsudski, królom równy,

choć po śmierci musiał stoczyć jeszcze jedną bitwę, właśnie z księciem Sapiehą, o prawo do pochówku na Wawelu.

Msza odprawiana przez Wojtyłę stanowiła przedziwną koncentrację, ekstrakt zawierzenia i mistycznego połączenia z Ojcem Przedwiecznym. Credo, Ewangelia, cud Przeistoczenia.

Czy chłopak z Wadowic przewidywał, jaką rolę przyjdzie mu odegrać w teatrze Pana Boga? Na przyjęciu prymicyjnym rozdał obrazki z cytatem zaczerpniętym z Łukaszej Ewangelii: „Wielkie rzeczy mi uczynił Wszechmocny”. Czy podejrzewał, jak wielkie?

Koledzy wiedzieli lepiej - na drzwiach jego celi w seminarium już dość dawno temu czyjaś ręka przypięła kartkę, na której widniał napis: „Przyszły święty”. Niewątpliwie wielką przyszłość widział przed swym protegowanym kardynał Sapieha. Ale czy aż tron Piotrowy?

Wątpliwości nie miał jedynie wielebny Ojciec Pio z klasztoru w San Giovanni Rotondo, który już podczas pierwszej wizyty rozpoznał w młodym księdzu z Polski przyszłego pontifeksa i męczennika. Choć Watykan nigdy tego nie potwierdził, wiadomo, że ksiądz i zakonnik spotkali się parokrotnie. Na prośbę Karola Wojtyły Ojciec Pio wyblagał też cud - znajoma biskupa z Polski tuż przed trudną, niedającą wielu szans na wyleczenie operacją onkologiczną doznała niewytłumaczalnego naukowo zniknięcia nowotworu...

Cuda, znaki.

Msza pierwsza z tysięcy. A za Wawelem Kraków pogrążony w jesiennej mgłę i nadchodzącej nocy stalinizmu.

Przed dwoma laty chrześcijańską Europę przecięła niczym rzeźnicki tasak żelazna kurtyna. Początkowo jeszcze niezupełnie szczelna. Arcybiskup Sapieha wiedział, że uczestniczy w wyścigu z czasem. Dlatego pospiesznie wyświęcono młodego kleroika i wyprawiono go na studia do Rzymu. Za rok, za miesiąc otrzymanie paszportu było już niemożliwe. A bez studiów w Athenaeum Angelicum ksiądz

z dalekiego kraju nie mógłby kiedyś stać się pasterzem owczarni świata.

Konrad poczuł znużenie. Nie wynikało ono jednak z tego, że czytał zbyt długo, ani z permanentnego porównywania faktów i dat, co wymagało jakże kłopotliwego przypominania sobie własnej przeszłości. Denerwował go ten tekst, szczególnie ton przyjęty przez autora. Co gorsza, nie potrafił odpowiedzieć na zasadnicze pytania, które mu się nasuwały: „Kim pan jest, panie Ułlanowicz? Panie apostoła ideologii własnej warstwy, spsiały arystokrato żywiący się z czerwonej ręki, hedonisto i sybaryto, grzeszniku i kabotyńie, a nade wszystko nasz tajny współpracowniku! Jak wygląda pańskie prawdziwe ego? Co w pańskiej działalności to gra, a co prawda? Wierzy pan w Boga czy w dialektyczną konieczność? Kocha pan tego swojego Janka Pawelka czy jedynie kombinuje, jak zrobić karierę, pisząc o nim książki? Ergo: jest pan Judaszem wyciskającym oślizgły pocałunek czy Marią Magdaleną, która dopiero za jakiś czas zamierza zacząć pokutować? A może sam pan nie wie?”.

Naraz roześmiał się. Przyszła mu chętka okrutna poigrać z Ułlanowiczem, wziąć paru chłopaków od brudnej roboty (takich typowych „nieznanych sprawców”), wywieźć arystokratę do lasu, tam rozebrać go do naga, przywiązać do świerczka i poddać przesłuchaniu trzeciego stopnia...

Przestał się śmiać, gdy przekorna pamięć przywołała drobną postać Arnolda Habersohna, zarówno jako dzieciaka w krótkich majtkach z lasku pod Mołodiecznem, jak i dorosłego z pejczem w rękę podczas przesłuchania na Rakowieckiej.

Po tym spotkaniu to, że niebawem umrze, wydawało się Markiewiczowi niemal pewne. Zastanawiał się tylko, w jaki sposób. Czy powali go szybki strzał w tył głowy, czy wyzionie ducha na torturach?

Najbardziej przerażała go inna możliwość. Samosąd! Dużo wysiłku włożył, aby współwięźniowie nie dowiedzieli się, z kim siedzą. Opowiadał, że trafił tu za lewe interesy, że pracował w wojsku, w kwatermistrzostwie... Wersja brzmiała prawdopodobnie i nikt jej nie kwestionował. Niestety, nazajutrz po rozmowie z Habersohnem w celi pojawił się nowy więzień, wytrawny garownik, który od wejścia przyjrzał się dokładnie wszystkim lokatorom, zatrzymując w końcu wzrok na Konradzie.

- A ja ciebie znam. Byłeś łapsem w UB, w Gorzowie...

Nie mogło zdarzyć się gorzej. Funkcjonariusz aparatu represji umieszczony między kryminalistami nie miał łatwego życia. A często i śmierci.

Konrad wypatrywał nadejścia zmroku, unikając spojrzeń współwięźniów, spocony ze strachu i przekonany, że czeka go upiorna noc...

Wtedy, bodajże po raz pierwszy, pożałował utraty wiary. O ileż łatwiej by to znosił, gdyby potrafił się modlić, gdyby wierzył w cudowną moc rozmowy z Bogiem...

A jednak nawet ateistom przydarzają się cuda. Tuż przed zgaszeniem świateł pojawił się strażnik i wywołał go z celi.

„Czyżby już?” - przemknęło mu przez myśl.

Pora wydawała się dość nietypowa. Egzekucje przeprowadzano zazwyczaj nad ranem. W dodatku nie zaprowadzono go ani do kazamat, ani do któregoś z pokojów przesłuchań, tylko na dziedziniec, gdzie czekała buda. Obok niej stał naczelnik więzienia.

- Proszę wsiadać - powiedział uprzejmie.

Już sam fakt, że nie ryknął na niego, nie pchnął go kopniakiem i nie uderzył kolbą, zdawał się zastanawiający. W środku siedziało dwóch funkcjonariuszy, którzy uprzejmie się posunęli, robiąc

nowemu pasażerowi miejsce. Zaskakujące było również to, że nie założono mu kajdanek, tylko zawiązano oczy.

Czyżby jednak egzekucja?

Wszystko odbywało się w milczeniu. Bał się, ale nie stracił czujności. Zorientował się, że minęli centrum, słyszał dzwonki tramwajów i klaksony aut, musieli przejechać przez most Poniatowskiego, potem mknęli drogą z granitowej kostki, a na koniec skręcili w piaszczysty dukt... Wreszcie. Po dobrej półtorej godziny samochód się zatrzymał. Funkcjonariusz zdjął Konradowi opaskę z oczu.

Znajdowali się w środku jesiennego lasu.

„Wszystko jasne. Ciekawe, kto mi odczyta wyrok?”.

Obrócił się i zobaczył budynek. Elegancką willę krytą gontem. Otworzyły się drzwi i smuga światła załazał podjazd.

- Proszę do środka! - powiedział ktoś po rosyjsku.

Konrad znalazł się w przedwojennym domu, umeblowanym dość zasobnie. Eskorta wprowadziła go do salonu, gdzie czekał na niego mężczyzna z dystynkcjami sowieckiego pułkownika NKWD. Obok niego stał jeszcze drugi osobnik w wojskowym szynelu, odwrócony przodem do okna.

- Generał Iwanow chce z wami rozmawiać, Markiewicz - powiedział pułkownik, wskazując mu miejsce w wygodnym fotelu. I wyszedł.

Mężczyzna w szynelu - postawny, o pociągłej twarzy człowieka czynu - odwrócił się powoli. Biła od niego jakaś mroczna energia, świadcząca o tym, że to ktoś znacznie ważniejszy niż jeden z tysięcy sowieckich dowódców.

- Papierosa? - zaproponował.

Więzień skwapliwie przyjął poczęstunek, jakby miało to być ostatnie sztachnięcie skazańca.

- Powiedźcie, gospodin Markiewicz, kim wy właściwie jesteście? - zaczął miękko i uprzejmie Rosjanin.

Pytanie i ton, którym zostało zadane, tak zaskoczyły Konrada, że bez namysłu wykrztusił:

- Człowiekiem.

Dictum wyraźnie rozbawiło generała.

- Człowieczeństwo zostawiamy poza bramami tego rodzaju obiektów - rzekł z uśmiechem. - Inna sprawa, że moje pytanie sformułowałem niezbyt precyzyjnie. Powinienem zapytać: Z kim jesteście? Z nami czy przeciw nam?

- Z wami, towarzyszu generalne.

- Moim towarzyszem staniecie się, jeśli przyjmiecie was do partii, bo teraz, o ile wiem, nie zaliczacie się nawet do członków kandydatów.

- Złożyłem podanie.

- Wiem, w przeddzień waszego zatrzymania. Ale zanim przejdziemy do konkretów, chciałbym wiedzieć, z kim mam przyjemność, bo z Konradem Markiewiczem z pewnością nie.

Musiał podjąć błyskawiczną decyzję, na wagę życia i śmierci. Zaraz po aresztowaniu ustalił sam ze sobą, że w paru kwestiach pójdzie w zaparte. Na przykład jeśli idzie o autentyczną tożsamość. Teraz jednak jego stanowisko się zachwiało. Iwanow musiał trzymać w ręku jakieś mocne karty, negując jego personalia. Może, na przykład, informacja o śmierci absolwenta Liceum Krzemienieckiego była fałszywa, a prawdziwy Markiewicz objawił się gdzieś w Sowietach albo w Polsce?

Wiele lat później Konrad dowiedział się, że starszy od niego o dwa lata krzemieńczanin, podoficer w kampanii wrzesniowej, pracownik przedwojennej Dwójki podczas przesłuchania przez NKWD w 1940 roku zaimponował Iwanowowi siłą charakteru, a nawet

zasłynął jako ten, któremu prawie udało się uciec z transportu wiozącego go na miejsce egzekucji.

Nic dziwnego, że kiedy generał otrzymał informację o aresztowaniu Konrada (swoją misję w Polsce zakończył wprawdzie rok wcześniej, ale nadal w ramach resortu monitorował jej sprawy w Moskwie), osobiście postanowił zapoznać się ze sprawą.

- No więc...? - powtórzył pytanie Rosjanin.

„Markiewicz” podjął decyzję. Na tle innych przewinień akurat zmiana tożsamości nie wydawała mu się największym przestępstwem. A powiedzenie prawdy na pewno wypadnie lepiej od zde-maskowanego kłamstwa. Opowiedział więc o kupnie lewego świadectwa maturalnego, podrobieniu kenkarty, kartek żywnościowych i całej reszty z lipną tożsamością folksdojczya włącznie.

- Ale nigdy nie spotkaliście się z prawdziwym Markiewiczem?

- upewniał się Iwanow.

- Nie - odparł szczerze. - Podobno zginął na Wschodzie...

- Wiem - uciał krótko generał. - A zatem doszło do drobnego fałszerstwa, podyktowanego chęcią zysku i perspektywą przyszłej kariery.

- Była wojna... - usiłował usprawiedliwiać się przesłuchiwany.

- A czy ja was krytykuję? - uśmiechnął się dobrotliwie Iwanow. - Powiem więcej: potrzebujemy takich ludzi jak wy. Kandydatów na wielkich łajdaków. Małych łotrów rozwalamy pod płotem, ale wielcy, w dodatku sprawni, mogą okazać się całkiem pożyteczni. A ja mam nosa do ludzi i wyczuwam w was talent... Gdyby chodziło o inny rodzaj działalności, powiedziałbym „iskrę Bożą”. Dlatego też nie rozgrzebuję dalej waszego życiorysu, a wiem, że w ciągu waszego dość niedługiego życia zdążyliście być i pospolitym bandziorem, i bohaterem, partyzantem i kolarantem. Nie pytam was też o stosunek do kwietniowych też

Lenina ani o poglądy na temat kwestii chłopskiej w Królestwie Kongresowym. Jeśli coś mnie interesuje, to, na przykład, czego chcielibyście od życia?

Konrad zwietrzył szansę, pojął, że to nie przesłuchanie, tylko raczej werbunek i chyba trafił we właściwy ton.

- Chciałbym dla was pracować.
- Ciekawe. Liczyłem, że powiecie: „Chciałbym żyć długo, zdrowo i bogato”.
- To oczywiste, ale w życiu trzeba jeszcze obrać cel.
- Cel i pał! - Iwanow wziął butelkę wódki, a na blacie stylowego empierowego stoliczka pojawiły się dwie literatki, jakby wyczarował je sprawny iluzjonista. Rosjanin połał do pełna. Wypili obaj. Bez zakąszania.

- A zatem jak widzicie waszą misję zawodową? - pytał generał. - Branie ludzi nocą z ciepłej pościeli, wiezienie ich czarną suką w noc, przesłuchiwanie przez wiele godzin, a wszystko po to, aby zapewnić ich wnukom świetlaną przyszłość? Tak? To chcielibyście robić?

Nie bardzo wiedział, co odpowiedzieć. Jednak wahał się bardzo krótko.

- Jestem młody, ale paru rzeczy zdołałem się już nauczyć. W naszym świecie istnieje podział pracy. Jedni kopią ogródki, inni groby. I jedni, i drudzy są niezbędni.

- A praca grabarza naszych wrogów odpowiadałaby wam charakterologicznie?

- Wydaje mi się, że mógłbym być w tym dobry.
- Prawidłowa odpowiedź - pochwalił Iwanow. - I chyba szczerza. Przystudiowałem waszą karierę zawodową i wygląda na to, że rzeczywiście dysponujecie rzadkim talentem. W dodatku nie odczuwacie przesadnych skrupułów i nie macie tej... talmudycznej tendencji

do dzielenia włosa na czworo. To dobrze! W naszym fachu brak miejsca dla mięczaków. Gienrich Jagoda, na przykład, był poetą... Bardzo mu to przeszkadzało w pracy. Codziennie łała się przed wysyłaniem tysięcy ludzi do piachu... A tymczasem dobry funkcjonariusz powinien traktować swoje zadania rzetelnie i profesjonalnie.

- Jako nic osobistego.

- Tak jest! I dlatego nie rozstrzelamy was, „Markiewicz”, czy jak tam mówiliście, bo już zapomniałem. I... - powiedział, widząc, że Konrad otwiera usta - nie przypominajcie mi. Nie trzeba.

- Dalej będę się nazywał Markiewicz? - nigdy dotąd podgrzany alkoholem mózg Konrada nie pracował równie szybko.

- A czemu nie? Dobre, polskie nazwisko.

- Ale moje nieukończone gimnazjum...

- Nie matura, lecz chęć szczerą zrobi z ciebie oficera - wyrecytował nieoczekiwanie po polsku generał. - Najważniejsze, że powiedzieliście prawdę. Jeśli o mnie idzie, zostańcie sobie Markiewiczem, tym bardziej że ten prawdziwy nigdy nie wejdzie wam w drogę...

Mógł jeszcze dodać, że rozmawiał z młodym polskim oficerem w obozie w Kozielsku, ale akurat ta wiedza nie była Konradowi do niczego potrzebna. Poprzestał więc na krótkim toaście:

- Wasze zdrowie!

Wychylił kolejne stakany. A Iwanow zmienił temat.

- Jak myślicie, dużo pracy jest przed wami w Polsce...?

- Sporo - odpowiedział Konrad.

- Dookoła pełno wrogów?

- Nie powiedziałbym, że od razu „wrogów”. Bardzo wielu ludzi ciągle nie zdaje sobie sprawy z tego, co się właściwie stało: że koła historii toczą się w jedną, lewą, stronę. A wyboru dokonano. Wystarczy, jeśli moi rodacy rozumieją, że trzeba, by Polska na wiek wieków pozostała socjalistyczna i związana sojuszem ze Związkiem

Radzieckim. Czy to się komuś podoba, czy nie... Wówczas bykowi odechce się walki z parowozem historii.

Iwanow przysłuchiwał mu się z lekko przekrzywioną głową, nic nie mówiąc. Chłopak robił wrażenie bystrego, a co ważniejsze, wypowiadał poglądy w sposób, w jaki nigdy nie odważyłby się ich prezentować Różański czy Światło. Może jeden Borejsza... Ale on funkcjonował na innych prawach. A ten parień... Najistotniejsze, że generał wyczuwał szczerość. A znał się na ludziach jak mało kto w NKWD. Od lat specjalizował się w sprawach polskich i posiadał wyjątkową umiejętność oddzielania ludzi przydatnych od szkodników. W końcu to jego głos decydował wiosną 1940 roku, kto z polskich oficerów pojedzie do Katynia, a kto do obozu w Giazowcu. W dodatku ten Markiewicz poza inteligencją miał jeszcze jedną zaletę - nie był Jewrejem. Ilu takich by znalazł w polskim aparacie terroru? A przecież musiał myśleć, co się stanie, kiedy Josif Wissarionowicz zarządzi kolejną wielką czystkę, wyznaczając jako jeden z celów odżyczenie organów... Na kim się wtedy oprze? Dawydow przecież nie zajmie się tym z własnej inicjatywy. Zmienił temat:

- A jakie widzicie dziś główne przeszkody w budowaniu Polski Ludowej? Zbrojne podziemie? Opozycja?

- Przełamanie tego rodzaju oporu, to, moim zdaniem, jedynie kwestia czasu i odpowiedniej taktyki. Ludzie chcą żyć. Jeśli pojawi się cień szansy, że znajdą swoje miejsce w nowej rzeczywistości, jeśli poczują nadzieję, której nie dawali im hitlerowcy, zaakceptują nową władzę i włączą się w budowę socjalistycznej ojczyzny. Opozycja też prędzej czy później zrozumie, że nie ma wyjścia i skapituluje.

- Wystarczy więc tylko trochę poczekać na świetlaną przyszłość waszego kraju? Czybyście nie dostrzegali żadnego poważnego przeciwnika?

- Jednego.
- Mianowicie?
- Kościół.
- Kościół, mówicie - Iwanow spowaźniał.

- To chyba największy problem, którego w dodatku nie da się rozwiązać siłą. Sam jestem niewierzący, ale wiem, że tak zwany lud boży reprezentuje potężną energię. Polscy księża to w dużej mierze kandydaci na męczenników. Uderzenie w nich może jedynie wzmocnić ich wolę sprzeciwu... A kiedy rozpali się fanatyzm, bardzo trudno będzie go ugasić.

- A więc jak, waszym zdaniem, powinno się to rozwiązać?

- Zawrzeć... - przez moment szukał właściwego słowa, więc Iwanow mu je podszepnął:

- Kompromis.

- Tak, zawrzeć kompromis! Zdobyć akceptację lub choćby neutralność kościelnej hierarchii, wprowadzić swoich ludzi w szeregi kleru, potem podzielić, skłócić, zasiać brak zaufania wśród wiernych... - sam nie wiedział, co powoduje, że z taką łatwością cisną mu się na usta odpowiednie słowa i gotowe recepty. Czyżby sam szatan mu je dyktował? - Oczywiście, to program na lata...

- Maładiecl - zakończył z uznaniem generał, a potem wyciągnął jakiś papier. - Nie rozczarowaliście mnie, gaspadin Markiewicz. Weźcie tę bumażkę... To skierowanie dla was. Skierowanie na studia, ma się rozumieć. A teraz może jeszcze strzeżmiennego!

Wychodząc z willi, Konrad - mimo mocnej głowy - odniósł wrażenie, że otaczający go świat jest z gumy. W samochodzie natychmiast zasnął ciężkim pijackim snem.

Ocknęło go szarpnięcie za ramię.

- Wstawajcie, towarzyszu.

Gmach, przed którym stanęli, jeśli nie liczyć jednej słabej żarówki nad wejściem, tonał w ciemnościach, ale z pewnością nie znajdowali się na terenie więzienia przy Rakowieckiej. Po chwili zorientował się, że przyjechali do hotelu. Pamiętał jeszcze, że recepcjonista wręczył mu klucz. Nic więcej. Kiedy zbudził się rano, z monstualnym kacem, przez dłuższą chwilę trwał w przekonaniu, że wszystko, co przeżył tej nocy, tylko mu się śniło.

Jednak czysty i widny pokój hotelowy nie był złudzeniem, podobnie jak bumażka wystawiona przez Iwanowa. Podniósł ją do oczu. Obejrzał pieczęcie. I podpis generała. Odszyfrował go z pełnym zaskoczeniem: Iwan Aleksandrowicz Sierow.

V

Przedziwna symetria sprawiła, że okres „doskonalenia zawodowego” przebiegał u „bliźniaków” podobnie. Choć dały zauważyć się pewne różnice. Karol Wojtyła wrócił z Rzymu w 1948 roku i zaraz w lipcu skierowano go do parafii w Niegowici jako wikarego i katechetę. Stamtąd w marcu 1949 roku został wezwany do Krakowa do parafii uniwersyteckiej pod wezwaniem Świętego Floriana. Konrad Markiewicz natomiast pojawił się w ojczyźnie dopiero w maju tego samego roku. Za to jego prowincjonalna praktyka miała potwać dużo dłużej.

Karol wrócił do Krakowa po swych rzymskich studiach i zastał Polskę zmienioną nie do poznania. Ostatnie demokratyczne pozory zniknęły. Sfałszowano referendum ludowe, wmawiając społeczeństwu, że głosowało „trzy razy TAK”, jeszcze bardziej „poprawiono” wyniki „wolnych wyborów” zagwarantowanych przez trzy mocarstwa w Jałcie, po których ogłoszono przytłaczające osiemdziesięcioprocentowe

zwycięstwo Bloku Demokratycznego. Wicepremier Mikołajczyk

- ostatnia nadzieja opozycji - zagrożony aresztowaniem uciekł z kraju. Zniesiono autonomię szkół wyższych, a bardziej narodowa Polska Partia Socjalistyczna została wchłonięta przez komunistyczną Polską Partię Robotniczą. Na styczniowym zjeździe Związku Literatów Polskich w Szczecinie proklamowano realizm socjalistyczny... Jakież ogromny ciężar odpowiedzialności za studencką młodzież spoczął na barkach akademickiego duszpasterza, niewiele starszego od niej.

Cały kraj, wcześniej jedynie okupowany przez Armię Sowiecką, pokrył teraz szczelnie wielki cień Stalina.

„Czy ten Ułanowicz zwariował? - zastanawiał się Konrad. - Dał mi rozprawkę przeznaczoną do opublikowania w drugim obiegu czy materiał opracowany dla Wolnej Europy?! A może przekonany co do wartości swej błękitnej krwi nie zauważył, że w momencie przyjęcia pseudonimu «Ordynat» w jego żyłach zaczęła płynąć całkiem zwyczajna jucha tajnego współpracownika?».

Chyba że - tego nie można było wykluczyć - ktoś zamierzał go skompromitować, zrobić. Czy nie powinien zwyczajnie przekazać dowodu wrogiej działalności Ułanowicza kolegom z resortu? Tylko kto i w jakim celu chciałby się uciekać do tak misternej prowokacji? Odstawiono go na boczny tor, nikomu nie zagrażał... A z drugiej strony... Po odkryciu kart w okresie Solidarności Służba Bezpieczeństwa najlepiej uświadamiała sobie kłamliwość propagandy i nieskuteczność dotychczasowej polityki historycznej. Nikogo nie dziwiło, że między sobą funkcjonariusze coraz częściej mówili otwartym tekstem. Tradycyjne marksistowskie zakłęcia były wypierane przez zaczerpnięte z ludowego języka wulgaryzmy! Poza tym zacierzeni ideowcy wymierali, a pozostawali jedynie fachowi praktycy. W rozmowach z nimi nie zachodziła konieczność podtrzymywania

legendy, że zbrodni katyńskiej dokonali Niemcy, a wybory zatwierdzające Polskę Ludową nie zostały sfalszowane. Tym bardziej że w fałszowaniu wszystkich następnych Markiewicz osobiście brał udział. Zresztą historia, niezależnie od emocjonalnego stosunku do niej, nie miała większego wpływu na bieżącą politykę. Jeśli nawet ludzie z SB zdawali sobie sprawę z rozmiarów obłudy PRL-owskiej mitologii, to przecież w najmniejszym stopniu nie zmieniało to ich podejścia do lojalności i konkretnych działań. Dawny rewolucyjny zapal zastąpiły cynizm i pragmatyzm. Realny socjalizm oznaczał rzeczywistość geopolityczną, z której zapewne nie wyrwą się nawet ich dzieci i wnuki (chyba że, jak Marcin, prysną na Zachód) i tylko naiwni dysydenci mogli wierzyć w jakieś reformy partyjnych liberałów czy światową konwergencję. Wcześniej musiałby upaść Związek Radziecki, a ten stale rósł w siłę, podporządkowywał sobie kolejne połacie globu, sięgnął po Afrykę, wdzierał się do Ameryki Łacińskiej, wdepnął w Afganistan...

A że wcześniej uprawiano rytualną grę pozorów? Nie wszędzie i nie zawsze. W królestwie totalnej fikcji tron bezpieczeństwa stanowią najnormalniejszy element systemu.

Według oficjalnego życiorysu Markiewicz ukończył w ZSRR Wyższą Szkołę Oficerów Politycznych. W każdym razie tylko takie dane można znaleźć, jeśli ktoś zyska dostęp, w kartotekach MSW.

To jednak tylko część prawdy. Idąc specjalnym kursem, Konrad zrobił przyspieszone wyższe studia i szkołę oficerską w niecałe dwa lata, natomiast znaczną część ostatniego roku sowieckiej edukacji spędził w ukrytej wśród lasów otaczających podmoskiewską miejscowość Bałaszycha osławionej Szkole Numer 101. Tym kryptonimem opatrzone Wyższą Szkołę Wywiadu (tak brzmiała wówczas jej oficjalna nazwa), ale wykładowcy i studenci najczęściej określali ją między sobą skrótem SZON (Szkoła Osobogo Naznaczenija).

W porównaniu z prząsną rzeczywistością państwa radzieckiego, z którą Konrad zetknął się w Moskwie, Bałaszycza zdawała się przedsiönkiem innego świata. Dywany i piękne meble, gustowne obrazy na ścianach, barwne narzuty na łózkach, a równocześnie obyczaj jak na brytyjskim dworze - kultura, elegancja, umiar. W końcu wielu absolwentów po przerwaniu na Zachód miało wtopić się w miejscowe społeczności, by tam niczym pasożyty wykorzystywać swego nosiciela ku sławie ZSRR i zwycięstwu idei socjalizmu.

Jedyny mankament edukacji w SZON-ie stanowił znamieny brak prywatności. W luksusowych kwaterach mieszkało po dwóch. Konradowi przypadł jako współtowarzysz rudawy chłopak, młodszy od niego o jakieś dwa lata - Grisza Ostapowicz. Studenci nie ujawniali między sobą swoich prawdziwych nazwisk, a dowiedzieć się o swoim współspaczu czegoś więcej, oznaczało nie lada wyzwanie, które należało podejmować z wielką dozą ostrożności. W końcu Konradowi udało się ustalić lub raczej wydedukować, że Grisza to sierota z Ukrainy, prawdopodobnie z pochodzenia Polak; z czasem wyszło na jaw, że nad wyraz biegle władał polszczyzną. Poza tym był niezwykle uzdolnionym matematykiem i ukończył studia w rekordowym tempie. Z jakiego powodu porzucił pewną karierę naukową i znalazł się w szkole szpiegów? Tego we wspólnych rozmowach nie poruszali nigdy. Owszem, kiedy poznali się lepiej, rozmawiali sporo o literaturze, historii, muzyce, okazało się, na przykład, że Ostapowicz doskonale gra na skrzypcach, jednak sfera intymna pozostawała tabu. Przy wszystkich swoich zaletach Grisza odznaczał się dużym poczuciem humoru i znał mnóstwo kawałów, które opowiadał, nie przejmując się wszechobecnymi podsłuchami. A przecież żyli w czasach, kiedy za szeptankę trafiało się do pudła, same żarty zaś posiadały, jak mawiano, wymiar sześć na dziewięć - sześć lat łagru dla słuchających,

dziwięć dla opowiadających. Ale Griszy Ostapowiczowi uchodziły płazem. Inna sprawa, że w jego dowcipach nigdy nie pojawiał się Józef Stalin ani Ławrientij Beria. Nie do pomyslenia wydawał się też żart o Leninie, ale z całą resztą się nie obcyndał...

Konrad, uczoney różnorodnych technik szpiegowskich, a także języka angielskiego i francuskiego, niejednokrotnie zastanawiał się nad swoim dalszym przeznaczeniem. „Może - myślał - wyślą mnie na Zachód, abym udaremniał imperialistom ich zbrodnicze knowania lub wykradał techniczne tajemnice?”. (Jakoś nie zastanawiał się wówczas, jak to się dzieje, że chociaż Związek Radziecki przoduje we wszystkich dziedzinach, wynalazki i najnowsze technologie, broni jądrowej nie wyłączaając, należy kraść Zachodowi).

Poza praktycznymi umiejętnościami pobyt w szkole wpoił mu wielki kult ZSRR, wiarę w potęgę organów, a przede wszystkim - w nieuchronność obserwowanych procesów historycznych.

Potwierdzały się opinie wyrażane ongiś przez jego ojca: stary świat zdychał, a glob kręcił się zdecydowanie w lewo. Tyle że stary socjalista przytaczał argumenty z fizyki i nauk społecznych, a Konrad oglądał mechanizm z bliska. Za każdym „słusznym” obrotem kuli ziemskiej kryły się działania tysięcy pracowników wywiadu, dyplomatów, szpiegów, dywersantów, agentów wpływu czy też pożytecznych idiotów, jak jeszcze Lenin nazywał zachodnich intelektualistów. A wszystko wspierała potężna, stale rosąca machina wojenna, która kradzione technologie przekuwała w tysiące czołgów, samolotów i bomb, już niebawem z jądrowym nadzieniem. Zachód działał żywiołowo, lecz chaotycznie, wykorzystując kapitalistyczną żądze zysku. Wschodem kierowała żelazna logika dziejów i niewzruszona wola leninowskiej partii pod wodza samego Stalina.

Więc jeśli nawet czasami ogamiał Konrada żal za starym porządkiem - z jego burżuazyjną tolerancją, kupiecką skrętnością

i inteligentnym rozmęśnieniem - to przecież wiedział, że przeznaczeniem owego świata było zginąć. Jak ten, który w Quo vadis tak znakomicie reprezentował Petroniusz.

„Wolność to uświadomiona konieczność” - stara heglowska teza, którą tak chętnie przywoływał Marks, zgadzała się z najgłębszymi przekonaniem Markiewicza. Reszta stanowiła jedynie praktyczne wnioski.

*

W zaciszu watykańskich murów Karol Wojtyła odbierał lekcje u zupełnie innych nauczycieli, którzy wywodzili prawo od wszechmocnego Boga, posługiwali się kategoriami wolnej woli i mówili o rzeczywistości, w której codziennym sędzią jest nie bezwzględna konieczność, lecz ludzkie sumienie. Gdy wrócił do Polski, teorie wyniesione ze studiów zderzyły się z brutalną rzeczywistością.

Jakże mu dążyło, że w kazaniach musi się powstrzymać przed powiedzeniem wszystkiego wprost. Zresztą i posługiwanie się samym Słowem Bożym wydawało się niekiedy ryzykowne. Przekazując nauki Nauczyciela z Nazaretu, mówił wprawdzie o sumieniu, o prawdzie, o odpowiedzialności, ale przecież czuł, że wypełniający kościół studenci oczekują czegoś więcej. Ale ery miał prawo przekonywać tych młodych ludzi, że są jak pierwsi chrześcijanie, od których każdego dnia ktoś może zażądać złożenia świadectwa za cenę kariery, zdrowia, wolności, a nawet życia? Że czasów, które nadchodzą, nie da się przeczekać, uciekając w prywatność. Że prędzej czy później pojawi się któreś z wielkich pytań i trzeba będzie wybierać, kładąc na szali prawdę, wiarę, rodzinę. Oczywiście, gdyby zechciał, z łatwością poprowadziłby ich na barykady i zginął wraz z nimi. Czy jednak ten kraj tysiącletniej historii i wiary potrzebował nowych męczenników?

- Ułanowicz, ty polityczna gnido, jak wzruszająco potrafisz łąać! - nie wytrzymał Konrad.

I znów zaczął wspominać.

Gdy latem 1949 roku wrócił z Moskwy, naładowany poczuciem historycznej misji, przeżył głębokie rozczarowanie. Mimo że ukończył kurs z oceną celującą i równocześnie osiągnął stopień lejtnanta (porucznika), nie wysłano go do Nowego Jorku, Paryża czy Rzymu. Najzwyczajniej w świecie wysiadł z pociągu na obskurnym Dworcu Wschodnim w Warszawie, gdzie nikt go nie witał, a po zgłoszeniu się do wydziału kadr w MSW dostał skierowanie do Powiatowego Urzędu Bezpieczeństwa w Biłgoraju.

Biłgoraj! Dopiero lektura maszynopisu hrabiego Olgierda uświadomiła mu, jak wiele epizodów ze swego życia wyrzucił z pamięci. Najwięcej z początku lat pięćdziesiątych, przypominających zły sen. Oddelegowanie na tak odległą prowincję potraktował jako zesłanie, w dodatku dość niebezpieczne. W okolicy działała antykomunistyczna partyzantka, pojawiały się niedobitki U PA, poza tym wszędzie było przeraźliwie daleko. Przeważnie nie miewał snów, ale teraz, w trakcie lektury, zaczęły wracać do niego twarze ludzi, których schwytał, przesłuchał, wysłał do więzienia, a poniekąd także zabił. Nigdy nie zapomni tego chłopaka, który po całonocnym przesłuchaniu znalazł dość siły, żeby wyskoczyć z samochodu hamującego przed zamkniętym przejazdem kolejowym, a następnie rzucić się pod pędzący pociąg. Albo ten

- ostatni partyzant osaczony w ziemiance, który wolał się rozsańczy granatem niż poddać. Gdzie podziewa się dzisiaj owa przepiękna osiemnastoletnia dziewczyna, która przyszła wstawić się za narzeczonym, maturzystą, członkiem nielegalnej organizacji, schwytanym z ręcznie pisanymi ulotkami? Dlaczego zapewniał, że spróbuje jej pomóc, a potem zawłókł do łóżka i wykorzystał,

sকoro wiedział, że chłopak - żeby nie sypanąć swego dowódcy - wieczorem w dniu aresztowania podciął sobie żyły kawałkiem szkła i wykrwawił się do rana? Dureń nie wiedział, że właśnie ów dowódca był ubeckim konfidentem, który go sprzedał. Dwie plamy krwi - ta na betonowej podłodze w celi i ta na prześcieradle w jego kwaterze - powracały, stając się męczącym wyrzutem sumienia. Głupia szczeniara! Nie mogła powiedzieć, że jest dziewicą?! Inna sprawa, że gdyby nawet powiedziała, cóż by to zmieniło...?

Cholerny Ułanowicz i jego papież. Przeszłość tyle lat leżała spokojnie w zakurzonych zakamarkach pamięci. A teraz? Łapał się na tym, że myśli o zapyziałych chłopach, którzy najpierw nie chcieli przejmować ziemi obszarników i wyzyskiwaczy, krzycząc: „Brać cudze? Przecie to kradzież!”, a potem rękami i nogami bronili przed kolektywizacją tych samych mórg i hektarów.

Wspominał także tych wszystkich nieprawomyślnych nauczycieli, którzy stracili posadę za mówienie swym wychowankom rzeczy oczywistych, lecz zakazanych; lekarzy, których zniszczono za pomaganie „leśnym”; adwokatów pozbawionych możliwości uprawiania zawodu za bronienie „bandytów”. Ciekawe, że wtedy w ogóle się tym nie przejmował. Przecież ci ludzie należeli do przeciwników...

Poza tym był młody, zapalczywy i właśnie się ożenił.

Krystynę, typowe dziewczę z małego miasteczka, poznał na pocztce, gdzie pracowała w charakterze „panienki z okienka”. Miała śliczną buzię o „przedwojennej urodzie”, trochę przypominała Jądwigę Smosarską, w której, jak wielu jego rówieśników, kochał się bez pamięci. Przez resztę dnia zastanawiał się, czy anielskiej twarzy odpowiadają równie wspaniałe nogi, wrócił więc pod pocztę, kiedy dziewczyna kończyła pracę. Okazało się, że jest niewysoka,

ale kształtna. Nie ujawniła się jeszcze jej późniejsza tendencja do tycia.

Dopiero trzeciego dnia zdobył się na odwagę, by do niej zagadać, w sobotę zaprosił ją do kina. Odmówiła, twierdząc, że jest zaręczona. Prywatne śledztwo wykazało jednak, że narzeczony panny Krysi przebywa w wojsku, hen pod Trzebiatowem. A że nieobecnych nie bierze się pod uwagę, po trzech miesiącach chłopak nie miał już do kogo wracać.

Młody oficer śledczy, detektyw, jak zwykł się przedstawiać Konrad, imponował Krystynie. Swoboda, z jaką odnosił się do ludzi, i szacunek, z jakim traktowali go miejscowi oficjele, robiły wrażenie. Nie wiedziała, a może wolała nie wiedzieć, że owo poważanie nie wynika wyłącznie z walorów porucznika, ale że wymusza je strach wobec instytucji, którą reprezentuje. Skrót „UB” wymawiano półgłosem, a w zasadzie starano się w ogóle go nie wymieniać, by nie spowodować nieszczęścia.

Rodzice Krysi, ojciec - prowincjonalny aptekarz, matka - pielęgniarka w ośrodku zdrowia, nie byli zachwyceni wyborem córki. Do późna w nocy toczyły się rozmowy, które często kończono kłótnią.

Dziewczyna nie wierzyła, że „detektyw” należy do straszliwej hydry terroryzującej kraj.

- Doskonale go poznałam - stwierdziła. - Nie macie pojęcia, jaki jest szarmancki, inteligentny, delikatny.

- Ciekawe, czy równie delikatnie zrywa ludziom paznokcie!
- warknął ojciec.

Krystyny nie przekonał. Kiedy Markiewicz przyszedł się oświadczyć, z kwiatem dla matki i radzieckim koniakiem dla ojca, został przyjęty.

Właściwie postawiono mu tylko jeden warunek: ślub musi być kościelny. Wprawdzie Konrad należał do partii i tłumaczył, że

w pracy źle oceniano by coś takiego, sprawa jednak nie podlegała dyskusji.

- Partyjny czy niepartyjny, to żaden problem - twierdził aptekarz. - Weźmiecie cichy ślub w Tomaszowie, skąd pochodzi moja żona i gdzie mój kuzyn niedawno objął probostwo.

- Tylko że ja jestem niewierzący.

- Ale ochrzczony! Dla mnie ważne, żeby moje wnuki były katolikami.

Dla świętego (czy raczej laickiego) spokoju zgodził się, postanawiając w duchu, że wychowa dzieci na takich komunistów jak Janek Krasicki lub Hanka Sawicka, lub ci dwoje naraz.

Z proboszczem też obyło się bez większego problemu. A gdyby nawet ten się stawiał... Konrad zawczasu przejrzał jego teczkę i dowiedział się, że księżulo za okupacji popierał NSZ, a od takiej postawy, jak wiadomo, tylko krok do podejrzeń o współpracę z Gestapo... Na szczęście, podobne argumenty okazały się niepotrzebne.

Markiewicz odegrał poprawnie swoją rolę, ślubował, co trzeba, a w noc poślubną poczynił sobie tak dziarsko, że łożo małżeńskie, choć przedwojenne, po prostu się rozpadło.

I gdyby nie pewna uciążliwość pracy, śmiało mógłby uznać początek lat pięćdziesiątych za najpiękniejsze lata swojego życia. W podróż poślubną pojechali do Zakopanego i przez dwa tygodnie wspinali się po perciach, żlebach i tumiach, ona jak kozica, on bardziej jak niedźwiadek.

Po niecałym roku, wiosną 1952, urodziła się Sonia. Śliczna dziewczynka o ciemnych włosach i długich rzęsach. Co prawda, jeszcze tej samej nocy musiał aresztować starego przedwojennego oficera, który zadekował się jako mechanik w tartaku, czekając tam na trzecią wojnę światową i przyjazd generała Andersa na białym koniu, ale i tak uważał się za człowieka szczęśliwego.

Nawiasem mówiąc, oddalenie od Warszawy ujawniało swoje dobre strony. Z dystansu mógł oglądać paroksyzm polskiego stalinizmu, nie wchodząc w pole rażenia.

Walka z wrogiem klasowym, jak nauczał Józef Stalin, zaostrzała się w miarę postępu budownictwa socjalistycznego. Za odchylenie prawicowo-nacjonalistyczne odsunięto przywódcę PPR-u i wicepremiera Władysława Gomułkę. W listopadzie tegoż roku zarówno „Wiesław”, jak i jego najbliżsi współpracownicy zostali wykluczeni z kierownictwa partii. W następnym roku aresztowano Mariana Sychalskiego, a wkrótce po ślubie Markiewicza - samego Gomułkę. Czystka w wojsku przypominała wstęp do podobnej operacji, jaką w latach trzydziestych przeprowadził u siebie towarzysz Stalin.

Kiedy Konrad przyjeżdżał do Warszawy na narady i szkolenia, nie mógł nie zauważyć, jak ciężka zrobiła się atmosfera. Byli partyzanci, uczestnicy wojny w Hiszpanii, starzy towarzysze, zwłaszcza etniczni Polacy, coraz częściej stawali się podejrzanymi, oskarżonymi i skazanymi. Ktoś, kto kierował ścieżkami Konrada (sam Lucyper czy któryś z jego pomagierów?), wybrał bardzo rozsądnie, każąc mu przeczekać stalinizm w Biłgoraju.

*

O ile trudno ustalić, kto reżyserował życie Konrada, o tyle o losy Karola szczególnie zatroszczył się arcybiskup Sapięha.

Stary kardynał czuł, że wokół młodego kapłana z kościoła Świętego Floriana, który miał znakomity kontakt z młodzieżą, zaciska się niewidzialna sieć agentów i konfidentów. Troskę o wychowanka przekazał swemu następcy, arcybiskupowi Eugeniuszowi Baziakowi, wygananemu metropolicie lwowskiemu. Ten podjął decyzję. Wojtyła, jako ksiądz „pierwszego kontaktu”, stykający się w krakowskiej parafii z wiernymi, stawiany prawie codziennie wobec pytań, na

które nie było odpowiedzi, i trudnych wyborów moralnych, łatwo mógł stać się ofiarą bezpieki. A Kościół potrzebował takich ludzi jak on na lepsze czasy. Dlatego w 1951 roku skierowano go na urlop, z poleceniem, by dokończył pracę habilitacyjną. Kaznodzieja przemienił się w naukowca, eseistę, prywatnie również w poetę i dramaturga. Chociaż w gruncie rzeczy stanowiło to dla niego jedynie powrót do wcześniejszych zainteresowań. Opinia zagrzebanego w naukową działalność fenomenologa osłabiła nieco zainteresowania UB. Zwłaszcza że w bezpiece brakowało specjalistów od mistyki świętego Jana od Krzyża czy etyki chrześcijańskiej Maksa Schelera.

Jednak na wszelki wypadek Ministerstwo Oświaty odmówiło uznania habilitacji księdza Wojtyły, który po zamknięciu w 1954 roku Wydziału Teologicznego na Uniwersytecie Jagiellońskim musiał przenieść się na Katolicki Uniwersytet Lubelski. Tam zresztą po raz pierwszy zetknął się z Konradem Markiewiczem.

Jeszcze rok wcześniej wydawało się, że ambitny ubek, mimo sukcesów odnoszonych w walce z wrogami rewolucji, pozostanie w Biłgoraju na wieczne czasy. Zapomniano o nim. Nawet wtedy, gdy 5 marca 1953 roku Polskie Radio, w ślad za wszystkimi rozgłośniami Związku Radzieckiego, podało informację, że przestało bić serce „Sternika Narodów”. Co za szok! Kraje demokracji ludowej i „cała postępową ludzkość” pogrążyły się w żałobie. Inna sprawa, że oficjalny smutek i histeria aktywistów partyjnych wyraźnie kontrastowały z ogólnym nastrojem społecznym. Teść Konrada upił się ze szczęścia.

On sam doświadczał dziwnego uczucia. Odnosił wrażenie, że zanoszą się na zmiany. Tylko w którym kierunku miałyby one pójść? Przecież nie było odwrotu z drogi budownictwa socjalistycznego. Odwilż proklamowana przez Berię okazała się tyleż płytka, co

krótkotrwała. Po czerwcowym powstaniu robotników Berlina szef sowieckiej bezpieki stracił władzę, a później życie. Plotka głosiła, wbrew oficjalnym komunikatom o jego grudniowym procesie, że stało się to równocześnie z odebraniem władzy, na posiedzeniu Politbiura. Nazwisko kata pozostało nieznane. Żuków, Chruszczów czy może generał Moskalenko?

W każdym razie, mimo tych wstrząsów, o których wieści dochodziły z centrali imperium, w Polsce nic szczególnego się nie działo. Nadal w procesach oficerów sypały się wyroki śmierci, aresztowano kolejnych księży, a niedawny protektor Wojtyły, arcybiskup Eugeniusz Baziak, został skazany na karę śmierci, zamienioną następnie na dożywocie. Wreszcie we wrześniu 1953 roku podniesiono rękę na samego prymasa Wyszyńskiego. Konrad miał do kleru stosunek niechętny, toteż nie mógł pojąć, dlaczego żona i teściowa wylewały z tego powodu.

- Nikt nie zabrania wam się modlić, a że niektórych biskupów aresztuje się za szpiegostwo i jątżnienie przeciwko władzy ludowej, to wyłącznie ich wina.

- Na razie się nie zabrania. A co będzie jutro? - pytała Krystyna.
- Przecież sam opowiadałeś, że w Rosji kościoły są pozamykane...
- Są pozamykane z powodu braku zainteresowania. Społeczeństwo radzieckie dojrzało do ateizmu.

W efekcie tej wymiany zdań dwa tygodnie ze sobą nie spali.

Zwrot w jego karierze przyniosła ucieczka na Zachód Izaaka Fleischfarba, znanego szerzej jako Józef Światło, wicedyrektora Departamentu X Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, który podczas zakupów w Berlinie Zachodnim zniknął z oczu koledze z resortu i zgłosił się do władz amerykańskich.

Początkowo sprawa była tajna, ale kiedy od września 1954 audycje z udziałem Józefa Światły poczęły pojawiać się na falach

Radia Wolna Europa, nastąpiło prawdziwe trzęsienie ziemi. Tym bardziej że rewelacje na temat kulis władzy, podległości Polski Sowiecom, a zarazem ogromu popełnianych zbrodni przekazywała figura, która uczestniczyła w tym osobiście. Okazało się, że Departament X zajmował się inwigilacją kierownictwa partii i kraju, zeznania wymuszano torturami i często stosowano prowokację. Trudno wyobrazić sobie bardziej wybuchowy materiał.

W efekcie PZPR została zmuszona do reakcji. W partyjnych publikacjach pojawiła się krytyka „nadużyć w resorcie”, odsunięto najbardziej skompromitowanych działaczy, a MBP podzielono na Komitet ds. Bezpieczeństwa Publicznego i Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. Miało to konkretne znaczenie dla Markiewicza. Podniesiony do stopnia kapitana, w grudniu 1954 roku opuścił wreszcie Biłgoraj, by objąć stanowisko wicedyrektora placówki w Lublinie.

Zauważył dziwną prawidłowość w swoim życiu - w im gorszej kondycji znajdowała się ukochana partia, tym szybciej on awansował.

Tymczasem nadszedł ów niezwykły 1956 rok, w którym chyba po raz ostatni zastawiał się, czy dobrze obstawił w życiowej ruletce.

W kraju czuło się ogólne rozprężenie, tak jakby festiwal Młodzieży i Studentów w Warszawie, który odbył się latem poprzedniego roku, tchnął nowego ducha w zalaną betonem duszę Polski Planu Sześcioletniego. Konrad, tak jak inni, czytał od deski do deski „Po prostu” i „Nową Kulturę”. Zdumiewała go odwaga wczorajszego politruka Adama Ważyka w Poemacie dla dorosłych, a zarazem z zaskoczeniem przyjmował dziesiątki, jeśli nie setki sygnałów z terenu. Potrzeba mówienia przewyższała strach. Ludzie mieli dosyć socjalistycznego eksperymentu, kolektywizacji, braków zaopatrzeniowych będących, zdaniem większości, efektem

zwycięskiej „bitwy o handel”. Protestowano przeciwko kastrowaniu pamięci i traktowaniu bohaterów niedawnej wojny i Polskiego Państwa Podziemnego jako obywateli, w najlepszym razie, drugiej kategorii. Domagano się swobód religijnych i uwolnienia kardynała Wyszyńskiego. Najbardziej kuriozalne okazało się żądanie pracowników cenzury, którzy domagali się wolności słowa i rozwiązania ich instytucji.

Jednak prawdziwym wstrząsem był XX Zjazd KPZR. Konrad studiował tajne przemówienie Chruszczowa przez całą noc. A potem drugi raz - przez cały dzień. Człowieka, który znał pracę organów od wewnątrz, nie porażała cała prawda o systemie, choć i jego zdumiewała skala represji. Najbardziej jednak szokujące wydawało mu się to, że partia zdecydowała się ujawnić swoje zbrodnie, podważyć mit genialnego Stalina, obciążając go odpowiedzialnością za klęski w pierwszym okresie wojny... Niesłychane! Czytając raport po raz drugi, zauważył elementy, na które przedtem nie zwrócił uwagi. Stalina potępiano za zbrodnie przeciwko starym komunistom, za zatajenie testamentu Lenina, który ostrzegał przed wyborem Dżu-gaszwilego na swego następcę, choć nie wskazywał nikogo innego... Nie wspomniano natomiast o zbrodniach systemu wobec zwykłych ludzi. Lenin, który go stworzył, został nazwany dobrym, jako błędną potępiono jedynie praktykę Stalina, odejście od leninowskich metod. „Leninowskie metody” wdrażane przez towarzysza Dzierżyńskiego uznano za ideał demokracji socjalistycznej!

Ale może Nikita Siergiejewicz zamierzał dozować prawdę i na następnym zjeździe powiedzieć więcej? Tylko do czego by to miało doprowadzić? Do restytucji Romanowów?

A i tak reperkusje okazały się ogromne. W Moskwie, krótko po zakończeniu zjazdu, zmarł Bolesław Bierut. („Pojechał w futerku, powrócił w kufierku” - kpiła warszawska ulica). Wśród uporczywych

plotek powtarzały się wersje o otruciu, samobójstwie lub o tym, że serce towarzysza „Tomasza” nie wytrzymało, kiedy dowiedział się całej prawdy o niesłusznie straconych towarzyszach z Komunistycznej Partii Polski. Bzdura. On, funkcjonariusz NKWD, by nie wiedział?!

W czerwcu zbuntowali się robotnicy Zakładów Metalowych im. Józefa Stalina w Poznaniu. Połała się krew. Premier Cyrankiewicz groził obcinaniem rąk. Mówił tak na pokaz, dla swych twardogłowych przeciwników w partii, ale naród odebrał przemówienie jednoznacznie i nigdy mu tego nie zapomniał. Z całego kraju dochodziły sygnały o protestach, strajkach, żądaniach.

W tej sytuacji przywrócenie Gomułki przez październikowe VIII Plenum KC PZPR stanowiło posunięcie wręcz genialne. Jego stalinowska przeszłość została zmasowana przez uwięzienie, a rzekomy opór wobec Rosjan przyniósł mu sławę bohatera narodowego, jakiego od czasów Piłsudskiego Polska nie miała.

Konrad w tych dramatycznych dniach nie spał i nie jadł. Na stałe przeniósł się do gmachu urzędu. Analizował donosy z KUL-u i Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej oraz meldunki docierające z wielkich zakładów pracy. Niespokojnie robiło się w wojsku. Powtarzane przez Wolną Europę pogłoski o ruchach wojsk rosyjskich nasuwały na co dzień pytanie o lojalność armii i milicji, gdyby doszło do najgorszego.

Oczywiście, Rosjanie nie musieli nigdzie wchodzić. Już zajęli wszystkie możliwe pozycje. Rosjanami byli przecież głównodowodzący Wojska Polskiego - Marszałek Polski Konstanty Rokossowski i mnóstwo dowódców najwyższego szczebla. Rosyjscy nadzorcy czuwali w organach. Poza tym - czy internacjonalistyczni generałowie o komunistycznym rodowodzie poszliby na nacjonalistyczną awanturę? Komar, wykonujący przed wojną w imieniu partii wyroki na zdrajcach

komunizmu, czy Frey-Bielecki, w 1939 roku twórca Czerwonej Milicji na Kresach okupowanych przez ZSRR i podpułkownik UB pacyfikujący Kraków? Legenda przypisywała im patriotyczne odruchy, ale ile kryło się w tym propagandy... Choć w ekstremalnych sytuacjach ludzie potrafią zachowywać się naprawdę nieprzewidywalnie...

Nazajutrz po VIII Plenum przerażające wiadomości napłynęły z bratnich Węgier. Zaczęło się od wiecu poparcia „zdobycy polskiego Października”, który ściągnął tłumy pod pomnik generała Bema. Fatalne, jętrzące przemówienie Erno Gero sprawiło, że pokojowa demonstracja przerodziła się w zamieszki. Część armii przeszła na stronę kontrewolucji, sprzyjał jej nowo powołany premier Imre Nagy. Cóż za paradoks historii! Ten sam Nagy, który służył w oddziale Jurowskiego, uczestniczył w rozstrzelaniu carskiej rodziny w piwnicy domu kupca Ipatiewa...

Węgierski karnawał wolności, w trakcie którego zniesiono cenzurę, wprowadzono system wielopartyjny i ogłoszono wystąpienie z Układu Warszawskiego, trwał dziesięć dni. Ale nie było to „dziesięć dni, które wstrząsnęły światem”, jak pisał o rewolucji Piotrogradzkiej John Reed. Świat zajęty wojną o Kanał Sueski zmartwił się, kiedy w niedzielę 4 listopada sowieckie czołgi wjechały do Budapesztu, ale poza protestami nic nie zrobił. Prawdopodobnie tak samo by postąpił, gdyby wzorem armii Suworowa i Paskiewicza tanki z czerwonymi gwiazdami wjechały pacyfikować Warszawę.

- A ty co byś zrobił? - zapytała Krystyna pewnej listopadowej nocy, kiedy wbrew przyjętym w ich małżeństwie regułom zaczęli rozmawiać o polityce. - Co byś zrobił, gdyby Rosjanie zaczęli strzelać do polskich robotników i żołnierzy?

Milczał. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

Może parę dni wcześniej miał jakieś iluzje i złudzenia co do Gomułki. Teraz wiedział, że stary gracz zastosował jedynie chytry

wybieg, by zaskarbić sobie poparcie społeczeństwa. Głośno krytykując dotychczasowe „błędy i wypaczenia”, po cichu zagwarantował Sowietaom lojalność i porządek w Polsce w zamian za władzę i przyzwolenie dla „polskiej drogi do socjalizmu”. Już się nawet do tego porządku zabrał, wołając na koniec historycznego wiecu przed Pałacem Kultury: „Dość wiecowania i manifestacji!”.

Jeśli idzie o tragedię węgierską, ten problem też rozwiązano wzorowo. Dano się wykrzyczeć prasie, zezwolono na zbiórkę leków i masowe oddawanie krwi na rzecz powstańców z Budapesztu. Władze apelowały o rozsądek i usiłowały nie jątrzyć. Podobne wytyczne otrzymali szefowie placówek bezpieki.

W Lublinie studenci naturalnie także wiecowali i chodziło głównie o to, aby protest nie wylał się na ulicę i nie przerodził w zamieszki. Funkcjonariusze przeprowadzali dziesiątki rozmów z kadrami naukową, tłumacząc, że są po stronie społeczeństwa i solidaryzują się z narodem węgierskim.

- Najważniejsze zadanie to nie dać się sprowokować i „uchronić zdobycze polskiego Października” - powtarzał Markiewicz. Oczywiście wobec swych interlokutorów przedstawiał się zawsze jako urzędnik Wojewódzkiej Rady Narodowej.

Spośród rozmówców z tamtych dni szczególnie zapamiętał młodego profesora etyki katolickiej. Właściwie przez długi czas wspomnienie, przysypane innymi, wydawało się zupełnie zatarte, jednak kiedy ów ksiądz został papieżem, a Konrad obejrzał go dokładniej podczas ceremonii intronizacji, którą transmitowała Telewizja Polska, natychmiast zorientował się, że to ten sam człowiek. I wspomnienie wróciło. Tylko dlaczego w ogóle go zapamiętał? Podobnych spotkań odbył przecież setki! Może dlatego, że w odróżnieniu od innych naukowców KUL-u, usiłujących przedstawiać własne poglądy i przekonywać aparatczyka, Karol Wojtyła przede

wszystkim grzecznie słuchał. Nie polemizował z twierdzeniami rozmówcy, ale też nie okazywał żadnych emocji, kiedy Konrad mówił o nowych perspektywach współpracy państwa i Kościoła, zwłaszcza teraz po uwolnieniu kardynała Wyszyńskiego z Komańczy. Markiewicz odniósł wrażenie, że stanowisko duchownego można streścić słowami „pożyjemy, zobaczymy”, choć był pewien, że profesor nie użył takiego sformułowania. Nie wydusił też z niego deklaracji, że powstrzyma młodzież przed nierozważnymi czynami.

- Nasza młodzież jest wystarczająco roztropna i odpowiedzialna, żeby wiedzieć, jak się zachować - oznajmił cicho.

Równocześnie wpatrywał się swymi niebieskimi oczami w Konrada tak uporczywie, że ten, choć tyle razy przesłuchiwał, poczuł się nieswojo. Od pierwszej chwili zdawał sobie sprawę, że nie jest to człowiek, którego mógłby zwerbować, choć, co ciekawe, nie dostrzegł w nim przeciwnika. Raczej koncyliacyjnego zwolennika umiaru.

Na koniec spotkania ksiądz nieoczekiwanie wręczył mu upominek w postaci różańca.

- Dziękuję, ale ja nie wierzę w Boga - powiedział zaskoczony kapitan.

- Rozumiem - odparł Wojtyła - ale to nie oznacza, że On nie wierzy w pana.

VI

Natłok wspomnień sprawił, że nie udało mu się skończyć lektury w ciągu jednej nocy. Zasnął nad ranem, ale o dziesiątej znów był na nogach. Zaparzył sobie kawę i pochylił się nad maszynopisem. Nie mógł jednak czytać. Z niewiadomego powodu po dwudziestu pięciu latach próbował ustalić, co stało się z tamtym

różańcem. Nie miało to najmniejszego sensu, nie potrafił jednak skierować myśli na inny temat. Pamiętał, że wychodząc z KUL-u, zamierzał podarować go żonie. Ale nie podarował. Dlaczego?

I gdzie się podział? Trzeba by spytać Krystynę. Miała doskonałą pamięć do drobiazgów. Tylko jak? Zadzwoić do Londynu? Dopiero by sobie używali towarzysze podsłuchujący rozmowy telefoniczne, gdyby usłyszeli, jak generał SB wypytuje żonę o stare dewocjonalia. Jeszcze raz uruchomił swoją fotograficzną pamięć, usiłując przypomnieć sobie tamten dzień. Ubrał się po cywilnemu, a ponieważ dzień zapowiadał się chłodny, nałożył jeszcze... starą granatową jesionkę. Tak. Nie wojskowy płaszcz czy elegancie palto używane na oficjalne uroczystości. Przed księżmi nie chciał występować w roli dygnitarza... Potem przypomniał sobie dotkliwy ziąb w sali, w której prowadzili rozmowę. Był przeziębiony, nie zdjął więc tej jesionki. A zatem, kiedy Wojtyła dał mu różaniec, musiał włożyć go do kieszeni... Czy potem go gdzieś przekładał? Chyba nie. A sama jesionka? Przed przeprowadzką do Warszawy zostawił sporo używanej garderoby teściowi, któremu nie przelewało się na emeryturze, więc chętnie przyjął taką pomoc... Tym chętniej, że skromne oszczędności tracił na lekarzy i medykamenty. Właśnie w tamtym czasie zaczął chorować i nim minął rok, umarł. Czy jest szansa, że różaniec Wojtyły leży nadal w szafie ze starzyzną?

Tylko bez przesady. Nie pojedzie do Biłgoraja z powodu różańca. Zresztą, może wyjął go z jesionki i posiał gdzieś w trakcie przenosin do stolicy... To akurat możliwe. Parę dni po rozmowie z Wojtyłą w życiu Markiewicza znów doszło do znaczącej zmiany. Gdzieś w połowie listopada dowiedział się, że awansowano go na majora. Wyjeżdżał z Polski marszałek Rokossowski, resort opuszczali doradcy sowieccy. W Warszawie zrobiło się mnóstwo miejsca

dla ludzi wiemych, ambitnych, ale niespecjalnie skompromitowanych w czasach „błędów i wypaczeń”.

Przydzielono go do Departamentu III MSW, zajmującego się zwalczaniem działalności antypaństwowej, i skierowano na kurs uzupełniający w Legionowie.

Nie miał pojęcia, kto stał za jego awansem - minister Władysław Wicha ledwo go znał, trudno też byłoby zaliczyć Konrada do przyjaciół ówczesnego wiceministra Mieczysława Moczara, najchętniej otaczającego się kolegami z partyzantki. Może po prostu dostrzeżono w nim właściwego człowieka na nowe czasy. Bo czasy prostych oprawców - brutalnych, posłusznych i bezkrytycznych - mijały.

Ogłoszenie demokratyzacji, poluzowanie cenzury, zgoda na wydawanie katolickich czasopism i udzielenie niejakiemu swobody organizacjom młodzieżowym nie oznaczały przecież, że Służba Bezpieczeństwa przestała być potrzebna. Przeciwnie, musiała jedynie zmienić metody postępowania na bardziej finezyjne. I to pilnie, ponieważ czar, który Gomułka rzucił na społeczeństwo, okazał się krótkotrwały. Tak naprawdę wystarczyło go do wyborów 1957 roku, kiedy to nawet sam prymas apelował o „głosowanie bez skreśleń”. Ale później... Pierwsza rozczarowała się elita intelektualna, za nią poszła młodzież, szczególnie kiedy rozwiązano tygodnik „Po Prostu” i rozpędzono protestujących w jego obronie studentów.

Choć Markiewicz starał się wykazywać w pracy, nie mógł w pełni rozwinąć skrzydeł. Objawił się jego stary wróg - Arnold Habersohn, obecnie posługujący się wonnym nazwiskiem Habrowicz. W odpowiednim czasie postawił na właściwą frakcję polityczną, opuścił resort (choć podobno tego resortu nigdy się nie opuszcza) i stał się fiszą w Centralnej Komisji Kontroli Partyjnej, pełniąc równocześnie jakąś funkcję administracyjną.

Kiedy spotkali się przy okazji jednej z obowiązkowych uroczystości - może rocznicy rewolucji, wyzwolenia Warszawy lub święta MO i SB - Habrowicz nie potrafił ukryć zdumienia na jego widok: wróg ludu nie tylko pozostał żywy, ale w dodatku pobłyskiwał oficerskimi gwiazdkami na epoletach. Jego wzrok nie był w stanie zabijać, ale Konrad pojął, że pamiętliwy kurdupel uczyni wszystko, żeby go zniszczyć. I rzeczywiście, bardzo się starał. Zasypał KC donosami, chodził też w jego sprawie do Moczara. Na razie wprawdzie nic nie wskórał, ale Markiewicz przeczuwał, że Żyd nie przestanie ryc.

Tymczasem spadła na niego o wiele gorsza tragedia - Sonia zachorowała. Dziewczynka - żywa dotąd jak kulka rtęci i ponadprzeciętnie bystra (w wieku pięciu lat umiała już czytać i pisać) - nagle straciła dotychczasową energię. Początkowo wyglądało to na zwykłą grypę, potem na zapalenie płuc. Niestety, okazało się, że jest dużo, dużo gorzej. Nie pomogła resortowa klinika, specjaliści najwyższej klasy, wyjazd do Rosji... Sonia nie doczekała kolejnej wiosny.

Krystyna szalala, biegała do znachorów, zielarzy, przesiadywała w kościele, błagała Konrada, aby modlił się wraz z nią.

- Przecież nie wierzę.
- To uwierz. Bóg ją uratuje! Cuda się zdarzają!
- Zrozum, najdroższa, wymagasz ode mnie zbyt wiele. Choćby nie wiem jak bardzo mi zależało, nie wykrzeszę z siebie wiary w cud. Istnienie cudów wyklucza natura świata - materia i energia podlegają określonym prawom, które nie dopuszczają nadprzyrodzonej interwencji. Wierz mi, gdyby mogło to uratować nasze dziecko, poszedłbym w worze pokutnym na pielgrzymkę do Częstochowy. Ale nie umiem się oszukiwać.

Cały on. Nie potrafił uwierzyć. Dlaczego?

W noc, kiedy umarła Sonia, bluźnił i złorzeczył Temu, którego nie ma. Na nic więcej nie było go stać.

Parę dni później - nastąpiła już druga połowa września 1958 roku

- w gmachu KC do Konrada podszedł Habrowicz. Ostatnimi czasy utrzymywali poprawne stosunki. Teraz obleśny uśmiezek, który błąkał się na ustach aparaczyka, nie wróżył nic dobrego.

- Mogą pojawić się kłopoty, towarzyszu - zagadnął.

- Jakie kłopoty?

- Pewna dziewczyna w Izraelu zamierza opublikować wspomnienia. Nazywa się Blomberg. Hanna Blomberg. Mówi wam coś to nazwisko?

Nie czekając na odpowiedź, oddalił się, pozostawiając Markiewicza bardzo zaniepokojonego. Tego jeszcze brakowało. Wprawdzie uratował Blombergównie życie, ale przecież asystował przy zagładzie jej rodziny. Kto wie, jak kobieta wspomina swoją tragedię po latach... A jeśli oskarży go o udział w morderstwie?

Chyba nigdy nie czuł się bliższy popełnienia samobójstwa niż wtedy.

Nie mógł sobie jednak na to pozwolić. Przynajmniej nie od razu. Na przeszkodzie stało absolutne poczucie obowiązku. Wysyłano go właśnie na naradę aktywu służb bezpieczeństwa krajów RWPG do Pragi i nie zamierzał zawieść swoich przełożonych. Pojechał, chociaż znajdował się w takim stanie, że nie pamiętał, o czym mówiono na spotkaniu.

Wieczorem wymówił się od uczestnictwa w bankiecie. Potrzebował samotności i nie tęsknił za zbiorową popijawą. W hotelu strzelił do lusterka parę wódek i by zaczerpnąć świeżego powietrza, wybrał się samotnie na most Karola. W chłodną wrześnieową noc nie napotkał tam zbyt wielu spacerowiczów. Stał na środku mostu i wpatrywał się w spieniony nurt Wełtawy. A gdyby teraz skoczył?

- No i proszę, góra z górą się nie zejdzie... - usłyszał naraz za swoimi plecami.

Grisza Ostapowicz! Współlokator z Bałaszychy!

Rudowłosy absolwent SZON-u zachował swój szelmowski uśmiech, ale nawet na pierwszy rzut oka wydał się trochę tęższy, bardziej zwalisty. A może to nie był ten sam Grisza, tylko któryś z jego braci bliźniaków? W późniejszych czasach spotykał ich wielokrotnie, w różnych miejscach, pod różnymi nazwiskami i nigdy nie miał pewności, czy rozmawia z jedną i tą samą osobą.

- Nie widziałem cię na zebraniu - zauważył Konrad, kiedy wymienili uściski.

- Bo jestem tu prywatnie. Turystycznie - oznajmił Grisza.

- Ale świetnie się składa, bo zamierzałem jechać do Polski, żeby zobaczyć, jak się miewasz i co porabiasz. Podobno awansowałeś...

Dziś naturalnie Konrad wiedział, że do spotkania nie doszło przypadkiem. Że nic na tym świecie nie zdarza się przypadkiem. Mimo że utknął w Biłgoraju, nigdy nie spuścili go z oka. Wiedzieli o nim wszystko, czekali tylko na moment, kiedy znajdzie się w dołku...

Rozmawiając o wszystkim i niczym, ruszyli w stronę Hradczan, wiszących nad opustoszałym miastem niczym mroczna chmura.

- Słyszałem, że dopadły cię kłopoty. Bardzo ci współczuję

- zaczął nagle Grisza. - Pewnym problemom nie sposób zaradzić. Ale wszystkie inne są do rozwiązania!

- O czym mówisz?

Nim doszli do Złotej Uliczki, sporo się wyjaśniło. Ostapowicz nie mówił otwartym tekstem, nie powiedział też konkretnie, w czyim imieniu występuje, jednak sens proponowanego układu pozostawał czytelny. Oni ze swej strony uciszą Blombergównę i sprawią, że Habrowicz przestanie przysparzać kłopotów...

- W zamian za co?

- Za informacje.

- Przecież dzielimy się z wami wszelkimi dostępnymi informacjami.

- Ale my chcielibyśmy znać również te niedostępne.

Zrozumiał, że chodzi o wewnętrzne sprawy partii, stosunki w kierownictwie, życie prywatne przywódców, intrygi, wzajemne haki... Kiedyś tym wszystkim zajmował się Departament X. Jednak po Październiku partia kategorycznie zabroniła stosowania podobnych praktyk.

- Musicie postarać się o kogoś z większą wiedzą - rzekł.

- Prościej będzie, jeśli postaramy się, żebyście wy zdobyli taką wiedzę.

Być może za łatwo zgodził się na współpracę, choć nie podpisywał żadnego cyrografu. Na pewno jednak nie mógł okłamywać sam siebie, że nie wie, co robi. Zgodził się zdradzać swoją ojczyznę. Ale przecież ona i tak była już zdradzona.

*

Jak to się miało do życiorysu Karola Wojtyły, którego każdy krok zbliżał do Boga, zwiększając jego możliwości czynienia dobra i pełnienia służby wobec Kościoła oraz społeczeństwa?

Na pierwszy rzut oka ich drogi życiowe biegly w przeciwnych kierunkach. Ale i tak, zdaniem generała, nadal można było doszukać się podobieństw. Obydwaj służyli ponadnarodowym struktutom, z których jedna zamierzała zbudować raj na ziemi, druga obiecywała go po jej opuszczeniu. Obie nie mówiły całej prawdy, ale kłamstwa Kościoła Konrad uznawał za bardziej perfidne i cyniczne. Jego kłapki na oczach trzymały się nieźle.

To, że wiara jest łaską, a tysiące kapłanów i zakonnic po prostu służą Bogu i Jego owczarni, wydawało mu się kompletnie nieprawdopodobne. Wraz z upływającymi latami coraz usilniej wierzył w opowieści ojca o światowym spisku, gromadzonych bogactwach,

zakulisowym sterowaniu światem i występnyim życiu hierarchów za murami ich pałaców i opactw. Jeśli nawet dopuszczał osobistą uczciwość jakiegoś księdza, misjonarza czy zakonnika, to uważał, że są to po prostu frajerzy wykorzystywani przez swoich przełożonych w celu mydlenia oczu maluczkim.

W trakcie czytania książki Ułanowicza (pomimo wybuchów wściekłości, które ta w nim wywoływała) Markiewicz sporządzał tabelkę, w której po lewej stronie umieszczał kluczowe fakty ze swojego życia, a po prawej - z biografii papieża. Kolumny pasowały do siebie w zaskakujący sposób. Nie potrafił znaleźć jedynie analogii do śmierci Sonii. Karol Wojtyła od dawna nie miał już nikogo tak bliskiego. W analizowanym okresie nie umarł też nikt z jego najbliższych znajomych. A może... Może zdarzyło się coś przeciwnego, na przykład ktoś, kogo zgonu się spodziewano, za sprawą księdza Wojtyły ozdrowiał? Słyszał plotki, że jacyś nieuleczalnie chorzy dzięki wstawiennictwu kapłana wracali do zdrowia. Podobno Wojtyła kontaktował się w tym celu z pewnym kapucynem ze środkowych Włoch. Ów mnich, ponoć stygmatyk i wizjoner, wiele lat nawet przez Watykan uznawany był za hochsztaplera i szarlatana. Jednak ludzie peregrynujący do jego klasztoru twierdzili, że jest niesamowicie skuteczny. Konrad przypomniał sobie, że przecież czytał w maszynopisie Ułanowicza o tym mnichu, nazywanym Ojcem Pio, który uzdrowił znajomą Wojtyły.

Pomyślał o Sonii i zabiegach Krystyny, która - gdyby tylko mogła - zawiozłaby dziecko do takiego mnicha, do Lourdes, do Fatimy... I ogarnęła go wściekłość. O, niezmierna potęga zaboronu!

„Zostawmy tragedię!” - generał próbował się uspokoić.

W każdym razie inne fakty z obu życiorysów znowu się zgadzały - wrześnieowa konsekracja biskupia, przełomowa dla kariery

Karola Wojtyły, zbiegała się z praską rozmową z Griszą Ostapowiczem i z tym wszystkim, co stanowiło jej konsekwencję.

Zaraz po powrocie do Warszawy Markiewicz został wezwany przez wiceministra Moczara na rozmowę do jego gabinetu. Przełożony pochwalił kilka ostatnich osiągnięć podwładnego, a następnie poinformował, że wytypowano go do wzięcia udziału w Zjeździe Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej w charakterze delegata.

- Bardzo byśmy chcieli, żebyście weszli do statutowych władz naszej partii. Macie analityczny umysł i odpowiedni kręgosłup ideowy, mimo młodego wieku - powiedział „Mietek”.

Z dalszej rozmowy wynikało, że chodzi o Centralną Komisję Kontroli Partyjnej, ciało może amorficzne, ale przynajmniej teoretycznie stojące na straży ideowej czystości partii ludzi pracy.

Zjazd obradujący między 10 a 19 marca 1959 roku oczywiście dokonał tego wyboru.

Równocześnie stosunki wiceszefa MSW z protegowanym coraz bardziej się ocieplały. Konrad, awansowany z początkiem lat sześćdziesiątych do stopnia podpułkownika i mianowany wicedyrektorem, przeniósł się do gabinetu ministra. Od razu też stał się jednym z najbliższych współpracowników Mikołaja Demki (tak brzmiało prawdziwe nazwisko Moczara). Jeździł z nim na polowania, był zapraszany do domu i jako pierwszy czytelnik zapoznawał się z jego wspomnieniami z lat wojny. Poza tym aktywnie włączył się do działalności Związku Bojowników o Wolność i Demokrację, gdzie bez względu na kłopotliwe plamy w życiorysie wszedł w skład wpływowej frakcji partyzantów.

Szybko zdał sobie sprawę, że aspiracje „Mietka” (przeszli na ty po miesiącu współpracy) sięgają dużo dalej niż coraz bliższy fotel ministra. A ambicje Konrada? Nie należał do marzycieli. Lubił to, co robił. Powodziło mu się dobrze, w 1959 roku, po wielu

bezwolnych próbach, Krystyna zaszła wreszcie w ciążę i urodził się Marcin, wypełniając swoim gaworzeniem pustkę, która zapanaowała po śmierci Sonii.

Nawet kontakty z Griszą Ostapowiczem nie robiły wiele ambarasu przez trzy lata. Co prawda, pierwsza rozmowa w grudniu 1958 roku rozpoczęła się trochę sztywno, jednak koniak i prezenty, które przywiózł Griszka, rozchmurzyły spiętego Konrada. Wśród upominków znalazły się wydane po polsku w Izraelu dramatyczne wspomnienia Hanny Blomberg. Jednak z pamiętnej sceny w otwoczkim lasku wyparowała postać Markiewicza. Pojawił się za to na liście osób, których pomoc uratowała dziewczynie życie. Kolejnym prezentem był wycinek z gazety, bodajże „Trybuny Ludu”, donoszący, że towarzysz Habrowicz otrzymał nominację na stanowisko konsula PRL w Australii.

- Ja wywiązałem się ze swoich obietnic - oświadczył gość, a następnie rzucił kilka pytań, na które odpowiedzi chciałby poznać w pierwszej kolejności. To nie nastęrczyło Konradowi żadnych trudności. Aż do 1962 roku Ostapowicz nie miał większego pożytku ze swego współpracownika. Prawdę powiedziawszy, nie wymagał też zbyt wiele. Pojawiał się raz lub dwa do roku, zadowalał informacjami z drugiej ręki i zniknął. Wyglądało, jakby cały ich poufny kontakt trwał wyłącznie dla paddierzenia razgawora.

Dopiero w 1962 roku zrobiło się ciekawiej.

W tym samym roku Karol Wojtyła został krajowym duszpaste-rzem środowisk twórczych i inteligencji. Jednocześnie coraz mocniej zaznaczał swój udział w obradach II Soboru Watykańskiego.

Dla Markiewicza ta data, pbok awansu na dyrektora, oznaczała przejście do zupełnie innego kręgu wtajemniczenia. Po jednym z polowań, w bieszczadzkiej leśniczówce, „Mietek” poinformował go o dyrektorskiej nominacji, a jednocześnie odkrył przed nim niektóre ze

swoich zamiarów. Chodziło o to, żeby nominalne obowiązki Konrada stanowiły wyłącznie przykrywkę do znacznie poważniejszej działalności. Kierownictwo resortu planowało utworzyć tajną, nieformalną komórkę, która w jakimś sensie zastąpi dawny Departament X.

- Żyjemy w trudnych czasach - twierdził wiceminister. - Zwiększa się presja ośrodków imperialistycznej dywersji. Nowe siły wstąpiły w rewizjonistów, a najlepsi nawet towarzysze bywają wystawiani na różnego rodzaju pokusy - Moczar nie stawiał kropki nad i, ale podtekst zdawał się w pełni jasny: „Od 1956 roku nie wolno nam inwigilować najwyższego kierownictwa, a także pozyskiwać tajnych współpracowników wśród członków partii, ale przecież trzeba to, kurwa, robić!”.

Do dziś nie udało mu się ustalić, kto inspirował te działania. Czy roboty tej podjął się na własną rękę sam generał, pracy do władzy razem ze swymi „partyzantami”, czy też działał na polecenie kierownictwa KPZR? Ale przecież w Moskwie nie przepadano za Moczarem - podejrzewano go o nacjonalistyczne ciągoty. Ktoś taki jak on w sprzyjających warunkach mógłby stać się polskim Ceaușescu, który - mimo że pozostawał partyjnym dogmatykiem - przedkładał interesy Rumunii nad internacjonalistyczne powinności wobec Sojuza.

Zresztą, poza wzorowaniem się na Ceaușescu istniała jeszcze gorsza alternatywa, którą wybrał ten zdrajca Enver Hodża, przywódca Albanii - przeszedł na stronę przewodniczącego Mao Tse-tunga i stał się piątą kolumną komunistycznych Chin w Europie.

Może więc prawda była bardziej złożona - KGB, znając zamysły Moczara, za jego pośrednictwem budowało strukturę, którą mogło wykorzystywać na różne sposoby? Tego, że między generałem a Moskwą istniało jakieś porozumienie, dowodził awans Markiewicza. Dziesiątki kumpli z „partyzantki” wprost przebiebrały

nogami, żeby dorwać się do podobnej funkcji, a wybrano jego - pozbawionego wpływów esbeka z prowincji...

Parę dni po rozmowie z „Mietkiem” odezwał się Grisza - i co tu krzyć: do nowych zadań znakomicie przygotowany.

Markiewicz dostał właśnie ładne mieszkanie w bloku zamieszkałym przez wyższą kadrę wojskowo-ubecką przy alei Niepodległości. Jak się okazało, Ostapowicz też miał tam kawalerkę. Oficjalnie uchodził za radzieckiego dziennikarza akredytowanego w Warszawie, korespondenta jakiejś „Sowieckiej Żenszczyzny” czy „Techniki Młodioży”. Jako sąsiad zawsze mógł, niekontrolowany przez nikogo, wpaść do Markiewicza albo zaprosić go do siebie. Z tym że rozmowy na „tajne tematy” prowadzili wyłącznie u niego. Pokoik z wychodzącym na podwórko oknem, w którym nieustannie grało włączone na pełny regulator radio, był podobno absolutnie bezpieczny.

- Muszę dostać kopie wszystkich twoich raportów - zakomenderował bez ogródek.

- Rozumiem, że tych ważniejszych?

- Co jest ważniejsze, sami ocenimy! Jak powiedziałem wszystkim, to wszystkich - z przyjaznego brata łąty wylaź naraz funkcjonariusz imperium. - A tak przy okazji, założyliśmy ci konto w Szwajcarii. Z bardzo przyzwoitym saldem początkowym.

Konrad ostro wziął się do roboty. W pierwszej chwili zadanie wydawało się niemożliwe do wykonania. Należało przecież w kompletnej tajemnicy zbudować dodatkową siatkę, a to z kolei rodziło potrzebę etatów oraz znacznych środków finansowych. Środki pozyskał bez większych trudności. W resorcie istniał pokaźny fundusz rezerwy na operacje specjalne. Wynagrodzenia dla informatyków nie stanowiły więc problemu. Ale kadry?

Konrad wpadł na doskonały pomysł podwójnego werbunku

- dotychczasowi współpracownicy otrzymali dodatkowe zadania,

których nie wolno było zdradzać oficerom prowadzącym. Mówiono im, że są to działania podejmowane przez Departament Kontroli Wewnętrznej. W ten sposób wszystko funkcjonowało całkiem nieźle i poza paroma drobnymi incydentami nigdy nie wyszło na jaw. W orbicie zainteresowania Markiewicza znaleźli się szarzy ludzie z zaplecza kierownictwa, ci, których przeważnie się nie zauważa: kierowcy, sekretarki, sprzątaczk... Chociaż nie stanowiło to reguły. Mimochodem zwerbowano żonę pewnego członka Biura Politycznego, przyłapaną na romansie z oficerem BOR-u, który też należał do siatki. Trafili do niej również małolat uwikłany w zbrodnię, do której doszło podczas ostrej prywatki, i inny „złoty młodzieniec”, ukrywający swoją homoseksualną orientację. Nikt z nich nie podpisywał zobowiązań, nie kwitował odbioru pieniędzy. Sprawnie donosili na całe otoczenie, a także na siebie. Całą tą liczącą kilkadziesiąt osób grupą zajmowało się trzech oficerów, formalnie przyporządkowanych do innych zadań, składających meldunki wyłącznie Konradowi. Ten dzielił się później wiedzą, przechowywaną w specjalnym sejfie, jedynie z „Mietkiem” Moczarem. No i z Griszą Ostapowiczem. Czy wiedział o tym minister Wicha? Markiewicz nie miał pojęcia. Zresztą, w 1964 roku Wicha odszedł z ministerstwa, a Moczar przejął całą władzę i komórka Konrada mogła działać jeszcze skuteczniej.

Zakonspirował ją tak doskonale, że nawet kiedy Moczar otrzymał kopniaka i opuścił resort, pozostał jej niejawnym zwierzchnikiem - albo piastując stanowisko sekretarza KC, albo prezesa Najwyższej Izby Kontroli.

*

W kolejnych latach podobieństwo obu biografii utraciło dotychczasową przejrzystość i Markiewicz, wertując dzieło Ułfanowicza,

doszedł do wniosku, że można mówić o pewnym opóźnieniu na jego niekorzyść.

Na przykład w 1963 roku w życiu Konrada nie zdarzyło się nic szczególnego, tymczasem Wojtyła zyskał godność arcybiskupa. Dopiero w następnym roku, wraz z objęciem przez Mieczysława Moczara szefostwa MSW, mianowano Markiewicza wiceministrem resortu.

Z kolei w 1967 roku Wojtyła wszedł w skład kolegium kardynalskiego, a Konrad musiał czekać ponad rok i dobrze się zasłużyć przy antysemitkich czystkach, aby znaleźć się jesienią 1968 roku w składzie Komitetu Centralnego PZPR jako zastępca członka.

Jego możliwości awansu, co zauważył z odrobiną goryczy, jawiły się w porównaniu z „bliźniakiem” jako znacznie ograniczone. Mógł, przy jakichś szczególnie szczęśliwym splocie zdarzeń, dojść do stanowiska I sekretarza partii lub przewodniczącego Rady Państwa i, kto wie, może by się tak stało, gdyby Wojtyła pisana była godność prymasa Polski. Gdy jednak Wojtyłę wybrano papieżem, Konrad nie mógł liczyć na nic porównywalnego. Szansę na objęcie po Breżniewie funkcji genseka KPZR miał co najwyżej kolega z branży Jurij Andropow.

Nawiasem mówiąc, ewentualności, że Polak kiedykolwiek zasiądzie na papieskim tronie, nie brał pod uwagę nikt z watykanistów. Stanowisko od czterystu lat pozostawało zastrzeżone dla Włochów i przypuszczenie, że miałby je zająć ktoś z PRL-u, brzmiało niczym fantastyka.

Ciekawe, że taką możliwość dopuszczał Grisza. Kiedy latem 1978 roku umarł Paweł VI, zapytał Konrada, czy ktokolwiek w Polsce uznaje za prawdopodobny wybór Polaka.

- Wyszyński jest za stary! - odparł Markiewicz.
- Nie myślę o prymasie, tylko tym drugim, Wojtyle.
- O Wojtyle? Moim zdaniem nie ma żadnych szans.

- Może i żadnych. Ale na waszym miejscu nie dawałbym mu paszportu i nie wypuścił na konklawe.

Spotkali się po wyborze Jana Pawła I i Konrad zaczął się śmiać z głupiej miny Rosjanina.

- Macie kiepskich informatorów, Grisza, ten Albino Luciani nie skończył jeszcze siedemdziesiątki i podejrzewam, że długo pożyje. Kolejne konklawe może się odbyć już w następnym stuleciu.

Odbyło się po miesiącu. I trwało dość krótko. Kiedy owego październikowego wieczora do domu wpadła rozpromieniona Krystyna, a w kościele Świętego Stanisława Kostki rozległy się dzwony, pojął, że stało się coś nieprawdopodobnego.

Włączył telewizor.

„Habemus papam!” - obwieścił jakiś hierarcha i nowy papież pojawił się na balkonie bazyliki watykańskiej.

Rzeczywiście, trzeba było nie dawać mu paszportu. A jeszcze wcześniej - nie pozwolić, aby został arcybiskupem!

Istnieje wiele opinii na temat splotu zdarzeń, które 30 grudnia 1963 roku pozwoliły Karolowi Wojtyłe wejść na arcybiskupi tron w Krakowie. Teraz już tylko krok dzielił go od otrzymania nominacji kardynalskiej (29 maja 1967 roku) i wejścia w skład ekskluzywnego grona, obdarzonego prawem wyboru Ojca Świętego. Jedni utrzymują, że decyzję, aby zatwierdzić kandydaturę młodego biskupa pomocniczego podjął premier Cyrankiewicz, inni mówią o rozstrzygającym głosie Zenona Kliszki, głównego realizatora polityki Gomułki. Wiadomo, że kolejni kandydaci na następcę zmarłego arcybiskupa Baziaka byli przez władzę utracani. Najpierw nie znalazł urzędowej akceptacji nikt z sześciuosobowej listy, na której Wojtyła nie umieszczono, potem przepadła trójka z nim, biskupem Jerzym Stroba i księdzem Tadeuszem Fedorowiczem. Zanosilo się na przewlekly pat, kiedy partia znienacka zmienila zdanie.

Podobno, żeby zrobić na złość kardynałowi Wyszyńskiemu. Liczono, że uda się przeciwstawić młodego purpurata, aktywnego podczas reformatorskiego II Soboru Watykańskiego, konserwatywnemu prymasowi. Sądzono, że okaże się bardziej ugodowy wobec reżimu niż więzień ze Stoczką i Komańczy... Trudno o większą pomyłkę.

Generalnie się uśmiechnął. W tej jednej kwestii wiedział znacznie więcej niż ten degenerat Ułanowicz. Po wyborze duchownego, w terminologii SB nazywanego figurantem „Pedagogiem”, na papieża zwołano tajną naradę w resorcie, podczas której należało rozważyć warianty dalszego rozwoju sytuacji, przeanalizować popełnione błędy oraz wyciągnąć konsekwencje wobec ewentualnych winnych. Winnego znalazł: TW „Taternik”, ksiądz z Nowej Huty, od lat wytrwale donoszący na Wojtyłę... Zapewne za zgodą samego biskupa. To właśnie jego informacje i ekspertyzy pozwalały resortowi tworzyć nieprawdziwy obraz stosunków w episkopacie. Uwierzono w konflikty z Wyszyńskim, spory między biskupami na temat strategii wobec władzy, wreszcie bardziej przychylną socjalizmowi postawę samego „Pedagoga”.

- Przez lata łykaliśmy doskonale preparowane bajeczki i wierzyliśmy w nie, bo brzmiały prawdopodobnie i ponętnie! - grzmiał na naradzie aktywu resortu sekretarz KC. - Nigdy więcej nie można popełnić takiego błędu!

„Nigdy więcej? - pomyślał z rozbawieniem Konrad. - To pewne, że z sytuacją, w której Polaka wybiorą na papieża, prędko się nie spotkamy”.

*

Towarzyszy radzieckich też zaniepokoił wybór nowego zwierzchnika Kościoła Katolickiego. Grisza Ostapowicz odezwał się już

następnego dnia, a potem zażądał szczegółowej informacji na temat zachowania się członków polskiego kierownictwa na wiadomość z Watykanu. To, że Stefan Olszowski wylał sobie kawę na spodnie, było tajemnicą poliszynela. Jak jednak zachowywali się inni - prywatnie, wobec rodziny i personelu? Już wcześniej miodawcy Griszy wykazywali duże zainteresowanie praktykami religijnymi osób najbliższych członkom kierownictwa: chuczeniem dzieci, ślubami kościelnymi. Zapewne chodziło o haki do ewentualnego szantażu, ale także o możliwie wczesne wykrycie jakiegoś nadwątlonego ognia. Markiewicz, w odróżnieniu od Ostapowicza, bagatelizował wybór Wojtyły na Stolicę Piotrową.

- Obecna euforia szybko przeminie. Nawet lepiej, że tak zdolny biskup znajdzie się daleko od Polski, będzie uwikłany w procedury Kurii Rzymskiej, ograniczony tamtejszą etykietą i światowymi uwarunkowaniami - mówił. - O wiele większy kłopot mielibyśmy, gdyby po śmierci Wyszyńskiego, a stan zdrowia kardynała jest coraz gorszy, Wojtyła został prymasem Polski. Ze swoimi kontaktami z intelektualistami i brakiem uprzedzeń do KOR-u i ROPCiO mógłby okazać się naprawdę groźny.

- Myślisz, że stałby się polskim Mindszentym? - podchwycił Grisza. - Wątpię! Nie sądzę też, że w Polsce poprowadziłby osobiście lud do zdobywania partyjnych komitetów. Moim zdaniem, jego ambicje są dużo większe niż zrobić z Polski drugi Budapeszt 56 czy Pragę 68.

- Co masz na myśli?

- Wiesz doskonale. On chce nas zniszczyć! I obawiam się, że jeśli mu się nie przeszkodzi, spróbuje tego dokonać.

Czy Ostapowicz w przypiływie szczerości zdradził to, o czym myślał Breżniew i Andropow? Czy też wyraził tylko własne poglądy? Pies z nimi tańcował! Jeśli naprawdę tak sądzili, zamach 13 maja

jawił się jako w pełni uzasadniony. A że przy okazji omal i jego nie wystali na tamten świat...

Dochodząc do końca książki Ułanowicza, Konrad pozbył się wątpliwości o powiązaniu losów własnych i papieża. Oczywiście nie umiał tego wytłumaczyć ani zracjonalizować. Ale coś było na rzeczy. Przypomniał mu się motyw z jakiegoś filmu, w którym dwaj zbiegli przestępcy - biały rasista i Murzyn - uciekali skuci jednym łańcuchem. Czyżby przekorne fatum zgotowało mu podobną rozrywkę?

Najgorsze, że nie miał nikogo, z kim mógłby skonsultować ten problem! Będąc z natury ostrożnym, a lata pracy jeszcze pogłębiły tę cechę, znał jedynie dwie osoby, którym ufał, a i to nie absolutnie: Wiesławę Gellman i Jarka.

Gellmanównę poznał w 1957, może 1958 roku. Już wtedy jako doświadczona funkcjonariuszka - pracowała na dwóch etatach: jawnym w Polskim Radiu i tajnym w służbach; panna, ale raczej nie dziewica, o dość rozrywkowym podejściu do życia. Wkrótce zaczęli ze sobą sypiać, jednak robili to tylko od czasu do czasu. Można powiedzieć, że nie stało się to ich nałogiem ani nie doprowadziło do niczego poważniejszego. Przynajmniej w jego odczuciu...

Wiesława, jak każda zadurzona kobieta, darzyła go miłością nie tyle bezgraniczną, ile głupią. Stawiała się na każde wezwanie, zawsze gotowa do seksu i - co ważniejsze - знаła swoje miejsce w szyku. Nie próbowała Konrada rozwozić, buntować przeciw żonie, z którą z biegiem lat, kiedy burza namiętności ucihła, relacje stawały się coraz chłodniejsze. Czasami tylko wzdychała: „Ze mną to miałbyś raj, a nie życie!”.

Markiewicz w swojej działalności zamierzał jednak wykorzystać inne cechy panny Gellman.

Zauważył, że mnóstwo ludzi, jeśli wręcz nie lekceważył Wiesi, to z pewnością jej nie docenia. Faktycznie, przy pierwszym oglądzie

robiła wrażenie egzaltowanej i gadatliwej dupencji o apetycznych kształtach. Tymczasem pod tą powłoką krył się precyzyjny umysł i nerwy jak postronki. Jeśli tylko chciała, mogła uchodzić za naiwną, łatwowierną i emocjonalną. Potrafiła doskonale słuchać i w dodatku miała rewelacyjną pamięć. Mimo to - choćby ze względu na łączący ich romans - Konrad długo nie wciągał jej do swojej tajnej komórki. Aż do 1967 roku. Wtedy właśnie pojawiły się dodatkowe komplikacje, związane z jej pochodzeniem. Mame czas[^]dla Żydów zaczęły się w resorcie już wcześniej. Moczar, mówiąc delikatnie, nigdy za nimi nie przepadał, ale po wojnie sześciodniowej, w której Izrael złożył skórę arabskim sojusznikom Związku Radzieckiego, ruch antysemicki przerodził się w czystki.

Wiesia, chociaż wszem i wobec mówiła o swym niemieckim pochodzeniu, znalazła się na liście osób do szczyśczenia, i nawet Markiewiczowi niełatwo przyszło ją uratować. Z nieocenioną pomocą pospieszył Grisza. Dostarczył dokumenty z Łotwy, które nie wzbudzały żadnych podejrzeń - poświadczały, że ojciec Wiesławy to autentyczny kurlandzki baron, rozwalony przez bolszewików w 1940 roku. Problem zniknął, a Gellmanówna nawet awansowała, zachowując w sercu dożgonną wdzięczność wobec Konrada. Weszła też na zwolnione miejsce do jego komórki. W międzyczasie z radia przeniosła się do redakcji ilustrowanego pisma. Na swoim trzecim etacie wydawała na zamówienie Markiewicza gazetkę, w jednym egzemplarzu, w której streszczała najsmakowitsze plotki z wyższych sfer.

Jarek to był zupełnie inny przypadek.

W 1969 roku odwiedziła Konrada kobieta, której w pierwszej chwili nie rozpoznał. Kobieta widmo. Umierała na raka i oddział onkologii ostatecznie umył ręce w jej sprawie, wypisując ją do domu.

- Zostały mi dni, może tygodnie - zaczęła. - Musiałam cię zobaczyć przed śmiercią.

Tylko głos się jej nie zmienił. Pozostał fascynującym, podszytym lekką chrypką alterm Bożenki Dudy z Gorzowa Wielkopolskiego.

- Nie odzywałaś się przez tyle lat - rzekł.

- Za duże komplikacje, ja zameżna, ty żonaty... Zresztą, ty też mnie nie szukałeś.

- Uznałem, że nie pragniesz kontynuowania znajomości. Chociaż gdy przeczytałem parę lat temu, że Zenon zmarł, rozważyłem, czy nie powinienem do ciebie napisać...

- I tak byłoby dla nas za późno. Nie o nas jednak chodzi. Mamy syna.

- Mamy?

- Kiedy cię aresztowano, byłam w ciąży. Zenon niczego się nie domyślił. Przynajmniej na początku... A teraz i tak nie żyje.

- Ale skąd pewność, że to mój syn?

- Sam popatrz! - wygrzebała z portfela plik zdjęć, które równie dobrze mogły być fotografiami samego Konrada.

- To ile on ma...?

- Łatwo policzyć: dwadzieścia dwa lata. Studiuje na politechnice w Gliwicach - dodała z dumą w głosie.

- Wie o mnie?

- Nie... Ale obawiam się, że coś po tobie odziedziczył. Marzy o pracy w milicji. I... - na moment się zawahała - nie ma nikogo poza mną... Chciałabym, abys zajął się nim, kiedy odejdę.

- Oczywiście - na moment odwrócił głowę, żeby nie zobaczyła łzy, która zakręciła mu się w oku.

Z tym marzeniem o karierze w szeregach Milicji Obywatelskiej trochę przesadziła. Jarek, czy - jak mówiła matka - „Jarus”, który uchodził za rodzzonego syna aparaczyka średniego szczebla, uważanego nawet przez niego za nieudacznika, miał spore ambicje. Chciał sukcesu, władzy, pieniędzy. W PRL-u istniał na to jeden

sposób i Konrad uświadomił to Jarosławowi na pierwszym spotkaniu. I zarazem ostatnim, na którym towarzyszyła im Bożena.

- Mogę ci pomóc, synu - zadeklarował po krótkiej rozmowie, zdając sobie sprawę, że młodzieniec jest niezwykle bystry i pozbawiony skrupułów. - Sądzę, że przy odrobinie szczęścia da się zrealizować większość twoich zamierzeń. Istnieje jednak warunek.

- Muszę być posłuszny?

- To oczywiście. Chodzi jednak o coś istotniejszego. Nikt nie może wiedzieć o łączących nas więziach, przynajmniej póki ja żyję, a ty samodzielnie nie staniesz na nogach. *

- Dlaczego?

- Łatwiej mi będzie ci pomagać.

- I nie będziecie się widywali? - zaniepokoiła się Bożena.

- Na początek ustalimy pewien dyskretny system łączności, później zadbam, żeby nasze kontakty stały się naturalne ze względu na relacje służbowe. Ale to wszystko. Żyjemy w zawistnym społeczeństwie

- dodał wyjaśniającym tonem. - A tak... Zresztą, sam zobaczysz.

Jak obiecał, tak zrobił. Bożena zmarła trzy miesiące później. Markiewicz nie wziął udziału w jej pogrzebie. Całą następną noc spędził jednak na picu wódki ze swym odnalezionym potomkiem. Choć wychowany w nieświadomości, na innym krańcu Polski, zdawał się taki podobny do ojca. Obaj dotrzyмали umowy. O drugim synu Konrada nie dowiedział się nawet Grisza.

VII

Niezagłębione są ścieżki Opatrzności. Każdy, kto znajdował się w tłumie zgromadzonym tamtego czerwcowego popołudnia na placu Zwycięstwa, musiał doznać tego szczególnego muśnięcia skrzydłem historii.

„Niech zstąpi Duch Twój! Niech zstąpi Duch Twój! I odnowi oblicze ziemi. Tej Ziemi!” - wołał Jan Paweł II.

I Duch zstąpił. Ludzie podzieleni przez trzydzieści lat PRL-u - zatomizowani i rozbici - policzyli się i poczuli ducha wspólnoty, a zarazem ogrom swej siły.

Właśnie wtedy z ducha porozumienia, z papieskiego impulsu narodziła się ogólnonarodowa solidarność. To, co rok później zaczęło się w Stoczni Gdańskiej, było jedynie dopełnieniem dzieła.

- Kretyn! - Konrad odepchnął od siebie teczkę z maszynopisem hrabiego Olgierda. - Sam nie wierzy w to, co napisał. Przecież w ostatecznym rozrachunku ten „buntownik w bieli” przegrał!

Owszem, udało mu się wywołać społeczny ferment, jawny bunt przeciwko władzy ludowej, który na szczęście został stłumiony. Spacyfikowany tak dokładnie, że nie odrodzi się i za sto lat. Duch Święty, jeśli rzeczywiście pofatygował się na wezwanie Karola Wojtyły, okazał się za słaby, aby rozsadzić Polskę Ludową, doprowadzić do narodowej tragedii, bratobójczej wojny, a może nawet do konieczności skorzystania z bratniej pomocy. Cóż bowiem dziś, na początku 1982 roku, pozostało po tej wielkiej Solidarności? Oglupione społeczeństwo, rozchwiana gospodarka, amerykańskie sankcje... Do tego przepelnione więzienia i mnóstwo zawiedzionych nadziei.

Inna sprawa, że także on sam czuł się ofiarą tych zdarzeń.

Jeszcze niedawno, dochodząc do sześćdziesiątki, uważał się za człowieka szczęśliwego. Cieszył się domem w eleganckiej dzielnicy, pęczniącym kontem w Szwajcarii, z którego za jakiś czas, już na emeryturze, zamierzał zacząć korzystać. W 1978 roku otrzymał upragnione szlify generalskie. I bęc! Wszystko poszło z dymem. Białym dymem.

Prawdę mówiąc, w pierwszej chwili ucieszył się z wyboru Jana Pawła II. Potraktował wywyższenie Wojtyły jak sukces sportowy czy artystyczny. Nasz zawodnik, mimo że z nie lubianego klubu Czarni Episkopat, zdobył najwyższe trofeum. Świadomość możliwych kłopotów przyszła potem. Choć nie przypuszczał, że będą aż tak wielkie.

Tymczasem już pierwsza pielgrzymka papieża do ojczyzny wydawała mu się koszmarnym snem. Te miliony przemierzających się ludzi, odpornych na prowokacje, ta straż papieska, która wyroiła się znikąd, a działała lepiej niż ORMO. Nowe twarze, nowe autorytety, przy których Edward Gierek czy Henryk Jabłoński wypadali blado - niczym ajenci lokalu, z musu tolerowani przez klientów.

Oczywiście, oglądał transmisję z placu Zwycięstwa. Mieli w KC podgląd totalny, a nie tylko cenzurowaną wersję telewizyjną, w której, zgodnie ze wskazówkami Macieja Szczepańskiego, kamerzystom polecono nie pokazywać tłumów, tylko koncentrować się na bliskich planach papieża (tego nie dało się uniknąć), rozmodlonych starszuchach i rozegzaltowanych zakonnicach. Ale co było robić, kiedy na ogromnym placu zrywały się gigantyczne oklaski, gdy blisko milion ludzi wbrew zaleceniom prymasa śpiewało „Ojczyznę wolną racz nam wrócić Panie” lub darło się „My chcemy Boga w książce, w szkole”...?

Patrzył kątem oka na Moczara, na którego kwadratowej facjacie nie malowały się żadne emocje, ale co myślał naprawdę... Na odprawie w NIK-u powiedział:

- Papież przyjechał i wyjedzie. My zostaniemy.

„My tak, ale ci wszyscy ludzie? O twarzach nie wiadomo dlaczego tak pięknych, tak promiennych... Przecież nie mogli wyjechać - myślał Konrad. - Otwarte pozostaną też pytania: czy będą chodzić w kieracie jak dotąd? Czy zapomną o tych chwilach wolności i nie zatęsknią do nich?”.

Najlepsza próba odbyła się w domu. Marcin, student pierwszego roku prawa, nigdy nie zdradzał się z religijnymi ciągami. Szczęście zapewniały mu dziewczyny, dobre płyty z zachodnią muzyką, filmy... Pewnego dnia, dokonując rutynowego przeszukania (zawsze sprawdzał, czy syn przypadkiem nie zaczął palić), natrafił jednak na kieszonkowe wydanie Nowego Testamentu, które nosiło ślady częstego przeglądania, i parę powielaczowych broszurek KOR-u. Wówczas zlekceważył znalezisko, składając to na karb młodzieńczej ciekawości świata.

Jednak ciekawość ma swoje granice. A zerwanie się o świcie, aby pójść na mszę w kościele Świętej Anny, je przekraczało, podobnie jak rok później wycieczka do Rzymu. Pojawił się też fatalny skutek - Majka, od pewnego czasu nieomal domownik, przeniosła swe zainteresowania z syna na ojca...

Krystyna również nie zachowywała się lepiej - na co dzień nie przesadzała z dewocją, a teraz ten wyjazd do Częstochowy, potem na krakowskie Błonia...

Nigdy nie robił jej awantur. Ale tym razem nie wytrzymał.

- Po co taka manifestacja? Możesz przecież modlić się w domu. Chcesz mi zrujnować karierę?!

- Taki jesteś słaby? - zadrwiła. - Mawiałeś, że nikt ci nie podskoczy. A zresztą, zawsze możesz przejść na emeryturę.

Do niedawna trwał w przekonaniu, że domowe spory światopoglądowe to przeszłość, a lata żmudnej indoktrynacji zrobiły swoje. Od śmierci Sonii Krystyna przestała chodzić co niedziela do kościoła i polubiła towarzystwo, do którego ją wprowadził. Wyższe sfery PRL-u: ministrowie, posłowie, artyści... Kasta uprzywilejowana, korzystająca ze specjalnych sklepów, z wczasów w ośrodkach Urzędu Rady Ministrów, bez kłopotów wyjeżdżająca za granicę (i to z możliwością zakupu dolarów po oficjalnym kursie).

Czy w imię irracjonalnej religijnej hysterii gotowa byłaby zrezygnować ze wszystkiego, czego się dorobili? Z willi, którą dostali przed trzema laty po jakimś aferzyście gospodarczym, chciałyby przeprowadzić się do jakiegoś obskurnego bloku, stać w kolejkach i jeździć maluchem? Przez ten wybór, przez tę pielgrzymkę całe ich dotychczasowe życie miałyby trafić szlag?

Poniekąd trafił. Jego udar nastąpił z przepracowania, które wynikało z bezsennych nocy poświęconych działaniom przeciwko Solidarności. Rodzina się rozpadła, żona odeszła, syn wyemigrował, a on wylądował na bocznym torze. Wspaniały bilans. Dobrze chociaż, że Jarosław robił karierę. Skończył studia z wyróżnieniem, a dzięki dyskretnej pomocy ojca trafił do centrali, znajdując posadę w Departamencie IV.

*

Kiedy obserwuję modlącego się papieża, podejrzewam, że wie więcej ode mnie, od nas wszystkich - ludzi małej wiary. Osiąga poziom wyższego wtajemniczenia, kontaktu z sacrum. Czy zna przyszłość jak wielcy wizjonerzy - święta Teresa, święty Jan od Krzyża, siostra Łucja z Fatimy, Ojciec Pio czy ksiądz Klimuszko? Czasami, gdy widzę spokój i tę ciepłą pewność malującą się na jego twarzy, mam wrażenie, że myśłami jest już w innej epoce, w której potęga zła runie, a ci, co go lżyli, będą musieli zawołać: „Zwyciężyłeś, Galilejczyku!”.

- Niedoczekanie! - ryknął Konrad.

Pospiesznie ubrał się i pojechał do Ułanowicza. Zastał go w szlafroku popijającego poranną kawę.

- Coś ty mi dał?! - zawołał, wymachując maszynopisem.

- Kiedy to napisałeś?

- No cóż... - arystokrata wyraźnie się zmieszał. - Chciałeś poznać prawdziwą biografię papieża.

- Biografię, a nie demagogiczną hagiografię. Przeholowałeś, Olgierdzie!

- Zamierzasz mnie z tego powodu internować? - Ułanowicz nie wyglądał na przestraszonego.

- Nie. Wyrażam tylko swoje najwyższe zdumienie. Gdybym myślał tak, jak tu jest napisane, to zmieniłbym swoje życie i wstąpił do zakonu.

- Widzisz... - Olgierd nie potrafił ukryć zakłopotania. - Właściwie powinienem ci od razu powiedzieć... Ja tego nie napisałem, jedynie podredagowałem.

- A kto?

- Staszek Jończyk - wyznał z wyraźnym trudem.

Generał aż podskoczył.

- Ten, który...?

- Tak, wyskoczył z okna. Kiedy przyszlście po niego, targnął się na swoje życie. Chyba wcześniej o tym myślał, bo parę tygodni przed 13 grudnia dał mi maszynopis na przechowanie. „U ciebie - mówił - nie będą szukać”. Nie mogłem mu odmówić.

- A teraz uznałeś, że skoro autor nie żyje, możesz opublikować pracę pod swoim nazwiskiem.

- Pod pseudonimem. Chyba zauważyłeś, że maszynopis nie został podpisany. Oczywiście, gdyby mnie ktoś zapytał, tak jak ty teraz, ujawniłbym prawdziwego autora.

- Czyli siebie, Olgierdzie?

- Co najwyżej jako współautora. Jończyka nic nie wskrzesi. Nie zostawił rodziny ani spadkobierców. Poza tym napracowałem się przy tym. A wizja Jończyka? Czasami wręcz musiałem ją ograniczać. Choć, nie taję, perspektywa mszy papieskiej na placu

Czerwonym, którą wymyślił, wydała mi się nie tyle nierealna, ile niesmaczna.

- Tylko mi nie mów, że wierzysz w Boga!

- Czy wierzę? Nie wiem. On... - wskazał głową wiszący obok regału plakat z Janem Pawłem II - z pewnością wierzy. Czasami wydaje mi się, że modląc się, doznaje mistycznych przeżyć. Używając waszej terminologii: ma bezpośredni telefon, tam, na górę.

- Brednie! - sarknął Markiewicz, dusząc nagłą chęć opowiedzenia Ułanowiczowi o symetrycznym życiorysie i spytania o jego opinię. Zamiast tego zapytał tylko: - Naprawdę wierzysz, że za ileś lat tacy jak ty i ja będą wołać: „Zwyciężyłeś, Galilejczyku”?

Na zblazowanej twarzy arystokraty pojawił się trudny do określenia grymas.

- Naprawdę to nie wiem, ale wykluczyć nie mogę...

*

Tymczasem nadeszła chłodna wiosna 1982 roku, która, wbrew buńczuczным zapewnieniom solidarnościowego podziemia „zima wasza, wiosna nasza”, miała należeć do władzy i utrwalać proces normalizacji. Wraz z pojawieniem się pierwszych krokusów nareszcie przypomniano sobie o Konradzie. Powołano tajny zespół, któremu polecono opracować warianty dalszego rozwoju sytuacji. Wbrew zapewnieniom rzecznika Urbana, którego konferencje prasowe stały się niewzruszonym elementem politycznego pejzażu i najciekawszym punktem nudnego i bezbarwnego programu telewizji, nie wszystko szło tak gładko, jak mogłoby się wydawać czytelnikom „Trybuny Ludu”. Pogłębiała się zapaść gospodarcza, nie udało się operacja o kryptonimie „Renesans”, która zakładała wykorzystanie Wałęsy jako lidera Nowej Solidarności - apolitycznego związku zawodowego ludzi pracy pozbawionego antysocjalistycznej ekstremy

i wrogich partii doradców. Nie powiodły się też mało zręczne zabiegi skierowane pod adresem elit intelektualnych, które coraz bardziej zasklepiały się w bojkocie.

To, że Ułanowicz znalazł się w kręgu Komitetu Prymasowskiego, mieściło się jeszcze w logice nawróconego grzesznika, Konrad drwił jednak z wielu dawnych pieścuchów reżimu, piewców wielkiego Stalina, przez lata łykających z ręki partii i rządu nagrody i odznaczenia, którzy teraz tłoczyli się w kruchtach kościołów. Czy tylko dlatego, że przynosiło im to popularność i kasę z Zachodu? W każdym razie masowa apostazja intelektualistów i zbojkotowanie telewizji przez aktorów stanowiły problem, z którym władza nie umiała sobie poradzić.

Konrad nie wątpił, że inspiracja do biernego oporu szła z Zachodu. Bez Wojtyły, Reagana, Wolnej Europy i porozumień helsińskich organy spokojnie rozprawiłyby się z całą tą zabawą w konspirację, w państwo podziemne, żalostną karykaturę tego, co istniało podczas prawdziwej okupacji. Posiadano na to dość sił i środków. Ledwie starczało czasu na rejestrację kandydatów na tajnych współpracowników. Nie była to już jednak epoka Stalina, PRL-u zamkniętych granic, totalnej kontroli, a także gorących serc tysięcy funkcjonariuszy. Markiewicz zdawał sobie sprawę, że pokolenia, które wyrosły w Polsce Ludowej, mają w głębokim poważaniu całą ideologię sprawiedliwości społecznej, chcą jedynie wygodnie żyć, po mieszczańsku dorabiać się i bawić, podróżować...

Pamiętał, co powiedziała Krystyna, kiedy w połowie lat siedemdziesiątych wrócili z wycieczki na Zachód:

- Mamy wszystko, a praktycznie nie mamy niczego.

Niestety, była to prawda. Radzieccy towarzysze mogli atomówkami zetrzeć życie z całej ziemi, ale równocześnie nie potrafili doprowadzić do tego, by regularnie jeździły pociągi, elektrownie

nie wyłączały prąciu i codziennie rano w sklepach czekały chrupiące bułeczki. W grudniu, wracając z Kuby, zatrzymał się na jeden dzień w Paryżu. Sporo jeździł metrem, oglądając nie tyle zabytki, ile dzielnice ludzi pracy. I ta wizyta przepełniła go ogromnym smutkiem. Świat, który mieli dogonić i przegonić już przed dekadą, teraz oddalił się od nich o co najmniej dwa dziesięciolecia.

A co wydarzy się w dalszej kolejności?

Jedno nie ulegało wątpliwości: Leonid Breżniew umierał. Kto przyjdzie po nim? Jeszcze jakieś dziesięć lat temu awans na genseka kogoś takiego jak Jurij Andropow stanowiłby pewnie potężny impuls dla całego bloku wschodniego, ale teraz? Jurij Władimirowicz też się zestarzał, podobno poważnie chorował. Nikt nie zaprzeczał, że to znakomity analityk, ale... Czy znalazłby dość woli, a nade wszystko czasu, aby pchnąć Związek Radziecki na nowe tory?

A co czekało Polskę?

Konrad uważał, że decydujący o powodzeniu każdej akcji czynnik zaskoczenia został w wielkim stopniu zmarnowany. Jaruzelski i Kiszczak dokonali perfekcyjnego skoku na bank, jednak znaleźli się w środku skarbcza, nie wiedzieli, co robić dalej.

Powinni rozwiązać partię. I to nie tylko ze względu na cały balast kojarzący się z PZPR. W obecnym kształcie to ciało było bezwartościowe, zbiurokratyzowane, pełne karierowiczów, głupców i łajdaków, z którymi nic twórczego nie dawało się przeprowadzić. Także operacja „Renesans”, która miała wspierać ich politykę, została spaprana. Nie tylko przez ślepy opór Wałęsy, który, mimo izolacji od swych doradców w Arłamowie, stanął okoniem oficerom prowadzącym. Czy należało to uznać za dowód przemiany duchowej, nadzwyczajnej twardości charakteru, czy zwyczajnego sprytu przestrzegającego robotniczego trybuna przed wmanewrowaniem się w sytuację, w której reżim wy-

korzystałby go do normalizacji, a następnie wypłuł? Markiewicz uważał wprowadzie Lecha jedynie za cwane go chłopka-roztropka, ale doceniał jego rozsądek, który nie pozwolił mu popełnić politycznego samobójstwa, jakiego dokonał kolega, lider rolniczej Solidarności - Jan Kułaj.

Ale mniejsza o nich. „Renesans” nie wyszedł. I należało ratować system w inny sposób. Generał nie miał wątpliwości, że potrzebna jest nowa organizacja polityczna. Kadrowa, elitarna, a zarazem otwarta na świeże pomysły, zwłaszcza ekonomiczne. Za cenę uznania geopolitycznych realiów i zabezpieczenia sowieckich interesów powinni uzyskać od ZSRR swobodę w sprawach krajowych. Naturalnie nie wolno było zaprzestawać zwalczania oczywistych wrogów, ale gdyby tak, wykorzystując parasol stanu wojennego, zdecydować się na reformy gospodarcze? Markiewicz nie wierzył w przywrócenie wolnego rynku, ale pilnie przypatrywał się postępom ekonomicznym w krajach rządzonych po dyktatorsku: w Hiszpanii Franco, w Azji Wschodniej. Dyscyplina i kontrola polityczna z przyzwoleniem bogacenia się, zwłaszcza tym, którzy wiernie służyli władzy, przynosiła interesujące efekty. Czy Rosjanie zastanawiali się nad czymś podobnym?

Ile to już lat temu Griszy Ostapowiczowi wyrwało się wyznanie:

- Stanowicie dla nas poligon.

A przecież Griszy nigdy nic nie wyrwało się nieświadomie.

Kierowanie zespołem posiadało tę dobrą stronę, że prawie zapominał o paralelach z życiorysem Janem Pawłem II. Poświęcił się nowemu zadaniu bez reszty, choć bez wielkiej nadziei, że kierownictwo wyciągnie z jego raportu odpowiednie wnioski. Od 13 grudnia trwała permanentna czystka, polegająca nie tylko na tym, że tysiącami odchodzili ludzie dla partii potencjalnie najcenniejsi i przy innej, sprytniejszej, polityce do odzyskania. Parawan stanu wojennego

sprawił, że do koryta rwała się wszelka swołocz, która nawet w Polsce Gierka nie miałyby szansy na zrobienie kariery.

W dodatku proces normalizacji został zakłócony falami masowych demonstracji z okazji 1 i 3 Maja, na tyle dużych, by rozwścieczyć władzę, a zarazem na tyle słabych, by nie brać ich pod uwagę.

Markiewicz miał pewność - kolejne demonstracje z okazji patriotycznych rocznic będą coraz słabsze. Dziesięciomilionowemu związkowi przetrącono kręgosłup i pewnie nie zdoła powrócić do dawnej świetności.

Konrad wiedział, że w każdej generacji kryje się pewien potencjał buntu, czego dowodzi cykliczność polskich zrywów w dwóch ostatnich stuleciach. Jednak po wypaleniu trzeba czekać co najmniej dekadę, aż pojawi się kolejne pokolenie, które nie doświadczyło goryczy klęski. To przeświadczenie wcale nie oznaczało, że wróży juncie Jaruzelskiego długie i pomyślne panowanie. Nie w tym kraju, nie z takimi kadrami.

Na razie jednak to na samego Markiewicza spadły kłopoty. Na jednej z solidarnościowych demonstracji na Zachodzie sfotografowano jego żonę i syna. W pierwszym szeregu. Poci transparentem nakreślonym „solidarycą”. Zaraz zadzwonił do niego jakiś nadgorliwy piesek Urbana z propozycją, by się oficjalnie odciął od ekscesów członków własnej rodziny. Konrad wysłał go do diabła, chociaż wiedział, że jest to piłowanie gałęzi, na której siedzi.

Dwunastego maja, ukończywszy nad ranem ostateczną wersję raportu, spał do późna. Obudził się, ciągle zmęczony, i postanowił zaczerpnąć świeżego powietrza. Podjechał samochodem na skraj Lasu Bielańskiego, a następnie ruszył zieloną alejką.

Daleko nie zaszedł. Dobiegł go krzyk i zobaczył, jak trzech podpitych wyrostków goni młodą kobietę.

Dotarł do nich w momencie, gdy ją dopadli.

- Puśćcie, chłopcy, tę panią! - powiedział stanowczo.

W pierwszej chwili zgłupieli, ale zaraz jeden z nich, najwyraźniej prowodyr, warknął groźnie:

- Nie mieszaj się, dziadu!

Chwilę potem drugi, rudy i piegowaty, pozostawiając dziewczynę w łapach kolegów, ruszył w kierunku Konrada z wyraźnym zamiarem oduczenia go wtrącania się w nieswoje sprawy. Dopiero teraz Markiewicz zdał sobie sprawę, że kurtkę i spluwę zostawił w aucie. Jednak specjalnie mu to nie przeszkadzało. Chociaż starszy od szczeniaka o czterdzieści lat, nie dał mu szans i po chwili tamten skręcał się na ziemi z wywichniętą grabą.

Pozostali natychmiast puścili napastowaną i skoczyli ku niemu. Z dwóch stron. W ostatniej sekundzie zobaczył błysk sprężynowca. Błyskawicznie odchylił się do tyłu, ale ostrze zdażyło przeciąć koszulę i draśnąć go w pierś. Pomimo młodego wieku okazali się za wolni. Kopniakiem z półobrotu wybił nóż z ręki herszta, potem uderzył jego kolegę. Minutę później walka się skończyła. Jeden obwieś miał złamaną rękę, drugi - pęknięty nos. A wszyscy trzej wiali, gdzie pieprz rośnie.

Konrad złożył sprężynowiec i wsunął go do kieszeni.

- Nic się pani nie stało? - zapytał kobietę.

Patrzyła na niego z rozszerzonymi oczami, jakby nie dowierzała temu, co widzi.

- Proszę się nie obawiać, nic już pani nie grozi.

Wtedy przemówiła:

- Pan krwawi.

Dopiero teraz zauważył rozcięcie koszuli i sączącą się krew.

- Drobnie draśnięcie.

- Trzeba zrobić opatrunek.

- Mam wszystko w samochodowej apteczce.

- Pomogę panu.

Poszła razem z nim i umiejętnie przykleiła plaster. Rozcięcie okazało się niezbyt głębokie.

Przyjrzał się jej dokładnie. Nie była ładna, choć nie mógł niczego zarzucić ani regularnym rysom, ani figurze. Ot, normalna dwudziestolatka, na którą nie zwraca się uwagi od razu.

Nazywała się Łucja.

- Skąd się pani tu wzięła? - zapytał.

Odpowiedziała, że wybrała się z koleżanką do czytelni ATK. W pewnym momencie zrobiło się jej trochę duszno, poszła więc na spacer, pojawili się ci chłopcy, wpierv tylko zaczepiali, potem zaczęli grozić.

Zaproponował, że odwiezie ją do domu.

Podziękowała, odpowiadając, że musi wracać do lektorium.

- Spóźniam się z pisaniem pracy magisterskiej - wyznała.

Przy okazji dowiedział się, że dziewczyna studiuje filozofię chrześcijańską i pisze magisterium z neotomizmu.

- Może się kiedyś zobaczymy? - rzucił z przyzwyczajenia.

- Nie sądzę, żeby chciał pan zobaczyć jeszcze raz kogoś takiego jak ja - odparła i dodała zupełnie naturalnie: - Zamierzam zostać zakonnica. Ale proszę pamiętać - zawsze będę się za pana modlić.

Odwiózł ją na ulicę Dewajtis i wrócił do domu. Po krótkiej drzemce włączył telewizor.

Przez moment słuchał, nie rozumiejąc, o co chodzi.

Dopiero po chwili dotarło do niego coś, co przerastało jego wyobraźnię.

Oto jakiś szaleniec w duchownych szatach zaatakował Jana Pawła II składającego wizytę w portugalskiej Fatimie.

Okazją do tej podróży papieża była rocznica fatimskich objawień, a także zamachu na placu Świętego Piotra. Później dowiedział

się od Jarka, że zamachowcem okazał się Juan Fernandez Krohn, trzydziestodwuletni Hiszpan należący do bractwa lefebrystów. Z nożem wielkości bagnetu, wołając „Precz z papieżem!”, rzucił się na Wojtyłę. Zamach udaremnił ochroniarz Camillo Cibin i jeden z funkcjonariuszy portugalskich. Oficjalnie nic się papieżowi nie stało, ale agent wywiadu raportował o śladach krwi i zmianie przez papieża szat zaraz po mszy. Okazało się, że incydent miał miejsce dokładnie w trakcie potyczki w Lesie Bielańskim. Nie dość tego. W Fatimie papież spotkał się ze świętoblwą zakonnicą, jedyną żyjącą z trójki pastuszków, której pod dębem w 1917 roku objawiła się Matka Boska.

Lucia dos Santos... Siostra Łucja!

Czy to przypadek, że takie samo imię nosiła młoda magistrantka? Zapragnął z nią porozmawiać. Nie znał nazwiska, ale ile studentek mogło uczyć się na wydziale filozofii - przecież władza stosowała ściśle ograniczenia wobec kościelnej uczelni.

Sęk w tym, że specjalistka od neotomizmu nie figurowała na żadnej liście studentów czy absolwentów uczelni. Żadna kobieta o podobnym rysopisie nie korzystała 12 maja z czytelni, zresztą tej środy nieczynnej z powodu awarii elektryczności.

Niezwykłe zdarzenie zburzyło spokój generała. Wokół niego działo się coś, czego nie pojmował. Mógłby myśleć, że wszystko mu się przywidziało, gdyby nie majcher, który zabrał chuliganowi, i szrama na piersi, przypominająca draśnięcie pazurem jakiejś drapieżnej bestii.

I prześladowające go całymi latami zdanie wypowiedziane przez Łucję: „Będę się za pana modlić”.

- A niech to szlag!

Trzeciej bezsennej nocy zamówił do mieszkania dolarową prostytutkę. Wcześniej nie korzystał z tego rodzaju „usług dla ludności”.

Teraz przekonał się, że jest to wygodne i niedrogie. Tyle że kiedy wyszła, czuł się wcale nie lepiej, a może nawet trochę gorzej.

W dodatku jego raport nie spodobał się kierownictwu. Wnioski i propozycje szły za daleko, stojąc w jaskrawej sprzeczności z aktualną polityką. Działalność tajnej komisji zawieszono. Znow poczuł, że robi się wokół niego pusto. A on nie miał pomysłu na dalsze życie, ani na świat, który go otaczał.

CZĘŚĆ II

KILKA DNI JEDNEGO MIESIĄCA

1 czerwca 1987

Obudził go dźwięk dzwonów. Normalka, w katolickim kraju zawsze gdzieś w pobliżu znajduje się kościół albo klasztor. Wieczorem, meldując się w hoteliku, był zbyt zmęczony, aby zwrócić uwagę na sąsiedztwo. Teraz, mimo wczesnej pory wypoczęty i rześki, zerwał się z łóżka. Parę energicznych skłonów i przysiadów, potem pompki. Trzydzieści. Całkiem nieźle jak na faceta zbliżającego się do siedemdziesiątki. Podszedł do lustra i dłuższą chwilę przyglądał się z satysfakcją swemu obliczu. Ledwie kilka siwych włosów.

- Jak ty to robisz, człowieku? - mruknął do siebie i za chwilę sam sobie odpowiedział: - Sport, ruch i jak najmniej kłopotów.

Od dawna nie przejmował się pouczeniami lekarzy, którzy przestrzegali go przed możliwością kolejnego udaru.

„Ma pan pod czaszką tykającą bombę” - mówił najbardziej utytułowany profesorek.

Głupcy. Sześć lat minęło i nic. Pamięć znakomita, kondycja świetna, a seks? Przypomniał sobie przedwczorajsze igraszki z Julietką i zrobiło mu się ciepło na sercu.

Od połowy 1982 roku, kiedy podjął decyzję o wycofaniu się z pracy, postępował z właściwą sobie konsekwencją. Przyświecał mu jeden cel - żyć długo i przyjemnie.

Oczywiście, usiłowali go zatrzymać, ale niezbyt przekonywająco. Jego reformistyczny raport nie trafił na podatny grunt, a po demonstracjach z końca sierpnia, które stanowiły jedynie cień dawnej Solidarności, generałowie doszli do wniosku, że mogą sobie pozwolić na wszystko i podyktować „porozumienie” na własnych warunkach, bez liczenia się z opozycją, Kościołem czy Wałęsą.

Nie stwarzali mu przeszkód w związku z wyjazdem. Wiedzieli, że nie zaszkodzi systemowi, z którym łączyło go zbyt wiele grzeszków.

W Londynie spotkał się z żoną i Marcinem, ale nie było to miłe spotkanie. Dwa lata wystarczyły, aby rozminęli się jak dryfujące kry. Przed Marcinem otwierała się perspektywa dalszych studiów w Stanach, Krystyna, mimo swych lat, okazała się wystarczająco atrakcyjna, aby podbić serce pewnego emigranta zza Wielkiej Wody i właśnie wyjeżdżała z nim do Kanady. Zabawił zatem w Anglii ledwie kilka dni i pojechał do Szwajcarii, by odwiedzić swoje konto. Okazało się, że Grisza nie przesadzał. Zgromadziła się tam sumka pozwalająca całkiem nieźle żyć. Dodatkowo w Polsce pobierał specjalną emeryturę, poza tym wynajął żoliborski dom konsułowi Paragwaju za całkiem godziwą kwotę, mógł się więc uważać, przynajmniej w warunkach PRL-u, za człowieka bardzo bogatego.

Początkowo myślał, żeby osiedlić się gdzieś na stałe. Jednak długo nie znajdował odpowiedniego miejsca. Wszędzie czuł się obco. Owszem, na jakiś czas zatrzymał się w wynajętym domu w Hiszpanii, później mieszkał na greckiej wysepce. Ale nigdzie nie zdecydował się zostać, tym bardziej że chciał Nadrobić zmarnowane lata, podróżując. Lato spędzał w Europie Zachodniej, zimą

w Egipcie, Tunezji albo w Maroku. Polubił też Kanadę. Dzięki dobrym inwestycjom żył na odpowiednim poziomie bez naruszania zgromadzonego kapitału. Sporo wędkował, polował z kuszą, doskonalił umiejętność nurkowania (dawno temu przeszedł odpowiedni kurs) - dopiero ciepłe morza, zwłaszcza Czerwone, sprawiły, że docenił rozkosz penetrowania głębin.

Zaliczył mnóstwo kobiet. Czasem płacąc, a czasem używając jedynie swego zawodowego wdzięku. Tyle że płacąc, mógł cieszyć się siedemnastoletnią Kubanką lub gorącą reprezentantką Bałkanów, a bezpłatnie - wyschłą jak flądra Niemką lub Amerykanką w różowej peruce, co to goniły resztkami dawnej świetności. W środku klasyfikacji plasowały się młode, ciekawe świata globtroterki, którym akurat skończyły się pieniądze, albo samotne matki z dziećmi, dla których dystyngowany starszy pan wydawał się przyjemnym towarzyszem na weekend, naturalnie wtedy, gdy bachory poszły już spać.

Oczywiście, z powodu szerzącej się epidemii AIDS zachowywał większą ostrożność niż dawniej i stosował zabezpieczenia, których nie cierpiał.

W podróży miał mnóstwo czasu na myślenie. W innym wcieleniu, być może, zostałby naukowcem albo ekonomistą. Nieraz dochodził do zdumiewających konstatacji. Każdy dzień przekonywał go o ewidentnej wyższości gospodarki rynkowej nad socjalistyczną, o wiele ciekawsze wydawało się jednak spostrzeżenie, że ludzie w rozmaitych zakamarkach świata, choćby wyglądali bardzo egzotycznie, okazywali się tak do siebie podobni pod względem zachowań, uczuć, tęsknot czy odruchów.

Co znamienne, wszędzie zauważał zdumiewającą potrzebę transcendencji, wiary w życie po życiu i w jakiś wyższy porządek sterowany przez Najwyższą Istotę. A on sam?

Im bardziej się starzał i im szybciej zbliżał się moment jego pożegnania ze światem, tym częściej zastanawiał się, czy naprawdę śmierć jest końcem wszystkiego, a materialny świat - jedynym bytem rzeczywistym. Czy nie istnieje żaden ożywiający go duch, determinizm, cel, żadna idea, prawidłowość - obojętnie jak się to nazwie? Od tych rozważań daleko było do wiary w niebo i piekło, w siwego starszego Pana z brodą w otoczeniu cherubinków, ale z każdym rokiem sens sokratejskiego „wiem, że nic nie wiem” stawał się dla Konrada coraz bardziej oczywisty.

Nie przestał śledzić losów Jana Pawła II, ale zeszyły one na dalszy plan. Nie zauważał już kolejnych podobieństw w życiorysach, zwłaszcza że on znalazł się na poboczu polityki, a Karol Wojtyła, mimo ran odniesionych w zamachu, tryskał zdrowiem, przemierzał kontynenty, nauczał, gromił wyznawców teorii wyzwolenia i pomniejszych schizm, w czym pomagał mu „pancerny kardynał” Ratzinger. Jedyne podobieństwo dotyczyło osobistej samotności (tyle że w wypadku Markiewicza była to samotność z wyboru) i predylekcji do podróży. Jednak gdziekolwiek pojawił się biskup Rzymu, czekały na niego tłumy, a Konradowi jedynie kolejni znużeni pogranicznicy wbijali stempel do paszportu.

Tylko raz żywiej przejął się doniesieniami z kraju. Jesienią 1984 roku gruchnęła wiadomość o uprowadzeniu, a następnie zamordowaniu księdza Jerzego Popiełuszki. 1 nawet nie chodziło o to, że zabity pracował jako wikary w jego parafii, w dodatku najprawdopodobniej to właśnie on uratował mu życie podczas udaru. Bardzo szybko media doniosły, że mordercami są oficerowie SB. Konkretnie z Departamentu IV - Departamentu, w którym ulokował swojego syna. Nigdy w życiu nie bał się bardziej. Wrócił do Polski, spotkał się z Wiesią Gellman, która niewiele postarzała się przez te parę lat, podnawiał zawodowe kontakty, popytał tu i tam i... odetchnął.

Jarosław Duda pracował w innym pionie, zajmował się nie tyle opozycyjnymi księżmi, ile inwigilacją hierarchii, prowadząc kilku kapłanów uwikłanych w obyczajowe skandale. Co więcej, aresztowania Piotrowskiego i Pietruszki otwierały przed nim drogę do awansu.

Spotkali się w pewnej ustronnej knajpce pod Warszawą. Jarek nie krył goryczy. Uważał, że aresztowanych funkcjonariuszy wystawiono i zdradzono.

- Być może - zgodził się ojciec. - Pamiętaj jednak, że twoje sukcesy idą na konto resortu, twoje przegrane obciążają wyłącznie ciebie. - A widząc sposępniałe oblicze Dudy, dodał: - Nie martw się kolegami. Czapy nie dostaną. I, rękę ci głową, wyjdą przed czasem.

Potem mówili o przyszłości. Markiewicz sugerował, żeby Jarek nie łączył swej kariery wyłącznie z resortem.

- Lada moment będziesz miał piętnaście lat służby, a to upoważnia cię do przejścia na emeryturę z poborami w wysokości pięćdziesięciu procent dotychczasowego uposażenia, za kolejne pięć lat zyskasz pełną wysługę i sto procent wynagrodzenia... A ja mogę uruchomić rozmaite dźwignie, które umożliwią ci karierę w aparacie lub administracji.

- Sądysz, że to tak zostawię?! Czy wiesz, ilu współpracowników zatrudniłem, ile czasu poświęciłem, by ich pozyskać?

- Zajmą się nimi inni, ty byś to spożytkował z innej pozycji. Zresztą, kontakty nigdy nie zostaną całkowicie zerwane.

Spostrzegł, że Jarkowi nie podoba się ta propozycja. Najwyraźniej polubił tę robotę. Co ciekawe, nie widział w nim szczególnej niechęci do Kościoła i hierarchii, raczej przebiegłość pasjonata prowadzącego grę na wielu szachownicach.

- Starzy komuniści walczyli z klerem, często bijąc na oślep - ocenił, spoglądając na Konrada. - My wolelibyśmy go wykorzystywać,

kaptować i dzielić tak, że stałby się, jeśli nie podpora, to przynajmniej podpórką władzy.

I Konrad odpuścił. Zobaczył w chłopaku kopię siebie, replikę lepiej wykształconą, odrobinę bardziej cyniczną. I dosyć niezależną. Czuł, że Jarek słucha go przez grzeczność, ale myśli swoje. Jak oberwie trochę od życia, to zmieni zdanie? W każdym razie Markiewicz nie miał zamiaru dawać za wygraną i postanowił wrócić do tematu za jakiś czas.

Nie mogąc liczyć na syna, uważniej zajął się swoimi interesami. Bycie rentierem, wprowadzie pełne uroków, ujawniało jednak także ograniczenia. Odwiedzając w Kanadzie swoją byłą żonę, poznał jej nowego męża - niezwykle energicznego, choć niemłodego już emigranta o nordyckim imieniu Eryk, zajmującego się intratnym dostarczaniem paczek do Polski. Panowie przypadli sobie do gustu. Markiewicz doszedł do wniosku, że ze swymi kontaktami mógłby pomóc Erykowi rozwinąć skrzydła. Oczywiście za cenę wejścia do interesu. Zbliżyła ich choroba Krystyny. Dwa lata zmagala się ze złośliwym nowotworem, aby wreszcie, ku zaskoczeniu wszystkich, odnieść nad rakiem zwycięstwo. Mówiła, że wyprosiła cud, modląc się do Ojca Pio, ale Konrad reagował na takie oświadczenia wzruszeniem ramion. Zaimponowała mu za to postawa Eryka. W czasie choroby zachowywał się wspaniale. Zapewnił Krystynie wszystko, czego potrzebowała, głównie - nieustanne psychiczne wsparcie.

W gruncie rzeczy właśnie dlatego Markiewicz zdecydował się wesprzeć ich w rozkręcaniu biznesu. Za jego namową Eryk kupił lokalną gazetę, zajął się promowaniem artystów z Polski, a nawet włączył w pomoc dla miejscowej Solidarności. Wspólna firma bez trudu uzyskała koncesję na import do Polski sprzętu elektronicznego. Trwała w najlepsze złota epoka wideo i zaczynała się era telewizji satelitarnej.

Dwa lata później pieniądze, które zarobił u Ostapowicza, były ledwie częścią tego, co posiadał. Równocześnie synowie Eryka z pierwszego małżeństwa okazali się jeszcze lepsi od ojca. Jeden wrócił do Polski i na miejscu kontrolował rodzinny biznes, drugi został cenionym naukowcem na uniwersytecie w Toronto. Konrad pozostał cichym współnikiem i głównym udziałowcem, ułatwiał otwieranie zamkniętych drzwi i wymijanie raf socjalistycznych przepisów, czując, że już wkrótce zainicjowany przez Gorbaczowa proces pierestrojki stworzy w całym bloku wschodnim zupełnie nowe możliwości. W 1986 roku Eryk ożenił starszego syna i zaczął namawiać Markiewicza, żeby zerwał z samotniczym trybem życia. Zapoznał go ze smakowitą księgową, młodszą od nich obu o dobre trzydzieści lat, ale Konrad tylko uprzejmie podziękował za inicjatywę.

- Nie jestem stworzeniem osiadłym - rzekł, zamykając sprawę, choć przy jakiejś okazji zaliczył również tę milutką istotkę.

I znów ruszył w świat, poznawać jego powaby. Na początku 1987 roku uważał się za człowieka spełnionego. Miał parę domów, kilka interesów. Wiele kobiet. Dwóch synów. Nie wiedział, co to wyrzuty sumienia. Nie śnił albo po przebudzeniu nie pamiętał snów.

Dzwony rozbrzmiewały nadal.

Podszedł do okna. Za dnia, świeża po nocnym deszczu, dolina wyglądała jeszcze piękniej. Dojechał tu przypadkiem. Planował jak najszybciej dotrzeć do Bari, żeby potem powłóczyć się po malowniczych miasteczkach, takich jak Alberobello, pełnych dziwnych, okrągłych domków i starych kościołów. Przegrał ze zmęczeniem. W obawie przed zaśnięciem nad kierownicą wybrał pierwszy lepszy zjazd z autostrady, potem trochę się pogubił w źle oznakowanym terenie i kiedy już zamierzał przenocować w samochodzie na jakimś odludziu, dostrzegł osobnika idącego

skrajem drogi. We Włoszech, podobnie jak w Polsce, nikogo nie dziwi widok mężczyzn czy kobiet w habitach. Nocny spacerowicz okazał się mnichem. Rosły, brodaty, przyodziany w brązową szatę mężczyzna uprzejmie wytłumaczył, jak dotrzeć do najbliższego pensjonatu, w którym z pewnością będą wolne pokoje. Konrad zaproponował, że go podwiezie. Zakonnik tylko machnął ręką, twierdząc, że musi kontynuować spacer. Markiewicz zauważył, że jego obie dłonie są zabandażowane. „Pewnie pakował łapy, gdzie nie trzeba!”- pomyślał.

W każdym razie po przejechaniu niecałych trzech kilometrów znalazł sympatyczny pensjonacik z wolnymi pokojami- Spał jak zabity.

*

Dzwony umilkły i wtedy zwrócił uwagę na tuman kurzu. Ktoś, nie bawiąc się w zwalnianie na zakrętach, gnał wiejską drogą w kierunku hoteliku. Nie wiadomo dlaczego od razu pomyślał, że ten, kto nadjeżdża, ma interes właśnie do niego.

Nie pomylił się.

Samochód zatrzymał się przed wejściem, kierowca pozostał w środku, natomiast postać, która z wozu wysiadła, wydała się Markiewiczowi dziwnie znajoma. „Grisza?!“ - pomyślał zaskoczony.

Ostapowicz w ogóle się nie starzał. Jedyne trochę przytył. Również ruda czupryna jakby się przerzedziła.

Przywitał się z Konradem serdecznie.

- Ale masz parę, człowieku! - wykrzyknął przybyły. - Po prostu nie sposób za tobą nadażyć. Gonię cię przez Włochy już trzeci dzień...

A

- Skąd ten pośpiech? Trzeba było napisać na umówiony adres...

- I czekać miesiąc na kontakt? Ktoś chciałby z tobą pilnie porozmawiać. Potrzebujemy twojej rady.

- Mojej rady? Wiesz przecież, że wypadłem z gry.

- Ale zawsze możesz nie niej wrócić, a on... nie należy do ludzi, którym się odmawia.

- Widzę, że bardzo was przypiliło.

- Właśnie. Szef znajduje się na jednostce, która jutro zawinie do portu w Bari. Pojedziesz tam ze mną?

- A co zrobię z moim samochodem? - zirytował się nagabywany. - To ty jedź ze mną!

- W porządku - zgodził się podejrzanie łatwo.

Podszedł do kierowcy, rzucił kilka słów przez uchylone okienko i ten zaraz zawrócił.

Zjedli śniadanie. Obsługującego ich Włocha zapytali o drogę do Bari. Wskazał im cienką asfaltową wstążkę prowadzącą do pobliskiego miasteczka.

- Dalej są już drogowskazy na San Angelo, a potem na autostradę.

Miasteczko, do którego wjechali, wyglądało sennie i architektonicznie niezbyt ciekawie, jednak zwracała uwagę spora liczba sklepów z pamiątkami. Przed jednym z nich Markiewicz zatrzymał się raptownie. Obok drzwi dostrzegł statuę brodatego mnicha.

- Coś się stało? - zapytał Grisha.

- Co to za facet? - wskazał figurę.

- Ojciec Pio. Miejscowy cudotwórca - odparł Ostapowicz.

- Nie mów, że nigdy o nim nie słyszałeś.

- Słyszałem - mruknął Konrad i dodał gazu, ale po kilkuset metrach dorzucił: - A wczoraj nawet go spotkałem. Pokazał mi drogę do pensjonatu.

- Daj spokój, stary, bo pomyślę, że utrzymujesz kontakty z duchami - zaśmiał się Rosjanin. - Ten szarlatan nie żyje od prawie dwudziestu lat.

*

W Bari wsiedli bynajmniej nie na prywatny jacht, tylko na jednostkę wojenną z Floty Czarnomorskiej, składającą Włochom wizytę przyjaźni. Nie byłoby w tym nic szczególnego, gdyby nie osoba, która czekała na generała w kajucie kapitańskiej.

Konradowi od czasu rozmowy z Sierowem nie zdarzyło się rozmawiać w cztery oczy z kimś postawionym równie wysoko w sowieckiej hierarchii.

Ponad Władimirem Aleksandrowiczem Kriuczkowem znajdował się już tylko szef KGB, Wiktor Czebrikow, ale wielu twierdziło, że wychowanek Andropowa jest też już *de facto* drugą po Gorbaczowie osobą w państwie, a pod pewnymi względami - pierwszą.

Kriuczkow zachowywał się, jakby byli starymi przyjaciółmi, a przecież dotąd spotkali się jedynie kilka razy przy oficjalnych okazjach. Zaprosił go do stołu, połał wódki. Pytał o wrażenia z podróży, nie kwapiąc się, by przejść do rzeczy.

Najwyraźniej sondował Markiewicza. Zadawał bowiem dziesiątki pytań ogólnych i szczegółowych, zdradzających doskonale rozeznanie w problematyce polskiej. A jednocześnie ani słowem nie ujawnił, jaki właściwie jest cel spotkania.

Dlatego skupiony na rozmowie Konrad cały czas analizował też jej podtekst. Dzięki swej fenomenalnej pamięci mógł powtórzyć każde zadanie, które wtedy padło, a jednak nadal nie wiedział, o co szło Kriuczkowowi.

Jedno nie ulegało wątpliwości: nie zadowalała go ekipa Jaruzelskiego i Kiszczaka. Czy planował wymienić ją na inną? Jaka?

Zauważył, że pojawiają się nazwiska ludzi zupełnie nowych, często nawet bardziej łączonych z opozycją niż z władzą... Inna sprawa, że od dawna związanych z aparatem bezpieczeństwa. Interesował się również obecną kondycją resortów siłowych i rzeczywistymi wpływami opozycji w społeczeństwie.

Konrad odpowiadał. Podkreślał jednak, że od dłuższego czasu nie ma związku z bieżącą polityką.

- Może nadchodzi czas, żeby to naprawić - uśmiechnął się Kriuczkow. A w tym uśmiechu kryło się coś demonicznego.

„Ciekawe, jaką rolę przewiduje w swoich planach dla mnie. Trenera selekcjonera?” - zastanawiał się Konrad. Przez chwilę widział siebie jako członka Biura Politycznego, szefa MSW, wicepremiera, a może i premiera...

Dawny Markiewicz poszedłby na to jak na lato, choćby po to, żeby zobaczyć miny wszystkich swoich wrogów. Dziś Konrad pozostawał bardziej sceptyczny. Cokolwiek planował Kriuczkow, z pewnością nie zanosilo się na proces bezbolesny. Poprzednim wymianom elit towarzyszyły wystąpienia klasy robotniczej, lała się krew. I jak to się miało do procesu reform Gorbaczowa?

A może?

Może Polsce wyznaczono jedynie funkcję detonatora. Ewentualne niepokoje w bratniej Polsce stałyby się sygnałem do przykręcenia śruby, póki jeszcze czas. Za rok prezydent Ronald Reagan odejdzie, czas zamieszania towarzyszący zmianie w Białym Domu pozwoli, być może, Związkowi Radzieckiemu odzyskać geopolityczną inicjatywę.

Znał te marzenia. Część sowieckiego kierownictwa uważała, że wszystkie wewnętrzne kłopoty mogłaby rozwiązać wojna - nagły atak na Europę Zachodnią: zasobną, bogatą, rozleniwioną i nieskorą do obrony.

„Gdyby zapewnić neutralność Ameryki i zapobiec użyciu broni nuklearnej, weszlibyśmy w Zapał jak w masło i nic nie powstrzymałoby nas aż do Gibraltaru” - przypomniał sobie szczere wyznanie jednego z generałów. Czy o to chodziło?

Dysydent Amalryk prorokował, że ZSRR nie dotrwa do 1984 roku. Biedaczyna sam nie doczekał tej daty. Dorwali go w Hiszpanii, olbrzymia niezidentyfikowana ciężarówka staranowała jego samochód na drodze pod Guadalajarą. Zresztą, orwellowski rok minął, a Kraj Rad istniał na przekór wszelkim prorocstwom.

Czy jednak wojna połączona ze złupieniem bogactw Europy Zachodniej i zapewnienie terrorem wewnętrznej spójności dałyby radę przywrócić jego potęgę? Ludzie pokroju Kriuczkowa uważali, że tak. Nawet za cenę paru atomowych pustyni. Na przykład w miejscu Polski.

Oczywiście, otwierała się przed nim możliwość poszerzenia swojej wiedzy. Znał reguły tego rodzaju działań. Musiałby tylko wyrazić zgodę na udział w planach Kriuczkowa, a wtedy ten dopuściłby go do bardziej poufnych informacji. Tylko czy to dobry pomysł wchodzić drugi raz do tej samej rzeki?

Wolał nie odmawiać wprost, dlatego zaczął narzekać na zdrowie. Wspominał o przestrożach lekarzy, o tykającej bombie w mózgu, o kłopotach z koncentracją i równowagą. Kłamał doskonale!

- Chciałbym jeszcze trochę pożyczyć, Władimirze Aleksandrowiczu - zakończył. - To są zadania dla młodszych.
- Ale na wasze rady, gdyby zaszła taka potrzeba, możemy liczyć?
- Zawsze, Władimirze Aleksandrowiczu.
- No to wyrażcie mi jeszcze waszą opinię o tych towarzyszach
- znów padło parę nazwisk. Drgnął, gdy wśród narybku MSW wiceszef KGB wymienił Dudę. Ale nie dał tego po sobie poznać.
- Młody, zdolny, lojalny - podsumował krótko.

Zapamiętał wymienione nazwiska. Trochę później zdał sobie sprawę, że większość z nich wiąże się z obszarem zainteresowań Departamentu IV. Czyżby na sowieckim celowniku znalazł się polski Kościół?

Rozstali się w przyjaznej atmosferze, a Kriuczkwow obiecywał spotkanie przy pierwszej nadarzającej się okazji.

- Może odwiedzić nas w Związku Radzieckim?

Grisza sprowadził przyjaciela na ląd i odstawił do hotelu, ale na tradycyjne pogawarki nie został. A Konrad wcale go nie namawiał.

Tej nocy przyśnił mu się pierwszy od lat sen. Czyżby z nadmiaru alkoholu wypitego na pokładzie?

Śniła mu się krew. Dużo krwi. Za dużo, żeby dało się ją wytoczyć z jednego człowieka. Oprócz krwi śniły mu się kawałki ciał, kobiece dłonie i nóżki dziecięce. Nie potrafił powiedzieć, czy pochodziły one z katastrofy w powietrzu czy z wybuchu na ziemi. Bardzo nie chciał na nie patrzeć, ale musiał.

Potem obrazy uległy gwałtownej metamorfozie: znajdował się miejskiej dżungli, nieoczekiwanie utożsamiał się z jakimś snajperem, przeżywał godziny spędzane w kryjówkach na strychach, dachach, gzymsach, w otworach strzelniczych, wypełniane składaniem broni, przymierzaniem się, próbowaniem języka spustowego, czekaniem... Panorama miasta, cień wysokiego budynku... Tylko kto miał być celem? Tego sen nie wyjaśniał. Przechodził zresztą w kolejną fazę. Biegu.

Markiewicz biegł bardzo szybko, nie wiedział jednak, czy jest to pościg, czy ucieczka. Czuł, że serce nieomal rozsadza mu piersi, a mózg zaraz wybuchnie. Każdy krok sprawiał mu ból... Zbudził się zlany potem, z łomocącym sercem i poczuciem kompletnego rozbicia. Za oknem szarzało. Wziął pastylkę obniżającą ciśnienie, napił się wody. I próbował zasnąć. Na próżno. Najgorzej, że nie

dało się tego snu w żaden sposób wytłumaczyć. Nie przypominał jego bojowych doświadczeń, nigdy przecież nie był snajperem, nie podkładał bomb. Właściwie w swojej długiej karierze nikogo nie zabił. Przynajmniej osobiście. Owszem, wysłał do piachu kilku czy nawet kilkadziesiąt wrogów Polski Ludowej, dywersantów, szpiegów, zdrajców, ale za każdym razem stanowił jedynie element operacji, nigdy nie stał się ani sędzią, ani katem. Nie wierzył w sny wróżebne, ale tyle epizodów z jego życia wykraczało poza zdrowy rozsądek, że nie mógł kompletnie zlekceważyć majaków. W końcu nie trzeba wierzyć w siły nadprzyrodzone, żeby dopuszczać przewagę podświadomości nad świadomością.

Nie zasnął już do świtu. Zszedł na śniadanie. Pojawił się jako pierwszym gościem w hotelowej kawiarni, do której właśnie dostarczono poranne gazety.

Wziął je do ręki.

Nigdy nie uczył się włoskiego, ale dzięki wyniesionej ze szkoły łacinie czytanie w tym języku nie sprawiało mu większych trudności. Na pierwszej stronie dziennika „La Repubblica” rzucał się w oczy tytuł: *Papa Polacco znów jedzie do ojczyzny.*

Naraz otworzyła mu się jakaś klapka w głowie. Zdał sobie sprawę, że w swoim nocnym koszmarze polował na Wojtyłę. Znów, jak na placu Świętego Piotra z majaczeń podczas pobytu w szpitalu, patrzył na świat oczami jego mordercy. Co więcej, nawet miasto, które wyśnił, wydało mu się znajome...

Dawny Konrad zlekceważyłby zapewne senne miraż, ale dzisiejszy nie umiał tego zrobić; w dodatku po dziwnej rozmowie z Kriuczkowem.

Z głębokim przekonaniem graniczącym z pewnością czuł, że dramatyczny sen musi być sygnałem pochodzącym z najgłębszych partii jego mózgu. Odezwał się w nim zwierzęcy instynkt drzemiący

w każdym człowieku? W prorocтва nie wierzył. Ale czy było to proctwo? A może jego jaźń po rozmowie z rosyjskim oberpolicjantem wyciągnęła wnioski szybciej niż on sam?

Czy zamach na papieża, teraz, w 1987 roku, mógł stanowić detonator zmian w socjalistycznym obozie? Doprowadzić do zwrotu akcji poprzez wywołanie rewolty w Polsce, upadku Gorbaczowa i inwazji na Zachód?

Od lat wiedział, że istnieje prawdopodobieństwo nadejścia takiego dnia. I nie odczuwał z tego powodu szczególnej grozy. Aż do teraz. Oczywiście refleksja uderzyła go z siłą gromu. Upuścił gazetę. Jeśli papież Jan Paweł II zginie, on podzieli jego los.

Pomysł wydawał się pozbawiony logicznych podstaw, idiotyczny, surrealistyczny, ale jednocześnie - niezwykle sugestywny. Dlaczego korelacja między nimi, pozbawiona wprawdzie sensownych podstaw, ale potwierdzająca się przez sześćdziesiąt siedem lat, tym razem miałaby zawieść? I - bez względu na to - kto kręcił tym interesem?!

Poczuł naprzemienne uderzenia gorąca i lodowatego zimna.

- Nic panu nie jest? - zapytała kelnerka, widząc zmiany na twarzy gościa.

- Nic, nic... - wybełkotał.

Chętnie powiedziałaby tej dziewczynie, gdyby tylko potrafiła go zrozumieć, jak bardzo nie chce umierać, zwłaszcza teraz, kiedy w pełni korzysta z uroków tego świata. A poza tym, dlaczego droga do światowej rewolucji musi prowadzić przez trupa Karola Wojtyły? Po starannym przestudiowaniu biografii, po odnalezieniu tyłu zbieżności przywykł traktować go nieomal jak członka rodziny. Nielubianego, drażniącego na każdym kroku, ale jednak bliskiego... Zbliżył gazetę do oczu. Pielgrzymka miała zacząć się 8 czerwca 1987 roku. Jan Paweł II zamierzał odwiedzić największą

jak dotąd liczbę miast w Polsce: Warszawę, Lublin, Tarnów, Kraków, Szczecin, Gdynię, Sopot, Gdańsk, Częstochowę i Łódź.

Konrad uregulował rachunek, zatankował do pełna i rezygnując z malowniczego Alberobello, powitania lata na Sycylii oraz wspinaczki na Etnę, ruszył w drogę powrotną. Do Polski.

2-6 czerwca 1987

Późna wiosna tego roku była we Włoszech upalna i burzliwa. Sezon turystyczny dopiero się zaczynał, więc na drogach nie zapanował jeszcze tłok, zresztą jego dziewięcioletni fiat podążał dokładnie pod prąd ludzkiej rzeki płynącej z całej Europy na południe. Do Polski dojechał więc całkiem szybko. Minął Gargano, górzysty półwysep - niczym grudka błota przyklejony do włoskiego buta - na którym przed paroma dniami przeżył zadziwiające spotkanie z Ojcem Pio. Przemknął koło Pescary, potem starożytnej Rawenny. Nocował w motelu pod Wenecją, w którym roiło się od komarów, ale i bez dokuczliwych owadów nie mógł długo spać. O trzeciej znów był na nogach. Gdy znalazł się w Austrii, grzał ponad sto kilometrów na godzinę, zwalniając jedynie na górzystych odcinkach, na których właśnie rozbudowano autostradę. Na wysokości Wiener Neustadt skręcił na wschód, bocznymi drogami ominął Wiedeń i w Petřalce wjechał na teren „obozu pokoju i socjalizmu”. Powitały go transparenty z napisami wychwalającymi przyjaźń ze Związkiem Radzieckim po wieczne czasy oraz zasieki i ponure gęby pograniczników, wściekłych - tak jak ich psy - na ludzi przekraczających granicę. Głęboką nocą dotarł do Cieszyna i w hotelu Pod Jeleniem przespał kilka godzin. Spieszył się, a mimo to miał wrażenie, że czas mu ucieka. Rzeczywiście, nie pozostało mu go zbyt wiele. Pielgrzymka zaczynała się za kilka dni. Jego analityczny umysł nie zmarnował jednak ani minuty

z podróży, tym bardziej że w stan alarmowy wprawiły go nie tylko senne majaki czy wrażenia z rozmowy z Kriuczkwem. To stanowczo za mało, aby bezkrytycznie uwierzyć, że są w Sowietach siły gotowe, aby teraz, w dobie odprężenia i reform Gorbaczowa, spróbować tego, co nie udało się, gdy ZSRR znajdował się u szczytu potęgi. Przecucia potraktował niezwykle poważnie z powodu jednej natrętnej analogii. Dialog z generałem KGB do złudzenia przypominał inne podobne rozmowy, które przeprowadzał z Griszą w pierwszej połowie 1981 roku. Wtedy także radzieckie służby interesowały się relacjami między państwem, Kościołem i społeczeństwem, podobnie analizowano różne możliwe formy wybuchu, gdyby zdarzyło się coś doprowadzającego ludzkie umysły do stanu wrzenia.

No i się zdarzyło...

Na szczęście po tamtym zamachu na papieża energia społeczna wyładowała się w modlitwie i w białych marszach, ponadto zamachowcem okazał się Turek, a inicjatorzy długo i skutecznie pozostawali w cieniu. I - co najważniejsze - Jan Paweł II przeżył.

Oczywiście wówczas, przy okazji podobnych analiz, nie zdawał sobie sprawy, ku czemu to zmierza. Sądził, że zawodowa pragmatyka funkcjonariuszy KGB wymaga rozpatrywania rozmaitych wariantów i nie istnieje żaden konkretny plan gwałtownej destabilizacji w Polsce, ale teraz...

„Zrobią to! - myślał gorączkowo. - Do jasnej cholery, są zdecydowani, by to zrobić! I nikt im nie może przeszkodzić”.

Poza nim - któremu również pisana jest rola ofiary.

W normalnym kraju podzieliłby się swymi refleksjami z osobami odpowiedzialnymi za bezpieczeństwo państwa. W PRL-u nie mógł tego zrobić, mimo że pracowali tam jego niedawni koledzy. Nie chodziło przecież o drobiazg. Sojusz ze Związkiem Radzieckim stanowił dla nich kwestię priorytetową, a sugerowanie, że w Moskwie

toczy się walka o władzę - działanie co najmniej ryzykowne. Gdyby jeszcze dysponował jakimiś dowodami...

Poza tym przywódcy z większym zakresem swobody podjęliby zapewne jakieś działania. Gdybyż u steru Polski Ludowej stał ktoś pokroju Gomułki, Gierka, Moczara...

Ale Kiszczak i Jaruzelski nie należeli do ludzi wielkiego formatu. W dodatku Konrad nie wiedział, na ile spisek w Rosji jest powiązany z wewnątrzpartyjną opozycją. I kto aktualnie do niej należy. Rządząca koteria miała wrogów, a „partia ludzi Moskwy” od lat rosła w siłę. W dodatku granica dzieląca liberałów i betoniarzy pozostawała nieostra.

Koło Częstochowy zaczęło padać i wbrew swym zasadom (żadnych przypadkowych pasażerów!) wziął do auta trzy zmoczone autostopowiczki. Dziewczyny, pochodzące z Bielska-Białej tegoroczne maturzystki, wracały z Jasnej Góry, na której dziękowały Czarnej Madonnie za pomyślnie zdany egzamin dojrzałości. Zamierzały spędzić parę dni w Warszawie i wziąć udział w powitaniu papieża, a potem pociągnąć do Gdańska.

- To będzie niezwykle przeżycie! - ekscytowały się. - Ojciec Święty w kolebce Solidarności!

Spojrzał na nie z ukosa.

- A co wy wiecie o Solidarności? To przecież przeszłość!

- I przyszłość! - zaoponowała gwałtownie siedząca obok niego rezolutna blondynka z zadartym noskiem.

Dyskretnie podpytywane (a generał umiał to robić), rozgadały się. Mimo że przed siedmiu laty chodziły jeszcze do podstawówki, pamiętały doskonale czasy tamtej gorączki. Stryj jednej z nich został ranny podczas pacyfikacji kopalni Wujek. Kuzyna drugiej aresztowano, kiedy wyjechał ze strajkującej pod ziemią kopalni Piast. Trzecia wozila ulotki w wózku z młodszym braciszkiem

i żałowała, że była zbyt mała, by biegać na demonstracje i walczyć z ZOMO.

- Teraz to jest okropnie spokojnie - narzekała. - Ludzie się przyczaili. A bardzo wielu straciło nadzieję...

- Aż żal! - zgodziła się pierwsza. - Dziadek walczył z Niemcami, tata miał Solidarność, tylko my nie przeżyliśmy jeszcze niczego ważnego.

„I módlcie się, żebyście nie przeżyli!” - chciał zawołać, ale ugryzł się w język. Nie dziwiła go ich potrzeba buntu. To przywiłej młodości. Przypominał sobie nastrój euforii pierwszych godzin po wybuchu wojny, zanim zaczęto mówić o ofiarach, zniszczeniach i klęskach. Zdumiewało go co innego - religijność. Dziewczyny, wychowane i wykształcone w Polsce Ludowej, indoktrynowane przez telewizję, zapewne miłośniczki muzyki rockowej i mimo niewinnych minek doskonale uświadomione seksualnie, odczuwały potrzebę, która jemu wydawała się całkowicie zbędna. Potrzebowały Boga - jako sensu życia - i papieża - jako najwyższego autorytetu. Na co dzień zapewne bywalczyńskie dyskotek, obściskowały się z chłopakami, piły, być może, tanie wina i paliły papierosy, ale poza tym wszystkim oczekiwały czegoś więcej. Wizji? Drogi?

Pragnęły przeżyć coś ważnego i pięknego, a nie tylko, jak ich rówieśniczki z Zachodu, rozłożyć nogi na tylnym siedzeniu samochodu.

Wysadził je na rogu ulicy Banacha i alei Żwirki i Wigury, koło akademików przekształconych na czas pielgrzymki w schroniska młodzieżowe.

- Ogromnie panu dziękujemy - powiedziała ta z zadartym nosem. - Jest pan bardzo dobrym człowiekiem.

„Dobry człowiek”! Smarkule nie miały pojęcia, jak te dwa słowa mogą nim wstrząsnąć. Dotąd nazywano go różnie: przełożeni,

chwaląc, mówili o jego pryncypialności i bezkompromisowym stosunku do problemów, szanowali i bali się go podwładni, syn lekcewał go i nim gardził, kobiety wykrzykiwały pod jego adresem rozmaite bzdury, zwłaszcza podczas orgazmu... Ale przenigdy nikt nie nazwał go dobrym człowiekiem. Dlaczego?

*

Po powrocie do Warszawy najpierw zameldował się w centrali, gdzie przyjęto go jak przybysza z drugiego brzegu Styksu. Nie było to przyjemne. W stanie spoczynku nadal miał przecież status doradcy ministra, swój gabinet, znajdował się w rozdzielniku z dostępem do części akt.

Nie chciał, aby nagły powrót do ojczyzny został skojarzony z pielgrzymką papieża, dlatego wymyślił sobie całkiem niezłą legendę - w grę wchodziły interesy, a zwłaszcza rozwój spółek polonijnych, którymi interesowało się coraz więcej towarzyszy z SB. I to zrozumiano. Spotkał się z jednym wiceministrem, porozmawiał telefonicznie z Kiszczakiem. Ale krótko. Prawdę powiedziawszy, żadna z najważniejszych osób w państwie nie znalazła dla niego czasu. Trzecia wizyta Jana Pawła II w ojczyźnie angażowała wszystkie siły i środki. Ta okoliczność bardzo mu odpowiadała.

Wprawdzie w sztabie operacji oznaczonej kryptonimem „Zorza II” najlepiej poinformowaną osobą obok generała Pudysza był major (przepraszam podpułkownik) Duda, jednak Markiewicz zamierzał zwrócić się do syna tylko w wypadku absolutnej konieczności.

Żoliborską willę oddał pod wynajem, a lokatorzy mieli ją zwolnić dopiero za kilka dni. Pozostawał więc hotel albo domek letniskowy nad Świdrem, który zbudował przed kilku laty, ale na dobrą sprawę nigdy tam nie mieszkał - płacił jedynie miejscowym za opiekę. Wnętrze pachniało grzybem, pościel cuchnęła starzyzną,

ale liczył się własny dach nad głową i miejsce, w którym mógł swobodnie porozmawiać. Godzinę po Konradzie przybył tam człowiek, który w MSW należał do grona wtajemniczonych w szczegóły pielgrzymki, co było oczywiste ze względu na jego kluczową pozycję zajmowaną w ministerstwie. Przed laty funkcjonował w ramach zaufanej trójki tworzącej tajną komórkę kontroli wewnętrznej, ale od tego czasu znacznie się wspiął. Na szczęście Markiewicz wiedział o nim takie rzeczy, które dawały pewność jego absolutnej lojalności. Jakakolwiek próba nieposłuszeństwa pociągnęłaby za sobą bardzo poważne konsekwencje. Stanowiło to gwarancję, że informacja o ich konszachtach nie przecieknie do nikogo z resortu.

Osobnik nazywany „Baronem” zjawiał się na pierwsze wezwanie. Szeroki jak szafa rzeczywiście przypominał arystokratę z czasów saskich. Ze zrozumieniem przyjął polecenie Konrada dotyczące dostarczenia mu dokumentacji związanej z wizytą papieża. Wprawdzie rozporządzenia, plany i analizy zostały objęte klauzulą ścisłej tajności, ale od czego są kopiarki. Nie pytał, po co generałowi informacje o przygotowaniach MSW do pielgrzymki. Podejrzewał, że ma mocodawców znacznie wyżej i nie wnikał gdzie.

W każdym razie dwa dni przed przylotem Jana Pawła II do Warszawy wszystkie najważniejsze dokumenty znajdowały się w rękach generała.

MSW przyłożyło się do operacji. Pod względem logistyki i zabezpieczenia przedsięwzięcie nie znajdowało sobie równych w dziejach PRL-u.

W samym Trójmieście zmobilizowano ponad czterdzieści tysięcy funkcjonariuszy, tajnych, jawnych i „dwupłciowych”, w większości ściągniętych z centrali i odległych regionów kraju. W pewnym stopniu miało wspomagać ich miejscowe ORMÓ, aktyw partyjny, szkoły oficerskie i marynarze. Zmobilizowano ponadto setki tajnych

współpracowników, w tym ogromną rzeszę księży agentów, z najbliższym współpracownikiem arcybiskupa gdańskiego - o pseudonimie „Szejk” - na czele. Dzięki takim jak on zamierzenia Kościoła nie stanowiły dla bezpieczeństwa żadnej tajemnicy. Spenetrowane, choć w mniejszym stopniu, były również środowiska podziemnej Solidarności, zwłaszcza takie jak Solidarność Walcząca, KPN czy Ruch „Wolność i Pokój”, które podejrzewano o inklinacje terrorystyczne.

„Kompletne durnie - pomyślał o ekspertach SB Markiewicz - przecież nawet najbardziej zbuntowani ekstremiści z Solidarności prędzej obciąliby sobie głowę, niż podnieśli rękę na polskiego papieża”.

Równie dokładną kontrolą objęto około tysiąca pięciuset dziennikarzy, przybyłych relacjonować pielgrzymkę, w tym czterystu z krajów kapitalistycznych. Odbywano rozmowy ostrzegawcze i planowano prewencyjne zatrzymania „elementów kryminalnych i anarchistycznych”. W tych wszystkich działaniach, rzecz jasna, chodziło nie tyle o bezpieczeństwo gościa, co o ograniczenie do minimum możliwych wystąpień o charakterze antysocjalistycznym. Wiedzano, że takie się odbędą i w całości nie da się ich wyeliminować - dla podziemnej Solidarności była to niebywała sposobność, aby przypomnieć wszystkim o swoim istnieniu. Władzy zależało jednak na minimalizacji jej działań. I oczywiście na potwierdzeniu przydatności organów. Nie po to od pięciu lat trwał proces normalizacji, aby teraz papież tchnął zbyt wiele ducha w mocno już zrezygnowane społeczeństwo.

Markiewicz wszystko uważnie przestudiował i zastanowiło go jedno: zdawało się, że nikt nie zajmował się wątkami zagrożeń zewnętrznych.

W minimalnym stopniu uruchomiono agenturę zagraniczną, nie poproszono o pomoc Interpolu, co wręcz się narzucało, na

wypadek gdyby chciał przeniknąć do Polski jakiś naśladowca Alego Agcy. Największe zaniedbania dotyczyły Wschodu. Brakowało jakichkolwiek dowodów, żeby ktokolwiek interesował się tym, co robią w tym czasie rezydujący w Polsce funkcjonariusze GRU, KGB czy Stasi.

Chociaż, znając obecnych przywódców PRL-u, zdawał sobie sprawę, że inwigilacja zaprzyjaźnionych służb nie przychodziła im nawet do głowy. Ale może zajmowała się tym Informacja Wojskowa, do której działań „Baron” nie miał dostępu? Jedyne, co zdobył dla Konrada, to lista akredytowanych dziennikarzy, z których kilku, Markiewicz wiedział to z całą pewnością, pracowało dla organów. Po zapoznaniu się z trasą pielgrzymki i informacją o rezerwacjach hotelowych szybko zorientował się, że szczególnym zainteresowaniem tych „zagranicznych korespondentów” cieszą się Warszawa, w której papież miał pojawić się dwa razy, Kraków i Trójmiasto. Gromadziło się tam najwięcej wiernych, toteż efekt ewentualnego zamachu okazałby najbardziej spektakularny, a sprawcom, co nie bez znaczenia, łatwiej było się ewakuować niż z Lublina czy Tarnowa.

Kompletnie zmienił system myślenia - starał się jak najbardziej wczuć w sposób myślenia ewentualnego organizatora złowieszczej operacji.

Warszawę, z wielu powodów najlepszą, wyeliminował - następstwa zamachu w mieście, w którym znajdowały się centrale instytucji, były nieprzewidywalne i mogło dojść do czegoś w rodzaju powtórki z Budapesztu w 1956 roku. Zwłaszcza że takiej akcji z pewnością nie skoordynowano by z polskim kierownictwem. Zrewoltowane tłumy mogłyby wtargnąć do centrów władzy, przejmując kontrolę nad dokumentami, wieszać tych, na których konspiratorom szczególnie zależało.

Nie, tylko szaleniec zrobiłby to w Warszawie.

A Kraków?

Tym razem wizytę Karola Wojtyły w jego dawnej metropolii zaplanowano na dosyć krótko. W dodatku na Błoniach ewentualny snajper natknąłby się na ogromne trudności, choćby z powodu braku w okolicy wysokich bloków, z dobrym widokiem na ołtarz. A na Cmentarzu Rakowickim, gdzie Jan Paweł II zamierzał nawiedzić grób rodziców? Z dokumentów wynikało, że sprawdzono tam każdą piędź ziemi. Nie odnotowano też żadnych niedawnych pochówków, w których można by umieścić bombę o wielkiej mocy. Wawel i kościół Mariacki miały podwójną kontrolę - kościelną oraz państwową - i obie pilnowały się nawzajem.

Rozstrzygające dla Konrada okazało się co innego - redaktor Iwan Wasilenko (tym pseudonimem posługiwał się ostatnio Grisza) wybierał się tylko na jeden etap pielgrzymki. Zarezerwował na trzy dni pokój w Posejdonie w Oliwie. To przesądzało sprawę. Zwłaszcza w zestawieniu z proroczym snem, który nie pozostawiał wątpliwości co do miasta.

Wyrok na biskupa Rzymu, jeśli zapadł, musiał być wykonany w kolebce Solidarności.

7 czerwca 1987

Od dwóch dni Markiewicz starał się wczuć w rolę ewentualnego „Szakala”.

W dodatku cały czas musiał siebie przekonywać, że postępuje racjonalnie - jeśli chce przeżyć, musi uratować człowieka, za którym nie przepada. Zadziwiający paradoks!

Tymczasem wszystko opierało się na kilku hipotezach i obłądanej koncepcji „bliźniaka”. Chociaż... Informacje, które przeciekły do

niego, składały się na interesujący obraz. Na połowę czerwca zapowiadano wielkie manewry na terenach radzieckiej Ukrainy i Białorusi. Odbyło się robocze spotkanie szefów bezpieki NRD i CSRS. Na dość wczesny urlop w rejon Zakaukazia wybrało się paru prominentów betonowego skrzydła partii. Czy te przypadki tworzyły jakąś całość?

Na razie generał krążył po Warszawie, która nabrała już odświętnego charakteru. Z całego kraju ściągaly pielgrzymki. W powietrzu znów unosił się przedziwny klimat uprzejmości, zgody i pojednania. Ludzie koczowali w kościołach, na placu Zamkowym młodzież przygrywała sobie na gitarach, śpiewając *Barke*. Jakby czas cofnął się o osiem lat... Choć tyle się zmieniło. Najbardziej zmienił się chyba sam Konrad. Wówczas katolicka ekstaza wydawała mu się czymś niezrozumiałym, wrogim, głupim. Teraz wprawdzie nadal jej nie podzielał, ale rozumiał, na czym polega i do jakich pięknych cech ludzkich się odwołuje.

Oczywiście, było to postępowanie naiwne i nawet trochę zrobiło mu się smutno, że wszystkie nadzieje polskich katolików zogniskowały się na tym jego równolatkcu. Jakby mógł sam jeden, niczym Jozue, zatrzymać słońce, nakazać, wzorem Mojżesza, rozstąpienie się Morzu Czerwonemu lub jak papież Leon Wielki, wychodząc naprzeciw Attyli, powstrzymać Huna przed zdobyciem Rzymu.

Oczywiście, zabicie człowieka, nawet takiego człowieka, nie nastroczało większych trudności. Dla obcych wywiadów penetrujących Polskę pozyskanie fałszywych dokumentów, przepustek do określonych sektorów lub stref ochronnych czy nawet wprowadzenie swego człowieka w szeregi służb zabezpieczających nie stanowiło problemu. Rzecz w tym, że wykonawcy zadania należało zagwarantować drogę ucieczki, a to jest znacznie trudniejsze. Najłatwiej byłoby postarać się o jakiegoś szaleńca owiniętego ładunkiem

wybuchowym, dla którego własne życie nic nie znaczy. Tyle że ktoś taki nawet gdyby się znalazł, miałby, szczególnie w Polsce, minimalną szansę przedarcia się przed oblicze Ojca Świętego, dlatego jego skuteczność okazałaby się najpewniej mizerna. Inny kłopot to kwestia odpowiedzialności. Żadna oficjalna struktura, nawet sowiecka, nie mogła przyznać się do takiego zamachu - zabójca (lub podstawiony kozioł ofiarny), tak jak w przypadku Alego Agcy, nie powinien być kojarzony z komunizmem, Rosją i demoludami. Najlepiej gdyby wiązano go z jakimś ugrupowaniem ekstremistycznym - fundamentalistami islamskimi lub neonazistami z Niemiec. A wręcz ideałem wydawał się ktoś, komu dałoby się zarzucić kontakty z Centralną Agencją Wywiadowczą USA.

„Baron” na zlecenie Markiewicza sprawdził kartoteki listów gończych. Dochodzenie wykazało, że ostatnio nie zbiegł żaden z pensjonariuszy zakładów psychiatrycznych, gdzie nie brakuje osobników uważających się za papieża czy szatana, nie odnotowano też żadnej ucieczki z więzienia. Nie sposób było jednak skontrolować tysięcy pielgrzymów z innych krajów, którzy w tych dniach przybywali do Polski.

W całej tej sytuacji Konrad dysponował jednym atutem. Wiedział, że zamachowiec się zbliża, tamtemu zaś z pewnością nie przyszło do głowy, że ktokolwiek może mu przeszkodzić - a na pewno nie spodziewał się utrudnień ze strony wysokiego funkcjonariusza służb, partyjnego ateisty z długim ubeckim stażem. Gdyby nie bliźniacze podobieństwo do pewnego człowieka ktoś taki jak generał Markiewicz nie miałby najmniejszego powodu, żeby psuć operację.

Nie był jednak pewien, czy działa rozsądnie. Nawet gdyby jego przeczucia i hipotezy okazały się trafne, powinien w tym czasie trzymać się jak najdalej od Polski albo pójść do szpitala na badania.

Jeśli szykowano zamach na papieża, to pchanie się do epicentrum, w którym narażał się na odłamki, zdawało się bezsensowne.

Dlaczego więc pakował się w tarapaty?

Spacerując nad brzegiem rzeczki, smrodliwej z powodu ścieków wypuszczanych do jej nurtu, po raz tysięczny zadawał sobie pytania: „Co się stało ze mną - racjonalnym obrońcą władzy ludowej? Czy wiara w nieuchronne komunistyczne jutro uległa erozji? Czy po latach poznawania świata zwątpiłem w sensowność realizowanej utopii? Czy na niewzruszonym marksistowskim światopoglądzie pojawiła się rysa?”

Jego poparcie dla systemu (i akceptacja stosowanych przez niego metod) łączyło się z przekonaniem o dziejowej prawidłowości. Jeśli stary świat musiał zostać zmiażdżony walcem historii, to lepiej znaleźć się wśród miażdżących niż miażdżonych, pod warunkiem że walec nie może zawrócić. A jeśli może?

W dodatku nie przestał być Polakiem. Do tej pory pamiętał swe oszołomienie po tym, jak Zuzanna nazwała jego towarzystwo „Targowicą”. Wspominał własną wściekłość z tamtej noworocznej nocy, kiedy pragnął dopaść ją, obalić w śnieg i gwałcąc brutalnie, powtarzać: „To nie żadna Targowica, skarbie, tylko realiści, pragmatycy, postępujący konsekwentnie w sytuacji bez wyjścia”.

A jeśli gdzieś znajdowało się jednak wyjście? I to bliżej niż się spodziewał?

Zazdrościł ludziom wierzącym zarówno w Boga, jak i w przyszłość. Był cyniczny, posiadał wiedzę o mechanizmach rządzących światem, znał bezmiar ludzkiej podłości, konformizmu i zachłanności i wiedział, jak wykorzystywać takie dźwignie. A tu nagle tysiące (ba! miliony) ludzi odważyły się marzyć, że może być inaczej.

„Marzenia bywają groźniejsze niż czyny”. Kto to napisał? Pewnie jakiś z piewców rewolucji.

No więc wdepnął w to. Wkroczył na ścieżkę pozbawioną szans zysku, oferującą za to ryzyko dużych strat. Ale to był jego wybór. I jego zabawa. Od tak dawna przecież po prostu się nudził. Siedem lat wstrzemięźliwości dla hazardzisty odsuniętego od zielonego stolika to długo. Bardzo długo. Teraz mógł jednak zagrać o całą pulę!

Jeszcze nie wiedział, co zrobi. Brał pod uwagę ostrzeżenie papieża albo podrzucenie dowodów na istnienie spisku w swoim resorcie - tak czytelnych, że będą zmuszeni zareagować. Lecz najpierw musiałby je znaleźć. Jako dodatkowy atut w jego grze, obok jokera - Dudy, brał pod uwagę pannę Gellman. Nie sprawiło mu wielkiej trudności wkręcenie naczelnej kobiecego czasopisma do grona akredytowanych dziennikarzy.

- Ale co mnie obchodzi papież? - dziwiła się stara dobra towarzyszka. - Ja się nawet przeżegnać nie potrafię.

Ale Markiewicz ją przekonał - skoro przyznawała się do kurlandzkich paranteli, to jako luteranka z urodzenia powinna podjąć dialog z Kościołem rzymskim. Wspomnił też mimochodem, że obawia się prowokacji ze strony zagranicznych obserwatorów pielgrzymki i sprawa, ze względu na swoją specyfikę, musi pozostać absolutnie tajna. Czy stara ubeczka domyślała się, że operacja, do której ją wciągał, jest przedsięwzięciem prywatnym? Wolał nie sprawdzać. A ona nie zdradzała się z wątpliwościami. Najistotniejsze, że podjęła się pomocy, zgodziła się również na zamontowanie w jej torebce małego aparatu fotograficznego do robienia zdjęć uczestnikom konferencji prasowych.

Nie pytała, do czego konkretnie potrzebuje tych fotografii.

Wieczorem wpadł do Ułanowicza. Arystokrata miał doskonały humor. W okresach takich jak ten rósł popyt na komentarze takich katolickich wyjadaczy jak Olgierd. W dodatku awansował.

Jaruzelski zaprosił go do Rady Konsultacyjnej, mówiło się o niemal pewnym mandacie w następnych wyborach do Sejmu.

- Jak twoga, to do Boga! - powtarzał. - Towarzysze zauważyli nareszcie, że bez porozumienia z katolikami ani rusz. W Rosji pieriestrojka, a my tu ciągle w okopach stanu wojennego, ale czuję, że nareszcie się to zmieni.

- Niby jak?

- Partia chadecka, towarzyszu generale. Silna partia chadec-ka, życzliwa dla socjalizmu, uznająca realia geopolityczne, ale równocześnie ciesząca się zaufaniem Kościoła. Pracuję nad tym.

Konrad miał ochotę powiedzieć, jak bardzo lubi partie zakładane przez tajnych współpracowników SB, ale darował sobie. Miał konkretną prośbę.

- Potrzebuję wejściówek ma msze papieskie - rzekł - dla przyjaciela. W miarę możliwości do sektora dla VIP-ów. Nie znam innej osoby, która dysponowałaby takimi kontaktami w episkopacie jak ty.

- Chodzi o nabożeństwa w Warszawie?

- Na razie w Gdańsku.

- Do załatwienia. Jest jeszcze trochę czasu. Jak się nazywa ten przyjaciel?

- Ryszard Nowak. Reemigrant z Kanady.

*

Dokumenty na nazwisko Ryszarda Nowaka, poddanego Jej Królewskiej Mości Elżbiety II, od dawna spoczywały nieużywane w sejfie Markiewicza - Konrad wiedział, że kiedyś mogą się przydać. Było tam więcej przedmiotów, których miał nadzieję nigdy nie używać: poręczna beretta, staromodne parabellum z zapasowymi magazynkami, ampułki z substancjami toksycznymi czy dozownik trucizny w formie wiecznego pióra. Gadżety te w różnych momentach

życia trafiły do jego rąk i zostały tam - trochę z powodu pasji kolekcjonerskiej, a trochę na wszelki wypadek. Nigdy nie znajdowały się na żadnej ewidencji, nie figurowały na niczym stanie. Tak jak kilka kompletów dokumentów: autentyczna legitymacja SB z danymi Witolda Zajączkowskiego, podpułkownika USW z Rzeszowa, i legitymacja KGB wystawiona dla niejakiego Stepana Griszyina (taki żarcik wymyślony przez Ostapowicza przy jakiejś wspólnej akcji). Poza tym całkiem niezły paszport obywatela Paragwaju, a także kilka pękatek paczek rozmaitych walut.

Wszystko to mogło się przydać, choć nie musiało.

Rozłożył mapę Trójmiasta i wyjął dokumenty opisujące trasy, którymi będzie się poruszał papież, środki transportu, rodzaje zabezpieczeń, a także nazwy jednostek i oficerów odpowiadających za kolejne odcinki.

Wiedział, że nieznany przeciwnik zrobił to samo. Tylko dużo wcześniej.

*

Markiewicz nie znajdował słów uznania dla swych kolegów - SB naprawdę przyłożyło się do przygotowania i zabezpieczenia wizyty. Całość przedsięwzięcia opatrzone kryptonimem „Zorza II”. Jeszcze w pierwszej połowie maja działania na terenie Trójmiasta podzielono na szesnaście operacji, na których czele stanęli doświadczeni oficerowie, wspomagani, tam gdzie zachodziła taka konieczność, przez przedstawicieli hierarchii wytypowanych przez Kościół.

Operacja numer 1 związana była z Gdynią - terenem wojskowego lotniska Babie Doły, dokąd papież zgodnie z planem przybędzie spod szczecińskiego Goleniowa, oraz trasą przejazdu od lotniska do ulicy 10 Lutego. Postanowiono zabezpieczyć rejon miejscowego wiaduktu, gdzie Jan Paweł II przesiądzie się z limuzyny

do przezroczystego papamobilu, dalej ciąg ulicy 10 Lutego i miejsce celebry na skwerze Kościuszki, a następnie punkt cumowania okrętu marynarki wojennej - zaplanowano jego wyjście w morze z Ojcem Świętym. Zapisał sobie nazwisko dowódcy - podpułkownik Stefan Juško.

Operacja numer 2 łączyła się z Sopotem i zajmowała się przemieszczeniem „Gościa” ze znanego wszystkim sopockiego mola do rezydencji w Oliwie, ze szczególnym uwzględnieniem przejazdu przez ciąg ulicy Monte Cassino i alei Niepodległości, a także powrotu na statek następnego dnia. Na dowódcę wyznaczono majora Bogdana Szelengowskiego.

Operacja numer 3 obejmowała poranne spotkanie z młodzieżą na Westerplatte, przejście z okrętu na miejsce celebry, a także zapewnienie ewentualnej drogi ewakuacyjnej, gdyby doszło do jakiejś nieprzewidzianej ruchawki. Dowódcą został podpułkownik Janusz Winiarczyk.

Operacja numer 4, za którą odpowiedzialność ponosił podpułkownik Władysław Jakubowski, z punktem dowodzenia w Ratuszu Staromiejskim, dotyczyła przejazdu z Westerplatte do zabytkowej bazyliki Mariackiej. Statek „Gościa” miał przyplłynąć Motławą, dlatego szczególną obserwacją objęto Długie Pobrzeże, rejon zejścia na ląd przy Zielonej Bramie i przejazd papamobilem Długim Targiem do bazyliki Mariackiej, a dalej, po mszy, szlakiem przez Targ Drzewny, Podwale Staromiejskie do Węzła Hucisko. Tam rozpoczęła się operacja numer 5, kierowana przez podpułkownika Henryka Depkę.

Przejście z operacji w operację, wedle autorów planu, powinno być płynne. Na myśl o tej „płynności” Konrad lekko się uśmiechnął. Po drodze znajdował się kościół Świętej Brygidy z bojowym proboszczem Henrykiem Jankowskim oraz słynny plac przed Stoczną,

gdzie odwiedzin wprawdzie nie przewidywano, ale z uwagi na spontaniczność Karola Wojtyły, należało się przygotować na tego rodzaju niespodzianki. W załącznikach znalazło się również mnóstwo informacji o potencjalnych miejscach, w których mogło dojść do nielegalnych wystąpień. Równie starannie zabezpieczono więc całą dalszą trasę - przez region Dworca Głównego, Wały Piastowskie, ulicę Grunwaldzką i liczne newralgiczne skrzyżowania, aż na osiedle Zaspa.

Operacja numer 6, nadzorowana przez podpułkownika Eugeniusza Oleksiaka, koncentrowała się wokół mszy na Zaspie. Zaplanowano ją pośrodku ogromnego blokowiska, gdzie między innymi mieszkał Lech Wałęsa ze swą liczną rodziną. Szczególną antyterrorystyczną ochroną planowano objąć wszystkie okoliczne budynki - tam mogło się znajdować źródło bezpośredniego rażenia.

Kolejne operacje, w opracowaniu traktowane wariantowo, skupiały się na przejeździe Jana Pawła II na lotnisko Rębiechowo, ochronie rezydencji w Oliwie, ogólnym zabezpieczeniu całych odwiedzanych miast, a także (operacja numer 13) specjalnym zabezpieczeniu trasy „przejścia kolumny papieskiej drogą wodną”, za co odpowiedzialność ponosił pułkownik Eugeniusz Gąsiorowski.

Szczególnemu sprawdzeniu i stałej kontroli podlegały akweny przyległe do miejsc przybijania okrętu marynarki wojennej, kanały portowe od nadbrzeża przy Westerplatte do Zielonej Bramy, a także wszystkie obiekty położone po obydwu stronach kanału portowego w Gdańsku. Pod ścisłym nadzorem znalazła się także morska strefa brzegowa od Gdyni, przez Sopot, do Gdańska. „Czyżby brano pod uwagę atak na morzu? Tylko przez kogo? Przez Szwedów?” - zastanawiał się Konrad.

Celem operacji nr 15 były zabezpieczenia antyterrorystyczne, a 16 - przedsięwzięcia na wypadek konieczności przeciwdziałania

zagrożeniom. W obu chodziło o obserwację, odblokowywanie tras, likwidację naruszeń porządku publicznego (na przykład konfiskatę transparentów i niebezpiecznych narzędzi).

„Ciekawe, jak sprawdziłyby się te wszystkie przygotowania, gdyby wybuchła panika lub tłum wpadł w ślepy gniew?” - pomyślał Konrad. Już wcześniej zaopatrzył się w przewodnik po Gdańsku, a także poprosił „Barona” o materiał fotograficzny zrobiony przez SB do dokumentacji terenu.

Na dokładną mapę ponanosił za pomocą cyrkla i kredek najbardziej newralgiczne punkty, zakreślając obszary poszczególnych stref według stopnia zabezpieczenia. Istniały precyzyjne ustalenia resortu na ten temat.

Obszar pierwszy obejmował teren, na którym odbywały się msze i zgromadzenia, i dzielił się na strefy. Strefa zero, o promieniu pięćdziesięciu metrów, była dostępna wyłącznie dla papieża i jego najbliższego otoczenia. Strefa pierwsza, o promieniu dwustu pięćdziesięciu metrów, mieściła sektory, do których wpuszczano gości z imiennymi zaproszeniami. Strefę drugą stanowiło bezpośrednie otoczenie przejazdów i ceremonii, a trzecią - pozostały obszar miasta, włącznie ze zlokalizowanymi na obrzeżach parkingami. Analogicznie miejsca lądowań samolotu bądź śmigłowca podzielono na trzy pierścienie, dostępne wedle ściśle określonych zasad bezpieczeństwa.

Wydawało się, że nie przeoczono niczego. W dodatku cała ta przestrzeń została poddana ścisłej kontroli pirotechnicznej, zalecono dokładne sprawdzenie studzienek kanalizacyjnych, przewodów kominowych, kanałów asenizacyjnych. Kontroli podlegali również stali i zameldowani na pobyt czasowy mieszkańcy lokali w strefie chronionej, których ostrzeżono przed przyjmowaniem w czasie pielgrzymki do domów obcych. Wprowadzono wreszcie restrykcyjne zakazy ruchu.

Markiewicz dysponował notatką szefa WISW w Gdańsku, generała Andrzejewskiego, sporządzoną dla wiceministra Zbigniewa Pudysza, na temat szczegółowych działań podjętych w celu zapewnienia bezpieczeństwa.

Skatalogowano więc wszystkich tysiąc sześćset osiemdziesięciu dziewięciu obcokrajowców przebywających w Gdańsku, ze szczególnym uwzględnieniem trzystu dziewięćdziesięciu pięciu pochodzących z krajów arabskich. W wyniku działań profilaktyczno-rozpoznawczych deportowano z terenu województwa jedenastu cudzoziemców, sześciu do czasu deportacji osadzono w areszcie, trzynastu odmówiono przedłużenia wizy, ośmiu zmuszono do terminowego opuszczenia kraju. Ustalono i skontrolowano sto osiemdziesiąt cztery kwatery wynajmowane gościom dewizowym, a stu sześćdziesięciu czterech studentów zagranicznych, przebywających w Ośrodku Kształcenia Cudzoziemców w Gdańsku (z czego aż siedemdziesięciu ośmiu było Palestyńczykami), zamierzano wywieźć na czas wizyty na wycieczkę turystyczno-krajoznawczą poza miasto.

Nie koniec na tym - wytypowano do prewencyjnego zatrzymania siedemdziesiąt pięć osób o skłonnościach piromańskich, zaktualizowano rejestry broni palnej znajdującej się u ponad pięciu tysięcy osób cywilnych, z których, co ustalono, aż czterysta czterdzieści dziewięć mieszkało na trasie przejazdu, i nakazano wyznaczonym osobom zdeponować broń. Zlokalizowano miejsce pobytu dwustu pięćdziesięciu dwóch osobników chorych psychicznie, z których dwudziestu jeden wymagało bezwzględnie umieszczenia w szpitalu, osiemdziesięciu jeden musiało pozostać pod stałym nadzorem domowników, a trzydziestu dwóch objęto obserwacją milicyjną. Skontrolowano siedemset siedemdziesiąt trzy meliny przestępcze i skierowano na odwyk czterdziestu dwóch alkoholiaków. (Tu Konrad uśmiechnął się).

Osobne działania podjęto w stosunku do działaczy opozycji, choć z ich strony, Markiewicz był o tym święcie przekonany, nic papieżowi nie zagrażało. W sumie zbadano trzy tysiące pięćset dziewięćdziesiąt siedem posesji, skontrolowano blisko trzydzieści osiem tysięcy mieszkań, ujawniając przy okazji półtora tysiąca przestępstw i osiemnaście tysięcy wykroczeń. Złapano, niejako przy okazji, sporo opryszków, którzy od lat wyślizgiwali się aparatowi sprawiedliwości.

„I wszystko na nic! - pomyślał Konrad. - Jeśli przeciwnik okaże się dość pomysłowy, bez trudu przeniknie przez te wszystkie kontrole. Z pewnością nie będzie to żaden notowany przestępca, nikt na bakier z prawem czy figurujący w kartotekach. Zamachowiec najprawdopodobniej okaże się jednym z setek anonimowych pielgrzymów, poza wszelkimi podejrzeniami, choć zapewne wesprą go wspólnicy. Mimo mobilizacji całego SB jego szanse uznawał za duże. W końcu nie ma idealnego systemu obrony. Na szczęście nie istnieje również bezbłędny atak.

Na ściennej tablicy wyrysował grafik ceremonii i przemieszczeń razem z synchronizacją godzinową.

A potem, trzymając przed sobą opracowaną mapę, grafik minutowy i fotografie budynków składających się na panoramę Gdańska, Gdyni i Sopotu, usiłował wczuć się w rolę potencjalnego zamachowca.

8 czerwca 1987, poniedziałek

Pierwszy dzień trzeciej wizyty Jana Pawła II w ojczyźnie nie obfitował w szczególnie niezwykle zdarzenia. Przebiegł pod znakiem protokołu. Uroczyste powitanie papieża przez oficjeli i niewielkie grono wiernych na Okęciu, szybki przejazd ulicami Warszawy,

spotkania z zakonnicami, z mniejszościami religijnymi. Wreszcie Zamek Królewski, gdzie na głowę Kościoła czekali przywódcy PRL-u - zawsze sztywny, jakby kij połknął, Wojciech Jaruzelski i rozanielony przewodniczący Rady Państwa Henryk Jabłoński.

Gdyby transmisję z uroczystości oglądał ktoś obcy, miałby dużą trudność ze stwierdzeniem, kto jest gospodarzem w siedzibie polskich królów. „Generał Zomoza” (jak nazywała go opozycja) mówił drętwą, nie ukrywając niepokoju: „Ufamy, że [pielgrzymka] przebiegnie w nastroju religijnego skupienia i powagi. - Słowami usiłował zaczarować rzeczywistość: - Uspokoily się wzburzone fale. Przygasły ognie nierzadko cudzą ręką wzniecane... - I malował świetlane perspektywy współpracy z Kościołem: - ...aby życie ludzkie było bardziej ludzkie. - Pochwalił teologię pracy, walkę o pokój i zakończył stwierdzeniem: - Świat socjalizmu przeżywa swoistą epokę odrodzenia. Daje przykład wielkiej historycznej odpowiedzialności. Śmiało, nowatorskie, tak liczne w ostatnim okresie inicjatywy pokojowe państw socjalistycznych, w tym Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, składają się na wizję ludzkości uwolnionej od przekleństwa wyścigu zbrojeń, Europy trwale bezpiecznej, zjednoczonej...”.

- Ze Związkiem Radzieckim na czele! - dorzucił swoje zakończenie Konrad.

Potem przemawiał papież - piękną jasną polszczyzną - odwołując się do tradycji tego historycznego miejsca, do wielkiej Rzeczypospolitej dwóch i więcej narodów, która była krajem szeroko otwartym dla wszystkich, bez względu na różnice etniczne, kulturowe czy religijne. Przywołał słowa jednego z monarchów, który twierdził, że „nie chce być królem ludzkich sumień”, a potem, nawiązując do tak często wymawianego przez Jaruzelskiego słowa „pokój”, zauważył: „Wszelkie naruszenie i nieposzanowanie praw człowieka stanowi zagrożenie dla pokoju. - Jako syn polskiego

narodu wspomniał o godności człowieka, o podmiotowości społeczeństwa, stwierdził wreszcie: - Ekonomia - jak i praca - jest dla człowieka, a nie człowiek dla pracy, nie człowiek dla ekonomii". Na koniec swojego wystąpienia życzył przywódcom kraju, a w istocie domagał się, aby Polska miała należne miejsce wśród państw i narodów świata.

Markiewicz oglądał transmisję ze szklanką whisky w ręku. I co chwila łapał się na tym, że dotąd nigdy właściwie nie słuchał tego człowieka w bieli. Uważał, że co prawda ma ładny tembr głosu, ale wypowiada truizmy i banały ucukrzone w rytualnym języku. Teraz pojął, jak bardzo się mylił. Jan Paweł II mówił o najważniejszych sprawach Polaków, tak jakby to z nimi rozmawiał, chwilowo tylko kierując swe słowa do zarządców i namiestników, którzy jak mierzwa dziejów przeminą, podczas gdy naród pozostanie.

Trochę mniej zrozumiał z przemówienia otwierającego Kongres Eucharystyczny w kościele przy placu Grzybowskim. Nie był w stanie skupić się nad wywodem osnutym wokół cytatu z Ewangelii świętego Jana: „Do końca ich umiłował”. Sens stał się oczywisty, kiedy Karol Wojtyła przypomniał słowa księdza Popiełuszki, zamordowanego przed paru laty przez kolegów generała: „Dzięki śmierci i zmartwychwstaniu Chrystusa symbol hańby i poniżenia stał się symbolem odwagi, męstwa, pomocy i braterstwa. W znaku krzyża ujmujemy dziś to, co najbardziej piękne i wartościowe w człowieku. Przez krzyż idzie się do zmartwychwstania. Innej drogi nie ma”.

- Człowieku, żebyś nie wykrakał! - zawołał Konrad, zrywając się z fotela.

Ale papież spokojnie kontynuował myśl młodego męczennika: „I dlatego krzyże naszej Ojczyzny, krzyże nasze osobiste, naszych rodzin, muszą doprowadzić do zwycięstwa, do zmartwychwstania, jeżeli łączymy je z Chrystusem”.

Późnym wieczorem przyjechała nad Świder Wiesia Gellman z ponad setką zdjęć w aparacie. Chciała zostać na noc, ale ją splotwił. Osobiście wywoływał klisze do późna w nocy i oglądał starannie cały materiał. Opłaciło się. Około trzeciej nad ranem znalazł wreszcie to, czego szukał - szczupłą blondynkę o podniszczonej twarzy nałogowej palaczki, niegardzącą swego czasu narkotykami. Przydała się fotograficzna pamięć, którą miał od dziecka, a dodatkowo ćwiczył latami.

Dziennikarka, potwierdził to nazajutrz, nazywa się Bettina Kolman, po mężu, z którym - wedle jednych - przeżyła tydzień, a według innych - rozstała się zaraz po ceremonii. Znana była służbom policyjnym całej Europy pod swoim panieńskim nazwiskiem, a szerszej publiczności - jako „Wilczyca” z Frakcji Czerwonej Armii. Co ciekawe, nigdy nie poszła do pudła. Dzięki współpracy z zachodnioniemieckimi służbami walnie przyczyniła się do wpadki i aresztowania lewackich terrorystów z RAF-u i w nagrodę nie pojawiła się na listach gończych oraz szybko zniknęła z opracowań prasowych. Nawiasem mówiąc, kiedy jako skruszona obywatelka Republiki Federalnej Niemiec zgodziła się na współpracę, większość grupy Baader-Meinhof już siedziała za kratkami i wyłapywano głównie plotki. Po paru latach dawna „Wilczyca” wypłynęła już jako Bettina Kolman, wzięta dziennikarka pisząca o sprawach społecznych, pacyfizmie, kontrkulturze i zmierzchu religii. Jej akredytacja wyglądała więc na jak najbardziej naturalną, chociaż dotąd nigdy nie zajmowała się Kościołem Katolickim, a zwłaszcza pielgrzymkami jego przywódcy. Z pewnością jednak nie należało brać tego za przypadek - dzięki swoim kontaktom Konrad wiedział, że kobieta od co najmniej piętnastu lat pracuje na drugim etacie dla Stasi. Jej obecność tu i teraz bardzo

uwiarygodniła poszlakę, że tym razem centrala postanowiła nie ufać jakimś Bułgarom czy Turkom, tylko postawić na niemiecką precyzję.

9 czerwca 1987, wtorek

Wczesnym rankiem papież odleciał ze stolicy do Lublina. Konrad trochę się denerwował tym, że jego kalkulacje dotyczące miejsca ewentualnego zamachu mogą okazać się nietrafione. Jednak fakt, że zarówno Bettina, jak i Grisza pozostali w Warszawie, nappełnił go otuchą.

W ciągu nocy przeanalizował parę ewentualnych sposobów zamachu. Wszystkie miały mankamenty. Szukając inspiracji, pojechał do czytelnicy czasopism i tam kilka godzin wertował prasę Wyrzeża z ostatnich kilku miesięcy. Szukał punktu zaczepienia.

Znalazł coś bardzo ciekawego.

Trzy miesiące temu mało znane towarzystwo Archeologia Hanzeatycka z siedzibą w Bremie przeprowadziło kolejną serię ekspozycji. Tym razem za cel podwodnych poszukiwań obrano Motławę - na odcinku od Zielonej Bramy do baszty dawnego zamku krzyżackiego już za zakrętem rzeki. Badania, dzięki którym wykopano sporo cennych znalezisk obrazujących życie średniowiecznego Gdańska, przerwano w połowie kwietnia i zamierzano wznowić je w sierpniu. Markiewiczowi udało się ustalić, że towarzystwo współpracuje z Duńczykami, Szwedami, Łotyszami i Polakami. Drgnął, gdy natrafił na nazwisko Ernesta Volmera. Nie była to postać anonimowa. Ten absolwent Politechniki Gdańskiej, architekt i archeolog amator uczestniczący w rekonstrukcji kilku kamienic gdańskiej starówki jako wtyka Stasi rozpracowywał gdańską opozycję. Czyżby za sznurki pociągały aż tak grube ryby?

Nie do końca. Konrad zadzwonił do oddziału Stowarzyszenia Architektów w Gdańsku i dowiedział się, że Volmer przebywa na wakacjach w Hiszpanii, gdzie oddaje się rozkoszom nurkowania.

Jeśli miał coś na sumieniu, nie mógł postąpić rozważnie.

Motława stanowiła jeden ze słabych punktów systemu ochrony papieża. Możliwości sprawdzenia kanału pozostawały ograniczone. Z pewnością płetwonurkowie zbadali dno, ale jeśli zagrzebano tam coś głębiej, w ciągu dwóch miesięcy ślady kopania zniknęły.

W dodatku czujniki elektroniczne były praktycznie nie do wykorzystania, bo w miejscu tym zalegało sporo historycznego żelastwa, resztki wraków, a mimo akcji saperów ciągle trafiano na niewypały. Ponadto Konrad miał prawie pewność, że kontrola kanału odbywała się rutynowo - nikt o zdrowych zmysłach nie brał pod uwagę możliwości zamachu na Ojca Świętego i to w dodatku przygotowanego na tak wysokim poziomie zawodowstwa.

Co należało z tym fantem zrobić? Gdyby czyn zaplanowała jakaś grupka szaleńców, wystarczyłoby tylko zasugerować władzom bardziej profesjonalne zbadanie dna Motławy i na wszelki wypadek zmianę trasę przejazdu papieża.

Przeciwnikami byli jednak profesjonaliści dysponujący nieograniczonymi środkami. Poszukiwań w Motławie nie dałoby się ukryć, sprawcy pozostałoby nieujęci. Czy zrezygnowano by z zamachu? Sprawy zaszły już za daleko. Z pewnością przystępując do takiej operacji, opracowano parę wersji i kilka rozwiązań. Lepiej więc pozwolić im trwać w przekonaniu o bezkarności, udaremnić zamach w ostatniej chwili, a sprawców złapać na gorącym uczynku.

Rzecz możliwa nawet przy niewielkich środkach.

Niestety, Konrad działał sam. A nawet gorzej. Kiedy po południu ponownie spotkał się z „Baronem”, funkcjonariusz MSW wydawał się speszony.

- Nie mogę ci dalej pomagać - powiedział. - To zbyt niebezpieczne. Za bardzo patrzą mi na ręce.

- Nie rozumiem twoich obaw. Realizuję operację zabezpieczającą. Są sygnały o planach destabilizacji... Musimy tylko sprawdzić kilka rzeczy.

- Z czyjego polecenia? - Nigdy nie słyszał podobnego tonu u „Barona”. - Zawsze byłem wobec ciebie lojalny, ale teraz nie mogę. Ta sprawa śmierdzi. Przecież nie masz już odpowiednich upoważnień, żeby się czymś takim zajmować. A na dodatek ten gówniarz węszy koło mnie!

- Jaki gówniarz? - zaciekawiał się Markiewicz.

- Jarosław Duda! Bezwzględny szczeniak. Dla kariery poświęciłby rodzoną matkę.

„I ojca” - dodał w myślach Konrad, a głośno rzekł:

- Majora Dudę pozostaw mnie, poradzę sobie...

- Majora? Nie wiesz nawet, że ostatnio awansowano go na podpułkownika.

Oczywiście wiedział, ale wolał nie zdradzać się z bliską zażyłością.

Chwilowo zrezygnował z próby mocniejszych nacisków. Zestrachany „Baron”, który mógł go wsypać, stawał się bardziej balastem niż pomocą.

- Dobra! - zakończył rozmowę. - Uznajmy, że do niczego między nami nie doszło. Nie informowałeś mnie o niczym, a sam też o niczym nie wiesz.

Na twarzy esbeka pojawiła się ulga.

- Ale jeśli myślisz, że w razie wyjścia na jaw moich „zainteresowań” tobie ujdzie to na sucho, to się grubo mylisz - dodał.

- Spokojna głowa, nikt się nie dowie!

Skreśliwszy „Barona”, postanowił odszukać Dudę. Jego syn przebywał już w Krakowie. Odpowiedzialny za bezpieczeństwo na

trasie pielgrzymki Jana Pawła II musiał pojawiać się w kolejnych miastach dzień przed papieżem.

Konrad wrócił więc na daczę i przez resztę popołudnia studiował rozmaite księgi o zamachach, sprawę Kennedy'ego i wnioski komisji Warrena, a także przywiezione z Zachodu dokumenty o metodach stosowanych przez KGB, GRU i Smiersz.

Późnym wieczorem w motelu Napoleon w Wawrze spotkał się z Griszą. Właściciel dał im ustronny pokoiik i nieograniczony dostęp do trunków.

Spotkanie nie przypominało tych z dawnych lat - choćby z tego powodu, że Markiewicz nie czuł się już na siłach tankować bez opamiętania, a i Ostapowicz wyraźnie się oszczędzał. Poza tym brakowało beztroski, tak charakterystycznej dla ich niegdysiejszych pogawędek. Widocznie rozczarowanie Kriuczkowa udzieliło się jego podkomendnemu. Ostapowicz był trochę zły i zdziwiony, że Markiewicz tak gwałtownie nalegał na spotkanie.

Całe szczęście, że Konrad znalazł doskonały pretekst - rozszerzenie działalności handlowej firmy męża jego byłej żony na ZSRR.

- Przepraszam za pośpiech, ale wybieram się na Mazury, a zaraz potem muszę jechać na Zachód - powiedział. - Wolałbym nie wracać z pustymi rękami.

Ostapowicz od razu się rozluźnił. Nie taił, że mimo doktrynalnych szlabanów także w ZSRR wysoko postawieni ludzie wykazywali gotowość wejścia w intratny biznes. Oprócz anten i magnetowidów interesowały go zwłaszcza komputery domowe. Do niedawna dostępne jedynie dla wtajemniczonych, w ciągu kilkunastu lat miały szansę stać się narzędziem codziennego użytku.

- A jaka to będzie wyгода dla naszych służb - rozmarzył się Rosjanin. - Identyfikacja przestępcy stanie się kwestią kilku uderzeń w klawisze.

- Ale jeśli władza nie zachowa monopolu na taki sprzęt, przestępcy zdobędą go równie prędko jak ona, a nawet ją wyprzedzą...

- zauważył Markiewicz.

Zmienił temat, chwilę rozmawiali o kobietach. Grisza opowiedział o romansie z młodą Chinką, a Konrad wypowiedział się na temat różnic w podejściu do problemów seksualnych między Polkami, Niemkami a Włoszkami.

- A jak oceniasz Rosjanki?

- Nie dysponuję odpowiednią wiedzą - skłamał generał. - Nie śmiałybym podrywać sojuszniczek.

- Pewnie już nie możesz?

- Mogę jak najbardziej! - zaprzeczył gwałtownie. - Tylko coraz rzadziej mi się chce. I jeśli już trzeba coś łapać, to wolę ryby. Å propos, wybieram się na kilka dni nad pewne ustronne jezioro. Może miałbyś ochotę wybrać się ze mną?

- Nie tym razem - Grisza pokręcił głową. - Zatrzymują mnie liczne obowiązki. Towarzyskie.

- Jak chcesz, towarzyszu.

Nieoczekiwanie zeszło na temat papieża, który po pracowitym dniu w Lublinie śpiewał i przekomarzał się w Tarnowie z młodzieżą zgromadzoną tłumnie przed jego rezydencją.

- Podobno następny papież będzie Murzynem - powiedział nagle Grisza.

- Co tu mówić o następnym, kiedy ten trzyma się całkiem nieźle.

- Jednak ludzie wierzą w tę przepowiednię - upierał się Ostapowicz, jakby kolejne konklawe było kwestią tygodni. - Murzyn, potem Piotr Rzymianin i bęc, koniec świata.

Markiewicz znał prorocstwo świętego Malachiasza, ale teraz chciał raczej słuchać niż mówić.

- Mnóstwo prorocत्व krąży po świecie - mruknął - a łączy je jedna wspólna cecha. Nigdy się nie sprawdzają.

- Fakt - zgodził się jego rozmówca. - Na przykład rzekome objawienia w Fatimie.

- Podobno ciągle są tajemnicą - rzekł generał.

- Nie dla wszystkich - odparł Rosjanin, dając do zrozumienia, że agenci KGB są wszędzie: w Fatimie, Watykanie, a może nawet w niebie. - Ale to rzeczywiście bzdury. Matka Boska poinformowała małą Łucję, że Związek Radziecki rozpadnie się jeszcze za jej życia, natomiast Rosja wróci w objęcia prawosławia. I co? Siedemdziesiąt lat mija...

- Ale siostra Łucja ciągle żyje! - zauważył przekornie Konrad.

- Mimo to nie daję jej szans na doczekanie wymarzonej epoki. A co do innych wizji - może sprawdzą się lepiej. Przepowiedziała przecież, że papież zginie w zamachu, tylko nie powiedziała, niestety, który...

- I tu też się nie zgadza. Ali Agca spaprał sprawę - pokiwał głową Markiewicz. - Więc czym tu się zajmować?

Nie miał wątpliwości, że stary znajomy go sonduje. Bada, czy po rozmowie z Kriuczkowem nie nabrał jakichś podejrzeń. Ale generała po trosze wrodzony, a po trosze wyuczony spryt strzegł przed wpadnięciem w taką pułapkę.

- Jest tyle przepowiedni, że co pewien czas któraś może przypadkiem okazać się trafna - ciągnął dalej. - Ale jeśli po Wojtyle ma być tylko dwóch papieży, a potem Sąd Ostateczny, to chyba w naszym, grzeszników, interesie leży, żeby Jan Paweł II pożył jak najdłużej. Zatem - jego zdrowie! - podniósł słabego drinka, w którym lód i woda zdecydowanie przeważały nad szkocką.

- I nas wszystkich! - uzupełnił Grisza.

10 czerwca 1987, środa

Konrad obudził się przed czwartą - całkowicie wypoczęty, mimo że spał zaledwie trzy godziny. Zauważał, że z wiekiem potrzebuje coraz mniej snu. I to go cieszyło. Więcej czasu pozostawało na życie. Ale co to za życie? Często z politowaniem obserwował ludzi młodych, wysypiających się do południa, przekonanych, że mają do dyspozycji niewyczerpane zasoby czasu, jakby ten był co najmniej dżunglą amazońską. Wystarczało tylko trochę pożyć, by zobaczyć, jak w miarę upływu lat czas przyspiesza, a ten zasób, który ewentualnie jest jeszcze przed nami, kurczy się szybciej niż las tropikalny.

Wszystko, czego potrzebował, zmieściło się w dwóch walizkach. Długa torba z wędkami czekała w przedpokoju. Wychodząc z domu, zastanawiał się, czy na wypadek gdyby nie wrócił, nie powinien zostawić jakiegoś listu. Tylko do kogo?

Do jednego z dwóch synów, którzy go nie akceptowali? Do sąsiadów, sprzątaczkę, pani Józefy, i jej męża opiekujących się domkiem?

A może do Boga i historii?

Drogi były o tej porze prawie puste. Parokrotnie upewniał się, czy nie towarzyszy mu jakiś ogon. Nic na to nie wskazywało.

Za Pomiechówkiem skręcił w las. Miał nadzieję, że pan Rysio należycie wywiązał się z powierzonego mu zadania. I się nie zawiodł. W umówionej szopie na skraju osady znalazł małego odraapanego fiata z łódzką rejestracją, odpowiadającą dokumentom jego właściciela - Ryszarda Nowaka zamieszkałego w Łodzi przy ulicy Kilińskiego.

Nowak był młodszym wcieleniem generała. Według wpisu w dowodzie liczył jedynie sześćdziesiąt lat. Na zdjęciu miał krótkie jasne włosy, płowy wąsik i wypukłe policzki (jak Marlon Brando

w *Ojcu chrzestnym*, użył odpowiednich wkładek). Całości obrazu dopełniały rogowe okulary z dużymi szklami.

Farbowanie włosów zajęło mu dwadzieścia minut. Gdzieś po drodze zamierzał się ostrzyć. Niegolony od tygodnia wąs wystarczyło jedynie wymodelować i rozjaśnić. Kiedy wyjechał na drogę, czuł się zupełnie innym człowiekiem.

Gdyby ktoś go zatrzymał, opowiedziałby doskonałą historyjkę: jest Polonusem z Kanady, gdzie się dorobił, niedawno wrócił do ojczyzny, żyje z kapitału, rozglądając się za jakimś interesem, który mógłby poprowadzić w kraju, a teraz jedzie do Trójmiasta z kompletem zaproszeń na wszystkie spotkania z Ojcem Świętym. Jeżeli chodzi o samochód, niespecjalnie pasujący do życiorysu, to Konrad przede wszystkim nie chciał rzucać się w oczy, a na wypadek komplikacji wymyślił opowieść o stłuczce ukochanego BMW i szybkim kupnie na giełdzie malucha, „bo czymś w końcu jeździć trzeba”.

Fryzjer w Ostródzie wykonał swoje zadanie zadowalająco. Generał, wjeżdżając wczesnym popołudniem do Gdańska, idealnie pasował więc do wizerunku z dokumentów.

Zatrzymał się we Wrzeszczu, z dala od trasy papieskich przejazdów. Lokal załatwił mu Ułanowicz dzięki swoim kościelnym kontaktom. Niekrępujący pokój z ubikacją i małą kuchenką miał własne wejście od podwórka, co zapewniało swobodę ruchów.

Generał przespał się godzinę, a potem ruszył do miasta, by przeprowadzić wizję lokalną.

Dojechał kolejką do dworca w Gdańsku, przeszedł pod stocznię, zachowując się jak typowy turysta i robiąc co chwila zdjęcia staromodną praktyką. Pod pomnikiem w kształcie trzech krzyży zwieńczonych kotwicami Polski Walczącej ukląkł na moment i symulował modlitwę. Praktycznie nie widać było mundurowej milicji (po co drażnić ludzi!), ale wszędzie wyczuwał dyskretną obecność służb. Zagadnął

pyszną łamaną polszczyzną jakiegoś tajniaka, który przez ułamek sekundy zachowywał się tak, jakby chciał uciec, i poprosił, żeby zrobił mu zdjęcie na tle historycznej bramy stoczni.

Funkcjonariusz w cywilu zgodził się nad wyraz chętnie, lekceważąc obowiązujący w PRL-u zakaz fotografowania wszystkiego o znaczeniu strategicznym.

- Tylko prosiłbym bardzo, żeby uchwycić cały napis: „Stocznia Gdańska im. Lenina” - postulował „Polonus”.

Tajniak wykonał zadanie i szybko oddał aparat. Markiewicz kontynuował zabawę:

- Był pan tu w 1980 roku?
- Oczywiście.
- Wewnątrz czy na zewnątrz? - naciskał.
- Na zewnątrz, ale pomagałem, jak mogłem.

Konrad wielkopańskim gestem wyciągnął z kieszeni dwa dolary i wręczył je funkcjonariuszowi, mówiąc:

- Wypij piwo za moje zdrowie, dobry człowieku.

Potem poszedł dalej. Dotarł do strzelistego wieżowca, w którym znajdował się hotel Heweliusz - obejrzał go dokładnie. Minął Dom Technika, w którym mieścił się trójmiejski NOT, i Stary Młyn. Zajrzał do kościoła Świętej Brygidy, gdzie trwało wieczorne nabożeństwo, a powietrze aż gęste było od patriotyczno-religijnej ekstazy. Później wszedł na teren Głównego Miasta.

Gdańska starówka, co wiedział z trzymanego w rękę przewodnika, składa się z trzech podstawowych części. Wczesnośredniowieczne Stare Miasto szło od Motławy, obejmując tereny dzisiejszego Starego Młyna. Zostało ono w 1308 roku zdradziecko zdobyte i zniszczone przez Krzyżaków, którzy nad brzegiem rzeki pobudowali Nowe Miasto. Rozebrano je po powrocie Gdańska pod berło Jagiellonów. Wcześniej - czterdzieści lat po krzyżackim

podboju - z inicjatywy komtura zaczęto lokować Główne Miasto, które rychło stało się dowodem zasobności i potęgi miejscowego mieszczaństwa. Tam wznosiła się późnogotycka katedra Najświętszej Marii Panny, jeden z największych kościołów w Polsce, renesansowy ratusz oraz Dwór Artusa przy Długim Targu ozdobionym słynną fontanną Neptuna.

Markiewicz bez pośpiechu obszedł te wszystkie miejsca, obserwując je pod kątem przydatności dla ewentualnego zamachowca. Przekonanie o tym, że zostanie zaatakowany papieski okręt, nie wykluczało rozważenia innej opcji. Wróg z pewnością nie zamierzał tym razem spaprać roboty i przygotował różne warianty.

Konrad doszedł do Zielonej Bramy, wspominając egzekucję korsarza Jan Martena, bohatera pirackiej sagi Janusza Meissnera, w której zaczytywał się jako młody oficer. Przeszedł pod gotyckim sklepieniem na drugą stronę i ruszył wzdłuż Motławy.

Odnalezienie umieszczonego na dnie ładunku, jeśli zamachowcy zdecydowali się na semtex lub jakiś gatunek wybuchowego plastiku, było absolutnie niemożliwe. A odnalezienie niewielkiego elektrycznego zapalnika, zapewne umieszczonego w jakiejś osłonie przeciwko wilgoci, graniczyło z cudem, jak odszukanie wyrzuconego do wody klucza. Zamachowiec mógł mieć jedynie problem z synchronizacją eksplozji. Ładunek należało zdetonować dokładnie w chwili, gdy statek z „Pielgrzymem” znajdzie się ponad bombą. Wykluczało to możliwość wysłania radiowego impulsu z oddalenia, pod znacznym kątem. Aby zyskać pewność stuprocentowej skuteczności, odpalający powinien znajdować się na wprost przepływającego okrętu. Dodatkowo musiał zadbać o dobrą osłonę, aby nie oberwać przy okazji eksplozji. Zapewne nie wmiesza się więc w tłum ludzi na nadbrzeżu. Konrad poszukał wzrokiem dogodnego stanowiska. Po prawej stronie Motławy ciągnęły się ruiny i stare składy - z pewnością zostały

starannie obsadzone przez Służbę Bezpieczeństwa - natomiast po lewej kamieniczki dochodziły wprost do wąskiego bulwaru, a w każdej z nich mogło kryć się stanowisko zabójcy, pod warunkiem że zmyliłby czujność służb lub... mieszka tam na stałe!

Rozejrzał się dookoła i poczuł dreszcz. *Deja vu!* Tak, znajduje się w jednym z miejsc widzianych we śnie. Tylko tam oglądał ten krajobraz już po katastrofie...

Postanowił zaufać intuicji. W najbliższej budce telefonicznej przejrzał książkę telefoniczną Gdańska. Szczęście mu sprzyjało. Pracownia architektoniczna Ernesta Volmera znajdowała się na Rybackim Pobrzeżu nieopodal Starego Żurawia.

- Bingo! - mruknął uradowany.

Ruszył obejrzeć obiekt. Dom o solidnej gotyckiej konstrukcji i niewielkich oknach stanowił doskonale miejsce dla ukrycia się przed podmuchem. Pracownia najprawdopodobniej mieściła się na mansardzie, a do budynku wchodziło się od tyłu. Skierował się ku kolejnej bramie i prawie zderzył się z kobietą idącą z naprzeciwka.

Nieomal wypuścił z rąk aparat.

Bettina Kolman już była w Gdańsku i znalazła się dokładnie w tym samym miejscu. Jeszcze jeden przypadek?

Niemiecka dziennikarka skończyła rozpoznanie terenu. Nie rozglądając się, przeszła kawałek nadbrzeżem, a następnie skręciła w labirynt uliczek. Doskonale widział jej jasną sukienkę, mimo że wieczorne cienie zaczęły już wypełniać gdańskie zaułki.

Pozwolił kobiecie się wysforować i zachowując dystans, podążył za nią. Miał nadzieję, że go nie zauważy. Zmieniał strony ulic, na straganie kupił słomkowy kapelusz, w którymś momencie zdjęł marynarkę.

Śledził ją aż do hotelu Heweliusz, do którego weszła. Potwierdziło się to, co wiedział wcześniej - zarezerwowano tam dla niej

pokój. Z recepcji zadzwonił do przebywającej w Krakowie Gellmanówny i poprosił ją o szybki przyjazd do Gdańska. Sam nie mógł dopilnować wszystkiego. Chociaż spotkanie Bettiny z zamachowcem tego wieczora wydawało się mało prawdopodobne. Mimo poczucia bezkarności z pewnością przestrzegali zasad konspiracji.

Czuł się bardzo zmęczony, złapał jednak pod dworcem taksówkę i pojechał do Gdyni. Późnym wieczorem dotarł do Sopotu i przemierzył bulwar Bohaterów Monte Cassino. W powietrzu czuło się już atmosferę święta i oczekiwania na papieża. Ale oko profesjonalisty zauważyło stan większego napięcia niż w Warszawie. Widział patrole z psami obwąchującymi wejścia do studzienek kanalizacyjnych, cienie komandosów na dachach. Na motorze przemknął mężczyzna, w którym rozpoznał szefa jednostki antyterrorystycznej - pewnie samotnie wyruszył na inspekcję miasta. Czyżby i jego niepokoiły złe przeczucia?

Do hotelu wrócił koło drugiej. Zapadł w głęboki sen.

11 czerwca 1987, czwartek

Markiewicz nie znał się na teologii. Miał jednak całkiem niezłe pojęcie o strategii. I potrafił docenić fachowca z konkurencji. Jan Paweł II podczas tej pielgrzymki zachowywał się jak dowódca armii dokonujący przeglądu swoich hufców. Konrad nie mógł wprawdzie śledzić wszystkich manewrów na bieżąco, ale oglądał skrót w *Dzienniku telewizyjnym*, a przede wszystkim uważnie czytał gazety.

W Warszawie papież spotkał się ze swoimi jednostkami elitarnymi - księżmi oraz zakonnikami. W Lublinie przemawiał do kadr naukowych, w Tarnowie dokonał przeglądu ludu bożego z konserwatywnej i tradycyjnie przywiązanej do wiary Polski

Południowo-Wschodniej. Przy okazji uczcił godność polskiej kobiety, wynosząc na ołtarze błogosławioną Karolinę Kózkównę. W Krakowie znalazł się u siebie, wśród starej gwardii wiernych z własnej metropolii i tchnął życie w tłumy młodzieży zebranej na Błoniach. W Szczecinie postawił na rodzinę - podstawową komórkę jego organizacji - a jeśli idzie o Trójmiasto... W Gdańsku znalazły się jego najcięższe dywizje, przybyło tu wszak całe pospolite ruszenie klasy robotniczej. Tak! Nic w tej wędrówce nie było przypadkowe. Ziarna dostosowywano do gleby. Kadry naukowe polskich uczelni, tych powszednich świętyń konformizmu, zostały zachęczone do dawania świadectwa prawdzie i walki o podmiotowość człowieka. W Lublinie, gdzie - jak łatwo zauważyć - Wschód styka się z Zachodem, papież apelował: „Uniwersytecie! [...] Służ Prawdzie! Jeśli służysz Prawdzie - służysz Wolności. Wyzwalaniu człowieka i narodu. Służysz Życiu!”.

Konrad nie ulegał wzruszeniom religijnym, jednak polityczny ładunek tych słów robił na nim wrażenie. Zastanawiał się, co dzieje się teraz w duszach wszystkich karierowiczów, donosicieli, kapuśków, jeśli zachowali choć trochę wiary z dzieciństwa. Może nadal się oszukiwali, tłumacząc sobie, że całe życie służyli prawdzie (oczywiście, jeżeli warunki na to pozwalały). Słyszał w wypowiedziach mówcy również to, czego Karol Wojtyła nie mówił, ale co docierało między wierszami - jego postawa, barwa głosu i kontekst skłaniały do wytrwania przy wartościach chrześcijańskich, niezłomnej wiary w istnienie lepszego świata, bez przemocy i nienawiści...

Nagle przypomniał mu się ojciec, który też odwoływał się do lepszego świata, ale uważał, że można stworzyć go wyłącznie przy użyciu siły, eliminując tych, którzy się sprzeciwiali. Jakże destruktywny wpływ wywierała ożywiająca prymitywne masy wizja równości, w myśl hasła: „Grab zagrabione!”

Pamiętał też inne słowa starego kolejarza: Jezus Chrystus, gdyby istniał naprawdę, z pewnością byłby komunistą". Wiele lat podzielał to przekonanie. W końcu podobnie uważali towarzysze z Ameryki Łacińskiej, zwolennicy teologii wyzwolenia. Dziś jednak pojmował różnicę. Apostołowie Lenina pragnęli budować lepszy świat, odwołując się do najgorszych cech człowieka. Apostołowie Chrystusa - do najlepszych.

Okolo południa przyleciała z Krakowa Wiesia Gellman - pod ogromnym wrażeniem spotkań z papieżem.

- Chyba na stare lata zapiszę się do kółka różańcowego! - mówiła. - Ten człowiek ma w sobie coś z gwiazdora filmowego. Nie wyobrażasz sobie, jak na tej Franciszkańskiej 3 radził sobie z młodzieżą, jak żartował i śpiewał. Co za kapitalny dystans do siebie i ta nadzwyczajna umiejętność łapania kontaktu. Czy ktoś z naszych przywódców by tak potrafił? Messner? Czyrek?

Konrad dał jej jedno zadanie: nie spuszczać z oka Bettiny Kolman. I stara ubeczka przykleiła się do Niemki jak rzep. Bezcelnie przysiadła się do niej w kawiarni, towarzyszyła na briefingu dla dziennikarzy - wieczorem obie panie mogły uchodzić za przyjaciółki. Niestety, dawna terrorystka wprawdzie tolerowała towarzystwo Polki, ale aż do wieczora nie wykonała ani jednego podejrzanego ruchu. Kiedy zaś Gellmanówna zasugerowała wspólny wyjazd do Gdyni, Bettina wymówiła się od udziału w celebrze. Twierdziła, że bardziej od homilii papieskich interesują ją opinie ludzi, przygotowuje bowiem cykl wywiadów dla prasy niemieckiej. Na wieczór umówiła się z adwentystą i grekokatolikiem, ale według Wiesławy nie należeli oni do ludzi z jej branży.

Msza w Gdyni - na skwerze Kościuszki - dla ludzi morza stanowiła pierwsze od lat nabożeństwo, w którym uczestniczył Markiewicz. Z pewnym zdziwieniem zauważył, że obecność setek

tysięcy rozmodlonych ludzi wokół niego wcale mu nie przeszkadza. Przeciwnie - symulując zachowania religijne, żegnając się i klękając w odpowiednich momentach, a także poruszając ustami tak jak inni - doświadczał miłej, pozytywnej energii, która zespałała zgromadzonych. Przekazując znak pokoju, uściśnął rękę ślicznej dziewczyny z prawej, która w odpowiednim stroju i z makijażem bez trudu mogłaby znaleźć się w gronie finalistek Miss Polski, oraz wąsatego staruszka z lewej, sądząc po dzwoniących na piersi orderach - weterana wszelkich możliwych bojów, od cudu nad Wisłą poczynając.

„Mógłby być moim ojcem” - pomyślał Markiewicz.

Papież przemawiał, a słowa - choć powinny drażnić wyznawcę walki klas - dziś budziły w nim tylko głębokie zastanowienie:

- Czy przyszłość, lepsza przyszłość, może wyrosnąć z narastania różnic i przeciwieństw na drodze wzajemnej walki? Walki sytemu przeciw systemowi, narodu przeciw narodowi - wreszcie: człowieka przeciwko człowiekowi! W imię przyszłości człowieka i ludzkości trzeba było wypowiedzieć to słowo „solidarność”. Dziś płynie ono szeroką falą poprzez świat, który rozumie, że nie możemy żyć wedle zasady: „wszyscy przeciw wszystkim”, ale tylko wedle zasady: „wszyscy z wszystkimi”, „wszyscy dla wszystkich”.

„Ale spryciarz - pomyślał Markiewicz. - Tak to zręcznie konstruuje, niby mówi o solidarności międzynarodowej w taki sposób, że nawet w Moskwie nie mogliby mu niczego zarzucić, a każdy wie, że myśli o nielegalnym związku zawodowym”.

- Bo co to znaczy solidarność? Solidarność to znaczy sposób bytowania wielości ludzkiej, na przykład narodu, w jedności, w uszowaniu wszystkich różnic, wszystkich odmienności, jakie pomiędzy ludźmi zachodzą, a więc jedność w wielości, a więc pluralizm, to wszystko mieści się w pojęciu solidarności. [...] Powiedziałem:

solidarność musi iść przed walką. Dopowiem: solidarność również wyzwala walkę. Ale nie jest to nigdy walka przeciw drugiemu.

„Naiwny idealizm! - podsumował w duchu Konrad. - Lew obok jagnięcia, ofiara wybacząca katu. Przecież ten pokorny, zgromadzony dookoła lud boży, gdyby tylko dano mu taką możliwość, pokazałby, jak wygląda w praktyce hasło: «Miłujcie nieprzyjaciół wasze». I trudno się temu dziwić”.

Imaginacja generała podsunęła mu obrazy „Dnia Gniewu” - dziesiątki latarń z wiszącymi na nich esbekami i sekretarzami partii, procesy polityczne, na których kuronie i michniki wysyłaliby Jaruzelskich i kiszczaków pod mur, a wytarzanego w pierzu i smole Urbana popędzono by Nowym Światem i Krakowskim Przedmieściem wśród śmiechów gawiedzi. W takich momentach cieszył się, że istnieje silna władza, wojsko i policja, gwarancja stabilności i bezpieczeństwa. I wiedział, że jego zdanie podziela znaczna część rodaków. Mniejsze zło było znane, a przyszłość tak niewiadoma i niebezpieczna... Na szczęście, mimo krasomówczego talentu Świątobliwego Męża, nie zdarzy się okazja, by przetestować to na żywo.

Po tej konstatacji mniej przejmował się reakcjami tłumu. Skupił się na swoich myślach dotyczących następnego dnia, świadomy, że stawką w tej zbliżającej się grze jest nie tylko życie jego i papieża, ale także stabilność Polski i całego bloku wschodniego, w którym żył od ponad czterech dekad.

*

Wieczorem komunistyczna władza musiała przełknąć jeszcze jedną gorzką pigułkę. W rezydencji oliwskiej na prośbę Karola Wojtyły odbyło się prywatne spotkanie papieża z Lechem Wałęsą i jego rodziną. Władza mogła się tylko pocieszać, że rozmowa, która rozpoczęła się o 23.09, trwała, jak policzyli skrupulatni esbecy

informatory, jedynie dwanaście minut. W tym czasie generał zdążył odebrać informacje od Wiesi Gellman, wykapać się i zasnąć snem sprawiedliwego.

12 czerwca 1987, piątek

Kolejny dzień pielgrzymki papieskiej zaczął się wcześniej, dla niektórych bardzo wcześniej. Młodzież ściągnęła na Westerplatte jeszcze przed świtem. Jan Paweł II był na nogach niedługo później. O 7.50 rozpoczął zwiedzanie katedry w Oliwie, gdzie spotkał się z intelektualistami i modlił przed Najświętszym Sakramentem. Stamtąd pojechał do Sopotu i o 8.25 na pokładzie okrętu marynarki wojennej wyruszył na Westerplatte. O tej porze Markiewicz dotarł do centrum Gdańska. W ciągu lat wyćwiczył umiejętność panowania nad nerwami, dlatego spał wyjątkowo dobrze i przystępował do akcji wypoczęty i skupiony. Zmienił ubranie i okulary, wziął pod pachę cienką aktówkę i po chwili wyglądał jak funkcjonariusz w cywilu. Na Starym Mieście znalazł się grubo przed czasem, ale bał się, żeby jakieś utrudnienia komunikacyjne nie odcięły go od obiektu, który stanowił jego cel. Nie chciał jednak wkroczyć zbyt wcześnie, aby nie splotać przeciwnika.

Nie wiedział nic na temat alternatywnych planów ataku. Nie udało mu się też ustalić, czy zamachowiec przebywa w mieszkaniu. Czy nocował w pracowni? Wieczorem na mansardzie było ciemno... Konrad przeprowadził rozmowę z cieciem, okazując jedną ze swoich esbeckich legitymacji. Gospodarz domu potwierdził, że Volmer wyjechał, ale do pracowni mieli dostęp jego gdańscy partnerzy.

- Oczywiście, lokal został skontrolowany - zapewnił.

W to generał nie wątpił, z pewnością też funkcjonariusze niczego podejrzanego nie znaleźli.

Punktualnie o dziewiątej odległy salut artyleryjski potwierdził przybycie papieża na Westerplatte. Markiewicz obejrzał znaczną część uroczystości na ekranie telewizora wystawionego w witrynie sklepu przy Podwalu Staromiejskim.

Zalesione wzgórze, pomnik, kilkanaście tysięcy młodzieży z transparentami Solidarności (nie wszystkie udało się skonfiskować) i daszek z papieskim herbem, rozpięty jak żagiel.

Homilia papieża skierowana do tych młodych ludzi, nawet jeśli słuchał jej człowiek niewierzący, okazała się porywająca, a metafora - wybrana wspaniale: „I to miejsce jest także świadkiem wielkiego działania Boga przez ludzi. Wiemy, że tu, na tym miejscu, na Westerplatte, we wrześniu 1939 roku, grupa młodych Polaków, żołnierzy, pod dowództwem majora Henryka Sucharskiego, trwała ze szlachetnym uporem, podejmując nierówną walkę z najeźdźcą. Walkę bohaterską. Pozostali w pamięci narodu jako wymowny symbol. Trzeba, ażeby ten symbol wciąż przemawiał, ażeby stanowił wyzwanie dla coraz nowych ludzi i pokoleń Polaków. Każdy z was, młodzi przyjaciele, znajduje też w życiu jakieś swoje «Westerplatte». Jakiś wymiar zadań, które musi podjąć i wypełnić. Jakąś słuszną sprawę, o którą nie można nie walczyć. Jakiś obowiązek, powinność, od której nie można się uchylić. Nie można «zdezerterować»”.

Na szybko obok siebie Konrad widział twarze ludzi, którzy wraz z nim słuchali homilii. Urósł tłum twarzy jasnych, skupionych, świadomie pięknych i - niezależnie od pospolitych rysów - mądrych.

Czy był to cud na miarę tego, który wydarzył się w wieczniku w dzień Zesłania Ducha Świętego, kiedy grupa prostych rybaków, celników, rzemieślników przeobraziła się w poliglotycznych kaznodziejów i agitatorów niosących płomień wiary?

Oczywiście, wiedział, że dla wielu zgromadzonych to dzisiejsze ożywienie skończy się z wyjazdem papieża, ale dla jakiejś części? I czy

w chwili, kiedy powstanie (a prędzej czy później powstanie) dylemat - ustąpić czy wytrwać - przypomną sobie słowa z tego poranka?

Zastanawiał się, jak zostanie to opisane w raportach resortowych ideologów, co wymyślą mądrale rozpracowujący Kościół, żeby zadowolić partyjną górę, z Biurem Politycznym na czele? Że papież w historycznym miejscu nawoływał młodzież do patriotyzmu, w obliczu zagrożeń stwarzanych przez zachodnioniemieckich odwetowców? Oby.

Dotrwał do końca transmisji, a potem z budki telefonicznej zadzwonił do Gellmanówny. Jej podopieczna Bettina nadal nie ruszała się z hotelu, kontynuując wywiady z duchownymi i świeckimi. Poprosił Wiesię, by robiła swoje, po czym ruszył tam, gdzie czekało jego małe Westerplatte.

*

W pobliżu Motławy gromadziło się coraz więcej ludzi, dawała się też zauważyć aktywność służb porządkowych, kontrolujących dostęp do drogi pielgrzyma. Konrada usiłowano sprawdzić tylko raz - w drodze na podwórko domu architekta zagroził mu drogę członek straży papieskich, ale Markiewicz machnął tylko swoją legitymacją i rzucił:

- Służba Bezpieczeństwa! - Zrobiło to na pocziwym „ochroniarzu Pana Boga” porażające wrażenie. I dobrze! W planie Markiewicza mężczyzna w żółtym pierożku na głowie odgrywał poważną rolę, tak jak dwóch safandulowato wyglądających mundurowych, którzy pojawili się w polu widzenia. Podszedł do nich energicznie, nie pozostawiając czasu na namysł.

- Zajączkowski, Wydział Kontroli - mruknął niewyraźnie.
- Potrzebuję wsparcia, towarzysze. Trzeba skontrolować jeden lokal. Otrzymaliśmy doniesienie...

- To może poprosimy o posiłki - zaproponował lekko spietrany młody chłopak z belkami plutonowego.

- Nie, nie, w grę wchodzi antypaństwowe ulotki, a nie akcja Czarne Wrzesnia - zażartował generał.

Poszli we czterech, cieć otworzył przepisowo zamkniętą klatkę schodową.

- Skąd przyjechaliście? - zapytał funkcjonariuszy Konrad. - Bo chyba jesteście nietutejsi?

Z Bartoszy - odparli.

Kazał zadzwonić facetowi w żółtym pierożku z herbem papie-skim, on i milicjanci stanęli z boku, poza zasięgiem wizjera. Za-stanawiał się, co zrobi, jeśli nikt się nie odezwie albo - co gorsza - użytkownik puści serię z automatu przez zamknięte drzwi. Jedne-go był pewien - detonacja ładunku nie wchodziła w grę, papieża spodziewano się najwcześniej za pół godziny.

- Kto tam? - odezwał się ktoś po drugiej stronie.

- Służba papieska. Sprawdzamy mieszkania. Proszę nas wpuścić.

- Były już dwie kontrole.

- My tylko na chwilę. - W polu widzenia pojawił się również milicjant.

Zazgrzytał klucz i po chwili ukazał się najwyżej trzydziestoletni, krótko ostrzyżony mężczyzna. Typ sportowca albo komandosa ze zdrowym przewodem pokarmowym. Nie wydawał się przestraszony z powodu pojawienia się intruzów. Ale, jak zauważył Konrad, nie wyjmował ręki z kieszeni kurtki, którą - mimo bardzo ciepłego dnia - narzucił na bawełniany podkoszulek.

- Co chcecie kontrolować? Okna, wyjdźcie na dach? - zapytał.

- Na dachu są nasi ludzie - odparł generał, przeciskając się do przodu. - To tylko rutynowe sprawdzenie. Zawieruszyło nam się

kilku wichrzycieli z ulotkami... Rozumiem, że nie ma pan żadnych gości, panie... - zajrzał na listę lokatorów skopiowaną poprzedniego dnia - panie Volmer...

- Proszę sprawdzić - uśmiechnął się szeroko.

Generał skinął policjantom, a ci rozbiegli się po mieszkaniu.

- To pańska pracownia?

- Stryja. Teraz jest na wczasach, a ja opiekuję się mieszkaniem.

- Mógłbym zobaczyć pańskie dokumenty?

- Proszę bardzo - wyciągnął paszport Bundesrepubliki wydany na Zygryda Volmera z Bremy. Jeśli dokument został podrobiony, to w znakomity sposób.

- Świetnie mówi pan po polsku - powiedział Konrad.

- Moja mama jest Polką, a ja ostatnio spędzam więcej czasu w Gdańsku niż w Bremie - odparł Volmer.

W międzyczasie policjanci zajrzeli do szaf i innych zakamarków.

- Lokal jest czysty! - zameldowali.

- W takim razie dziękujemy i przepraszamy - powiedział Markiewicz i ucisnął suchą, silną dłoń Zygryda. W oczach młodego człowieka pojawił się błysk satysfakcji... - A przepraszam, jeszcze jedno, czy mógłbym skorzystać z toalety?

- Oczywiście, pierwsze drzwi na prawo.

Zrobił co trzeba, spuścił wodę. Kątem oka zauważył spakowany plecak, wciśnięty za wannę. Najwyraźniej młodzian był gotowy do ewakuacji natychmiast po wykonaniu zadania.

- Jeszcze raz przepraszamy - powiedział, wychodząc. - Ale wy, Niemcy, wiecie chyba najlepiej, co to przepisy.

Zygryd uśmiechnął się i nie skomentował tej uwagi.

- Idziemy dalej! - rzucił Markiewicz do swej zaimprovizowanej asysty, nim jeszcze na dobre zamknęły się drzwi od pracowni. Zeszli na dół.

- Czasami i my dostajemy fałszywe doniesienia - rzekł przy wyjściu. Zauważył uśmiech na twarzy mężczyzny w papieskim pierożku. Drań z pewnością sprzyjał podziemi. - Dziękuję, towarzysze - powiedział, podając im rękę, i naraz zrobił głupią minę.

- O, cholera... Zostawiłem na górze moją aktówkę.

- Mamy iść z panem? - zapytał plutonowy z Bartoszczyk.

- Nie trzeba. Wracajcie do swoich zadań i pilnujcie, żeby nie kręcił się tu nikt nieuprawniony.

Poszedł na górę. I ponownie zastukał.

- O co chodzi?! - tym razem Volmer nie otwierał drzwi.

- Przepraszam za moje gapiostwo. Zostawiłem u pana moją aktówkę. Ścisłe tajną! - dorzucił.

Drzwi się otworzyły.

- Nie widzę, żeby coś zostało - powiedział Zygfryd, omiatając nieufnym wzrokiem przybysza.

- Musiałem chyba odłożyć w łazience na umywalkę.

- Sprawdź - powiedział byczek i zajrzał do toalety. - Rzeczywiście, jest!

Konrad miał nadzieję, że młody człowiek nie zaglądał do aktówki. Choć poza mapą Gdańska i materiałami prasowymi od Gellmanówny znajdowała się tam jedynie lista lokatorów. Wyjął pióro, by zamasyżować postawić ptaszka przy nazwisku „Volmer”.

- Może mi pan to potrzymać?

- Proszę - Volmer gotów był na wiele, byle tylko esbek już sobie poszedł. By pomóc, musiał jednak wyjąć drugą rękę z kieszeni. W tym momencie Konrad wbił igłę ukrytą w stalówce w jego przedramię i nacisnął tłoczek.

- Co pan robi?! - krzyknął Volmer.

W drugiej ręce generała pojawiła się splota.

- Tylko spokojnie. Wypełniam swoje obowiązki.

- Ale o co chodzi?! Jestem zwyczajnym turystą! - Zygfryd chciał zrobić krok w stronę generała, ale zatoczył się i upadł na kanapę. - Co pan mi wstrzyknął?

- Alkaloid. Dość mocny. Chociaż wyznam, nie znam jego wzoru chemicznego. W każdym razie bez podania antidotum umrze pan w ciągu godziny... Najpierw wystąpi paraliż. Czuje pan mrowienie?

- Jesteś szaleńcem! - w oczach Niemca pojawiła się autentyczna trwoga.

- Ja nie, ale ten, kto zamierza zabić Ojca Świętego, raczej tak. Przecież wiadomo, że Opatrzność na to nie pozwoli.

Spodziewał się, że Volmer zaprzeczy i dalej będzie przekonywał, że zaszła pomyłka, ale w młodym człowieku zwyciężył instynkt samozachowawczy.

- Do cholery, masz to antidotum? - wystękał.

- Mam - Markiewicz wyjął z kieszeni strzykawkę i ampułkę.

- Szybciej! Na Boga!

- Pośpiech zależy od zadowalających odpowiedzi na moje pytania. Przede wszystkim chcę zobaczyć nadajnik od detonatora.

- Nic nie wiem o żadnym nadajniku.

- W takim razie poczekamy. Ja się nie spieszę. Ty powinienes. Dam sobie rękę uciąć, że paraliż dopadnie cię wcześniej, niż Jan Paweł II wpłynie w Motławę.

Niemiec zacisnął zęby. Szkolono go, by wytrzymał wiele, ale nie spodziewał się aż takiej próby. Na czoło wystąpiły mu krople potu. Potem pojawiły się drgawki. Pękł po pięciu minutach.

- W kieszeni mojej kurtki - wybełkotał. Dawają o sobie znać coraz większe trudności z mową. - Sam wyjmij, bo mi się ręce trzęsą.

Markiewicz wiedział, że może chodzić o pułapkę. Przeciwnik wprawdzie osłabiony, ale ciągle pozostawał groźny.

- Powoli zdejmij kurtkę i połóż ją obok siebie - polecił.

Zygfryd spełnił żądanie jedynie połowicznie - kiedy ściągnął kurtkę, rzucił ją Konradowi na rękę z pistoletem. A sam zaszarżował głową do przodu.

Gdyby nie alkaloid, Konrad z młodszym o ćwierć wieku przeciwnikiem nie miałby szans. Wprawdzie przewrócili się obaj, ale generał nie wypuścił pistoletu. I kiedy palce Niemca zacisnęły się na jego szyi, dźgnął go w żebra.

- Strzelić? - wysyczał.

Zrobiłby to tylko w ostateczności. Huk był ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował. Na szczęście właśnie kolejna fala bólu zaatakowała Volmera. Puścił gardło Konrada i osunął się w drgawkach, wyjął:

- Antidotum!!!

- Jesteś niegrzecznym chłopcem - powiedział Markiewicz. Przetrzęsął kieszenie kurtki i zobaczył nadajnik z dwoma przyciskami i lampką, która jeszcze się nie paliła.

- Jak to działa? - zapytał. I zaczął bawić się strzykawką.

Mężczyznę musiało boleć jak cholera.

- Pierwszy uzbraja, drugi detonuje - wycharczał.

- Kto cię ubezpiecza?

- Nikt.

- Kłamiesz. Widziałem Bettinę Kolman.

Nazwisko nie zrobiło na Volmerze żadnego wrażenia. Nadzorowała go, być może, bez jego wiedzy.

- Naprawdę nie kontaktuję się z nikim. Dostałem polecenie przybycia tu i wykonania określonej roboty. Za dobrą kasę.

- Imię, nazwisko, stopień i przydział.

- Zygfryd Volmer.

- Zła odpowiedź. - Odłożył strzykawkę na stół kreślarski i wstał.

- Wasilij Pawłow. Starszy lejtnant rezerwy.
- GRU?
- Zostałem przeniesiony do cywila. Wolny strzelec. Mieszkam

w Berlinie.

Jego twarz robiła się coraz bledsza, oddychał z trudem.

- Od kogo dostajesz zlecenia?
- Nie znam... Nazywa się Jurij.
- A nazwisko?
- Nie podał nazwiska.

Zaczął wymiotować. Markiewicz nieomal mu współczuł, ale taką miał pracę. Naciskał więc dalej:

- Co miałeś zrobić po wykonaniu zadania?
- Kolejka do Pruszcza, tam samochód... - wyrzucał z siebie słowa, patrząc łapczywie, jak Konrad znów sięga po zbawczą strzykawkę.

Konrad wbił mu igłę w ramię i opróżnił zbiorniczek do połowy.

- Daj wszystko! Do końca! - wyjęczał prośbę Wasilij.
- Dam wszystko, gdy dowiem się wszystkiego. Wariant awaryjny!
- Nie rozumiem.
- Jaki jest plan awaryjny? Co by było, gdyby ładunek nie odpalił, a cel uszedł z życiem?
- Ktoś poprawi - wycedził z mściwą satysfakcją.
- Kto?
- Nie wiem. I nie chcę wiedzieć.
- Kiedy będzie ta poprawka? Dziś?
- Może dziś... Nie wiem.

Chyba nie kłamał. Pragmatyczne działania przy tego rodzaju indywidualnych akcjach wymuszały, aby realizatorzy nie znali się osobiście. Markiewicz miał do Pawłowa jeszcze dużo pytań, ale

trucizna robiła swoje. Opróżnił do końca strzykawkę. Nie mógł uratować życia zabójcy, ale mógł sprawić, by mniej cierpiał. Poza tym drugi zastrzyk niwelował ślady trucizny - to na wypadek, gdyby poddano jego ciało sekcji.

Pawłów chyba zrozumiał, że nic nie jest w stanie go uratować. Zauważył wprawdzie, że ból minął, ale paraliż ciała się pogłębiał. Jako ostatnie słowo wyrzucił z siebie mocne rosyjskie przekleństwo.

Konrad nie marnował czasu. Zajrzał do szafy i jego uwagę przykuł wiszący tam obszarpany chlebak, zupełnie niepasujący do schludnego Niemca.

Wewnątrz znalazł, oprócz przyborów do golenia i kompletu bielizny na zmianę, Biblię po łacinie i plik ulotek reklamujących Bractwo Kapłańskie Świętego Piusa X.

Nie znał tej organizacji, ale w tekście po francusku przeczytał informację o założycielu i przywódcy bractwa - Marcelu Lefebvrze. Niedoszły zamachowiec z Fatimy też był lefebrystą. W bocznej kieszonce znalazł paszport, z którego wyczytał następujące dane: Emile Maçon, pięćdziesiąt dwa lata, Belg urodzony w Lille. Co ciekawe, zdjęcie przedstawiało człowieka o okrągłej twarzy i z koloratką na szyi, który w najmniejszym stopniu nie przypominał Pawłowa. Ale na tym nie koniec. W chlebaku znalazł też coś twardego. Wyciągnął ostrożnie. Wyścielane pudeleczek - idealne opakowanie na nadajnik detonatora... Czy chlebak należał do drugiego zamachowca, czy może kozła ofiarnego, który miał skierować przyszłe śledztwo na fałszywe tory?

Tymczasem za oknem narastały śpiewy i oklaski. Zza zakrętu wyłonił się statek z tłumem duchownych na pokładzie. Grupę w centralnej części pokładu zdominowała jasna sylwetka Jana Pawła II. Konrad dostrzegł też chudą postać kardynała Macharskiego i korpulentną figurę arcybiskupa Gocłowskiego. Stali tam również

watykański sekretarz stanu Agostino Casaroli, prymas Józef Glemp i dziesięciu innych hierarchów Kościoła Katolickiego. Spoglądając przez okno, miał wrażenie, że człowiek w bieli, przepływając obok niego, ponad zagrzebanym w mule śmiercionośnym ładunkiem, odwrócił głowę. Może nawet zauważył Konrada? W każdym razie wykonał w jego kierunku gest krzyża.

Przez moment Markiewicz bał się, że gdzieś niedaleko, bliżej Zielonej Bramy, znajduje się ktoś dysponujący drugim pilotem, gotowy naprawić ewentualną fuszerkę Wasilija. Jednak nic się nie wydarzyło. Papież cały i zdrowy zszedł na ląd i pospieszył na spotkanie z chorymi.

Markiewicz odwrócił się i spojrzał na Pawłowa. Martwy terrorysta leżał z wybałuszonymi oczami skierowanymi w jego stronę. Bywał!

Ułożył go na kanapie, wziął aktówkę i paszport Belga i zamknął drzwi na klucz. Miał nadzieję, że minie dużo czasu, zanim ktoś znajdzie ciało tego mężczyzny, a żaden patolog nie dopatry się w jego śmierci niczego nadzwyczajnego. Na podwórku nie zauważył ani milicjantów, ani strażnika. Lekko pochyliwszy głowę, wyszedł na rozświetloną ulicę.

*

Papież przesiadł się do papamobilu przy Zielonej Bramie dokładnie o 11.33. Dwanaście minut później znajdował się już pośród chorych w bazylice Mariackiej. Jeśli podejrzenia Markiewicza były słuszne, pozostała mu najwyżej godzina na udaremnienie kolejnego zamachu (pod warunkiem że i tym razem intuicja go nie zawiodła). Prawie kwadrans zajęło mu przedzieranie się przez gęsty tłum do ratusza. Konrad - mimo że niewierzący - modlił się, żeby Duda tam był. Ale gdzie miałby się znajdować jak nie w sztabie operacji?

Podpułkownik wyszedł z centrum niechętnie, podane przez dyżurnego nazwisko pułkownika Zajączkowskiego, który pilnie chciał go zobaczyć, nic mu nie mówiło.

- To ty? - omal nie parsknął śmiechem na widok ojca. - Co ci przyszło do głowy, żeby tak się przebierać?

- Szkoda czasu na opowieści! - odparł zniecierpliwiony Konrad. - Przed chwilą udaremniłem zamach na Wojtyłę. W ciągu godziny może być następny.

- Jaki zamach? Co ty gadasz?

Pokazał mu radiowy nadajnik. Jarosław natychmiast spowaźniał.

- Jeśli nie wierzysz, mogę nawet stąd zdetonować ładunek, ale wówczas spory kawał Głównego Miasta wróci do stanu, w jakim zostawili go radzieccy wyzwoliciele. W każdym razie lepiej będzie, jak po pielgrzymce saperzy zbadają staranniej dno Motławy. Masz tu jakiś samochód?

- Mam coś lepszego: cały oddział antyterrorystów. - Duda rozglądał się zdezorientowany, jakby szukał jakiegoś przełożonego mogącego zdjąć ciężar, który naraz spadł na niego.

- Zostaw antyterrorystów w spokoju. Nikomu nie można ufać! Jeśli zamachowcy wyniuchają, że o nich wiemy, przeniosą atak w inne miejsce. - Wiedział, że przekona Dudę, mówiąc wyłącznie otwartym tekstem. - To poważna operacja skierowana przeciwko kierownictwu naszej partii, a pośrednio Gorbaczowowi...

- Tym bardziej trzeba wezwać...

- Zaufaj mojemu doświadczeniu, Jarek. Jeśli jesteś pewien, kto gra w czyjej drużynie, ogłoś alarm. Ja nie jestem. Przeciwnie - daję głowę, że mają swoich ludzi wśród nas. W tej chwili trzeba uratować papieża.

- Niewątpliwie. Wiesz, gdzie może być ten zamach?

- Domyślam się. Potrzebujemy wozu.

- Dokąd mielibyśmy jechać?
- Do hotelu Heweliusz.

Duda popatrzył na ojca z podziwem.

- Samochód w takim tłoku nie jest najlepszym środkiem komunikacji - rzekł - ale w bramie zostawiłem mój motor. Jeśli nie boisz się wsiąść za mną na siodelko, to zapraszam.

- W porządku. Już dawno powinienem zacząć nadrabiać zaniedbania z dzieciństwa.

Motor czekał na swoim miejscu. Pojechali Długą, zwinnie manewrując między grupkami ludzi, i szybko wydostali się z obrębu murów.

- Skąd ci przyszedł do głowy akurat Heweliusz? - zapytał Jarosław, gdy znaleźli się na miejscu. - Kontrolowaliśmy go ze sto razy.

Cisnęło mu się na usta, że widział jego cień w swoim śnie, ale nie chciał, żeby syn uznał go za wariata. Podał wersję pomocniczą.

- Dzięki *Człowiekowi z żelaza* Wajdy wiem, że z jego górnych pięter widać doskonale plac przed stoczną, a tam zamierza udać się papież podczas swojej nieco samowolnej, ale ostatecznie uzgodnionej wycieczki. Znamienny punkt dla snajpera.

- Niewątpliwie. Tylko skąd miałby się tam wziąć snajper? Na najwyższe piętra mają wstęp jedynie nasi ludzie. Osobiście sprawdziłem przepustki.

- Domyślam się, że nie mogliby wprowadzić tam swojego człowieka bez współdziałania z kimś od nas. I to najbardziej mnie niepokoi.

- Kogo szukamy? - zmarszczone czoło Dudy świadczyło o intensywnej pracy myślowej.

- Na początek zachodnioniemieckiej dziennikarki Bettiny Kolman.

Hotel świecił pustkami. Dziennikarze rozleźli się po mieście. Tajniacy flirtowali z personelem.

Ustalenie numeru pokoju Bettiny Kolman zajęło Dudzie trzydzieści sekund. Przy okazji dowiedział się, że aktualnie przebywa w swoim pokoju i przeprowadza wywiad z jakimś francuskim czy belgijskim księdzem. Gdy wjeżdżali windą na piąte piętro, Markiewicz przytoczył skrócone, ale i tak imponujące CV niemieckiej terrorystki.

- Zdumiewające, że myśmy to przeoczyli - westchnął Duda.

- Prawdopodobnie dlatego, że nasi sojusznicy ze Stasi grają już w przeciwną drużynę.

Znaleźli się przy drzwiach właściwego pokoju.

Duda zapukał. Krótko i zdecydowanie.

- *Wer is das?* - zapytała kobieta ze środka.

- *Room service* - odparł fałsetem podpułkownik.

Bettina otworzyła. Markiewicz popchnął ją tak mocno, że poleciała aż na łóżko.

Konrad wszedł pierwszy, a Jarosław, nim zamknął drzwi, dokładnie zlustrował korytarz. Generał trzymał w ręku broń i rozglądał się po apartamencie. W telewizorze przesuwwały się bez dźwięku obrazy z pielgrzymki, które emitowała telewizja lokalna. Po zakonniku, z którym miał być przeprowadzany wywiad, pozostały jedynie brewiarz i szklanka niedopitej kawy. Zastanawiał się, co mogło się z nim stać i właśnie zamierzał zajrzeć do łazienki, kiedy nagły cios w głowę odebrał mu świadomość.

Bettina była zaskoczona. Kiedy Duda uderzył swego towarzysza, wsunęła rękę pod poduszkę w poszukiwaniu broni, ale zdezorientowana, nie wiedząc, z kim ma do czynienia, nie wyciągnęła jej.

- W porządku, „Helia”-Jarosław zwrócił się do niej po rosyjsku, pseudonimem zaczerpniętym z *Mistrza i Małgorzaty* Bułhakowa.

- Jestem „Fagot”. Musiałem się zdekonspirować, ponieważ ten stary, diabli wiedzą jak, zdemaskował naszą operację...

- Nie wiem, o czym pan mówi - zaczęła niepewnie.

- Chyba słyszałaś, że „bum” się nie udało? Dlaczego? Ten dziarski staruszek udaremnił zamach i zabił „Asasella”. Na szczęście wszystko da się naprawić!

Niemka wstała - mimo przedwcześnie postarzałej twarzy zachowała młodzieńczą figurę - i popatrzyła na leżącego Markiewicza.

- Załatw go! - syknęła z nienawiścią. Duda jednak nie zamierzał tego zrobić.

- Na razie go skrupujemy. Może jeszcze okaże się użyteczny? Potrzebny będzie kozioł ofiarny.

- Kozioł już jest. Wszystko zostało przygotowane zgodnie z planem. - Otworzyła drzwi łazienki, ukazując półprzytomnego mężczyznę w sutannie leżącego obok wanny. Miał związane ręce i zakneblowane usta, ale na ich widok zaczął rzucać się jak wyciągnięta z wody ryba. - Trochę świruje, ale właśnie taki jest nam potrzebny.

- Kto to? - zapytał Duda, który znał tylko niezbędne szczegóły tej akcji.

- Ktoś idealny do odegrania roli zamachowca. Belg. Lefebrysta. Zagorzały wróg Watykanu. Nazywa się Emile Maçon, choć z masonami nic go nie łączy. W młodości służył w Legii Cudzoziemskiej. Doskonały strzelec. Z dystansu ponad kilometra potrafił trafić w sylwetkę „Pielgrzyma”. Kiedy będzie po wszystkim, „Behemot” zastrzeli go na schodach podczas próby ucieczki. Jego odciski palców znajdują się na broni, z której padnie strzał.

- Skąd go wytrzasnąłeś? - zapytał, nie kryjąc uznania.

- Okazało się to prostsze, niż myślałam. Biedny dureń uwierzył, że jakaś firma turystyczna, o której nikt nigdy nie słyszał,

w ramach akcji promocyjnej zafundowała mu kilkudniową wycieczkę do Gdańska.

- Niezłe! - z uznaniem pokiwał głową. - Zostało ci jeszcze trochę linki, żeby skrępować starego?

- Po co? Załatw go! - powtórzyła z naciskiem. - Czuję, że jest niebezpieczny.

Duda zawahał się. Był wprawdzie łajdakiem, ale nawet jemu decyzja o zamordowaniu własnego ojca nie przychodziła łatwo.

- Powiedziałem, że jeszcze się przyda. Przecież jakoś będziecie musieli się wydostać z hotelu po zamachu. - Wziął linkę i obrócił Konrada na bok. Gdyby nie strużka krwi, można by pomyśleć, że smacznie śpi.

Bettina, mocno zde gustowana, przyglądała się zabiegom „Fagota”.

- Masz kostium pielęgniarki? - zapytał ją.

- Mam!

- Załóż. Po wszystkim możecie z „Behemotem” udawać, że zajmujecie się nieprzytomnym generałem SB, który doznał udaru mózgu.

- To generał? - zdziwiła się.

- Tak, w stanie spoczynku. Pomóż mi go skrępować.

- A ty? Jak się wydostaniesz?

- Ja? - Duda omal się nie roześmiał. - Będę kierował pościgiem za wami. - Bettinę trochę zamurowało to stwierdzenie, ale Jarosław kontynuował: - „Woland” rozkazał mi was wspierać w ewakuacji i skierować śledztwo na fałszywe tory. Jeśli chcesz, pomogę ci zataszczyc Belgę na górę.

Lefebrystę osłabiło szamotanie, potulnie dał się wyprowadzić z łazienki. Pustym korytarzem dowlekli go więc do windy towarowej. Wychodząc, Duda omiół wzrokiem bezwładne ciało Konrada.

- Widzisz, jakie mam przez ciebie kłopoty, staruszk - szepnął niemal niedosłyszalnie.

*

Cios okazał się za słaby, aby pozbawić Markiewicza przytomności. Zawodowy instykt sprawił, że czując ruch za plecami, lekko się pochylił i kolba pistoletu uderzyła go pod niewłaściwym kątem. Upadł na dywan i leżał nieruchomo, pozwalając nakładać sobie więzy i kneblować usta. Kiedy zamknęli drzwi, natychmiast odwrócił się na wznak, zastanawiając się, co robić. Jego więzy zostały zrobione fachowo, a z rękami związanymi z tyłu nie mógł wiele zwojować. Chyba żeby udało mu się strącić szklankę ze stolika, a potem spróbować przetrzeć linkę o szkło... Tyle że mogło zabrać to bardzo dużo czasu.

Usłyszał szmer. Potem zgrzyt w zamku. Ktoś manipulował przy wewnętrznych drzwiach pomiędzy pokojami. Za chwilę zobaczył pochylającą się nad nim twarz Wiesi Gellman.

- Słyszałam wszystko - odezwała się. - Łotry. Całe szczęście, że zawczasu postarałam się o klucz do sąsiedniego pokoju. Podśluchałam całą rozmowę Bettiny z księdzem... Chyba podała mi w kawie jakiś narkotyk - wyjaśniała, rozsypując więzy.

W kilkadziesiąt sekund uwolniła Markiewicza. W lodówce znalazła trochę lodu i przyłożyła mu do głowy.

Dochodziła za kwadrans pierwsza. Papież zapewne jechał już na plac przed stoczną. Konrad nie tracił czasu. Błogosławił okoliczność, że jego syn całą karierę robił za biurkiem, bez praktyki w zakresie działań terenowych, nigdy nie walczył wręcz i nie ścigał prawdziwych przestępców.

Owszem, skrępował ojca, ale nawet go nie przeszukał. Wprawdzie Bettina zabrała broń, która podczas upadku wysunęła mu

się z ręki, ale pozostawili mu drugą spluwę, przytrzoną do prawej łydki. Do drugiej nogi był przymocowany tłumik. Nakręcił go wprawnie. Pozostawała jedna kwestia:

- Tylko, w którym pokoju jest snajper? - zastanawiał się głośno.

- Chyba wiem, jak to sprawdzić - oznajmiła Wiesia. - W trakcie rozmowy z księdzem ktoś zadzwonił do tej Niemki, zapewne ten „Behemot”. Oboje wiedzieli, że potrzebna będzie poprawka. Bettina kazała pozostać mu tam, gdzie jest, i „realizować drugi wariant”. Aha, powiedziała jeszcze, że „Woland” się nie odezwał, w związku z tym plan B pozostaje bez zmian.

- „Woland”? Dobra ksywka na szefa operacji - skwitował Konrad. - Miejmy nadzieję, że ten „Behemot” dzwonił z hotelu.

- Tego właśnie spróbuję się zaraz dowiedzieć.

Zadzwoniła na centralę hotelową.

- Mówi Bettina Kolman - przedstawiła się płynną niemiecką. - Mam ogromną prośbę. Pół godziny temu rozmawiałam z pewnym sympatycznym żołnierzem, z którym umawiałam się na wywiad. Czy byłaby pani tak miła i podała mi numer, z którego do mnie dzwonił? Tak. Może pani powtórzyć? Nie, proszę na razie nie łączyć. Dziękuję bardzo. - Z tryumfem pokazała Markiewiczowi zanotowany numer.

- Mamy ich!

Tego dnia dwa najwyższe piętra hotelu Heweliusz pozostawały niedostępne dla zwykłych gości. Wszystkie pokoje zajęli żołnierze sił antyterrorystycznych. Zwykle windy do tych poziomów nie dochodziły, a służbowy dźwig, który tam dojeżdżał, można było uruchomić tylko za pomocą odpowiedniego kluczyka. Wiesia jeszcze poprzedniego dnia - na życzenie Konrada - zdobyła taki właśnie kluczyk.

Na korytarzu nie spotkali żywej duszy. To zrozumiałe - wszyscy obecni tu służbowo lub prywatnie siedzieli przy oknach.

*

„Behemot” nie odczuwał zdenerwowania, raczej podniecenie, rodzaj tremy artysty przed ważnym występem czy raczej myśliwego, któremu przyszło zapolować na najgrubszego w jego karierze zwierza. Kosztowało go to sporo zabiegów. Łącznie z przyspieszonym kursem polskiego. Na szczęście języki słowiańskie są do siebie podobne. A jako Ukraińiec z Równego od dziecka słyszał polszczyznę. Do oddziału antyterrorystów w Heweliuszu dołączono go w czwartek, zaraz po tym jak złośliwa biegunka wykosiła trzech asów z grupy. Dysponował świetnymi rekomendacjami, wystawionymi przez szefa jednostki z Rzeszowa. Kiedy zorientują się, że to falsyfikat, będzie już daleko. W pierwszej wersji miał stuknąć Polaczka (nigdy inaczej nie myślał o Wojtyłę) w Lublinie, ale gdzieś trzy miesiące temu „Wolandowi” przyszedł do głowy Gdańsk. Była dziewięćdziesięciopięcioprocentowa pewność, że bomba w Motławie rozwiąże problem, ale jeśli Wojtyłę naprawdę pomagała Matka Boska... Nawet jednak Matka Boska nie zechce przecież interweniować dwa razy w ciągu jednego dnia.

Kątem oka obserwował Bettinę i Belga w sutannie. Lefebrysta trochę rozrabiał, ale dostał w ryj i teraz leżał spokojnie pod ścianą. „Niech się dziad cieszy - przejdzie do historii - pomyślał «Behemot». - A Niemka? Starszawa, ale ciągle niezła kłaczka. Dosiadłby takiej na oklep i w step...”. Rzucił okiem na zegarek - 13.05. „Nie rozpraszajmy się. Przyjemności będą później - przywoływał się do porządku. - I jeszcze ten Polak. «Fagot». Podobno figura w ichniejszym SB, ale amator w tej robocie. Widać, że się boi. Kto opanowany chodziłby tak nerwowo w kółko po pokoju i trzy razy zniknął w łazience? Ech! Jeden taki w ekipie - i pech murowany!”.

Dziś Stiepan nie zamierzał jednak dopuszczać żadnego pecha. Przeciwnie. Porażka „Asasella” dawała mu szansę, o jakiej zawsze marzył.

Celny strzał nie powinien przysparzać trudności. Lekki wiatr. „Behemot” nie był frajerem, żeby zająć pozycję tuż przy oknie, gdzie mógł go zobaczyć ktoś z zewnątrz. Wybrał stanowisko w głębi, dzięki temu stał się niewidzialny dla ewentualnego obserwatora z dołu lub z któregoś budynku. Broń umieścił na konstrukcji ze stołu i krzesel. Dodatkowo jego obecność maskowały firanki. W prześwicie między nimi widniała przestrzeń, na której powinna zjawić się ofiara.

Z dwóch odbiorników radiowych ustawionych pod ścianami dobiegały śpiewy. Retransmitowano poprzednie uroczystości tego dnia.

„Katolicy nie umieją śpiewać” - pomyślał z satysfakcją. Te pienia odgrywały jednak pożyteczną rolę - zagłuszą ewentualne dźwięki dochodzące z jego pokoju, gdyby któryś sąsiad zamierzał podsłuchiwać.

Popatrzył przez lunetę celownika. Przejechał po twarzach zgromadzonych wiernych, czując się panem życia i śmierci każdego z obecnych. Ludzi na placu nie brakowało, ale milicja utrzymywała ich w sporym dystansie od pomnika. W środku pozostawała szara łysina bruku, na który miał wstąpić papież.

Idealna sytuacja dla snajpera.

Bettina myślała o czym innym. O książce, którą kiedyś napisze. I o historii rozpoczętej w 1970 roku seriami oddanymi do robotników i zakończonej w 1987 jednym strzałem.

Rozległo się pukanie. Zmarszczyła brwi. „Behemot”, czy jak kto woli Stiepan, gestem zalecił milczenie. To mógł być ktoś ze służb.

- Kto tam? - zapytał.

- „Woland” - odpowiedział ktoś z drugiej strony.

„Chce być razem z nami w tym historycznym momencie - pomyślał snajper. - Jego prawo”.

Nakazał Bettinie otwarcie drzwi, a sam znów rzucił okiem na plac. Papież właśnie wysiadał z papamobilu. Z daleka wydawał się taki drobny, bezbronny...

Markiewicz nie ryzykował. Kiedy tylko drzwi się otworzyły, strzelił dziennikarce między oczy, a drugi strzał błyskawicznie oddał w stronę „Behemota”. Ukraińiec oberwał, ale nie na tyle, żeby nie próbować obrócić snajperskiego karabinu. Na szczęście stracił równowagę i drugi strzał załatwił sprawę.

Co ciekawe, Duda, który mógł zmienić bieg zdarzeń, niczego nie zrobił. Sparaliżowany strachem nie usiłował interweniować, nie wydobyl nawet broni. Cóż, był jedynie gabinetowym urzędnikiem.

Markiewicz, nie opuszczając broni, zbliżył się do niego. Jarosław uniósł ręce wysoko nad głowę.

- Zabijesz mnie, tato?

- Tato? - Gellmanówna, która wsunęła się do pomieszczenia w ślad za Konradem, nie wierzyła własnym uszom. Sytuacja absolutnie ją przerastała. Ale będąc z Markiewiczem, nie zwykła podważać jego decyzji.

- Nie, synu - powiedział Konrad, ale na wszelki wypadek nie opuścił broni.

Zbliżył się do okna. Doskonale widoczny Jan Paweł II znalazł się już pod pomnikiem. Ukląkł na bruku i ukrywając twarz w dłoniach, modlił się żarliwie.

Generał się odwrócił.

- Nie zabiję cię, Jarku - powtórzył. - Nie muszę. Zostawię cię tutaj z tymi trupami i z perspektywą sławy niezwykle dzielnego oficera polskiej Służby Bezpieczeństwa, który sam udaremnił zamach na Jego Świątobliwość. Nie sądzę, żeby to specjalnie doceniono

w kraju, ale za granicą... Cóż, na twoim miejscu już zacząłbym uciekać... Chociaż pewnie i tak cię dopadną. W tym fachu wybaczyć można wiele rzeczy, ale zdradę...? Nigdy.

Prawda bardzo powoli docierała do Dudy.

- Chciałem tylko być taki jak ty - wybełkotał.

- Niepotrzebnie. Inne czasy, inne konieczności - nie wierzył w to, co powiedział, dlatego dodał: - Żał mi cię, chłopcze...

- Ale dlaczego to wszystko robisz? - Jarek usiłował zrozumieć, co się właściwie dzieje. - Całe życie nienawidziłeś Boga, służyłeś komunizmowi, a teraz taka wołta?!

- Powiedzmy, że robię to z powodów osobistych - odparł niechętnie generał. - Ale teraz zajmijmy się ważniejszymi sprawami. Jeśli chcesz mieć choć minimalne szanse na przeżycie, musisz odpowiedzieć mi na jedno pytanie: kim jest „Woland”?

Młody podpułkownik pobrał jeszcze bardziej.

- Nie znam jego prawdziwego nazwiska.

- Nie chodzi o nazwisko... Ale poczekaj. To sprawa tylko dla nas dwóch... Wiesiu, możesz zająć się księdzem?

Nieszczęsny lefebrysta, Emile Maçon, ciągle leżał pod ścianą związany i zakneblowany, ale z szeroko otwartymi oczami. Niewątpliwie widział wszystko.

- Co z nim zrobić? - sucho zapytała panna Gellman, jakby dowiedziała się o otrzymaniu roli dowódcy plutonu egzekucyjnego.

- Rozwiązać, wyprowadzić z hotelu, puścić wolno.

- Ale on...

- Widział wszystko? Tym lepiej. Jeśli zachował odrobinę oleju w głowie, będzie wiedział, żeby trzymać język za zębami i jak najszybciej zapomnieć o swojej wycieczce do Gdańska.

Po raz pierwszy od lat pozwoliła sobie na uwagę:

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz?

- Tak, moja droga, wiem doskonale, jak nigdy. Poczekaj jeszcze. Nie wypuścimy go przecież bez dokumentów - powiedział, sięgając do kieszeni i wyciągając paszport znaleziony w chlebaka.

Kiedy kobieta i ksiądz wyszli, zbliżył się do Dudy. Jarosław był od niego młodszy, sporo wyższy. Gdyby chciał, bez trudu odebrałby ojcu broń, ale Konrad nie obawiał się, że „Fagot” spróbuje. Znalazł się wszak w ślepej uliczce.

- Zagrajmy w otwarte karty, synu - Markiewicz postanowił pójść na całość. - Ja też dla nich pracowałem trzydzieści lat. I właśnie skończyłem. Co do ciebie... Nie chcę wiedzieć, jak cię podeszli. Powinienem wybrać dla ciebie inną drogę kariery. To wszystko długo nie potrwa. Galilejczyk zwycięży.

- Galilejczyk?

- Mniejsza o cytaty. „Woland”. Potrzebuję „Wolanda”! Może w ten sposób uratują nasze marne życie.

Jarosław Duda mówił przez trzy minuty. Ojciec wysłuchał go w skupieniu, po czym ruszył ku wejściu.

- Nie! - zawołał Duda. - Nie możesz mnie tu zostawić. Co ja im powiem?

- Nic szczególnego. Otrzymałeś anonimowe doniesienie, że coś się tu dzieje. Zaskoczyłeś dwójkę tych drani w trakcie przygotowywania zamachu, unieszkodliwiłeś ich...

- Nie mówię o naszych. Mówię o tamtych... - wykonał nieokreślony gest.

- „Wolanda” biorę na siebie - oświadczył generał.

- „Woland” to jedynie trybik w maszynerii potężnej instytucji. Jeśli mnie dorwą, mają metody, żeby wydobyć ze mnie prawdę. Zgładzą mnie, a potem dopadną ciebie.

„Ma chłopak rację - pomyślał Konrad. - Tysiąc i jeden powodów przemawia za tym, żeby go zlikwidować”. Wiedział jednak,

że tego nie zrobi. Cóż za paradoks - ochronił papieża tylko po to, żeby ratować własne życie, a w istocie naraził je jeszcze bardziej.

- Masz jakąś metę? - zapytał.
- Metę? - Jarek nie rozumiał.
- No, bezpieczne miejsce, żeby przywarować na jakiś czas.

Podpułkownik zastanawiał się chwilę.

- Wiem, że mieszkanie kumpla na Grochowie stoi puste. Kolega do końca lipca będzie na urlopie.

- A klucze?
- Potrafię sforsować każdy zamek. A tam jest tradycyjny yale...
- Jak tylko będziesz mógł, urwij się i zadekuj. Zapuść brodę.

Nie kontaktuj się z nikim. Spróbuję przerzucić cię na Zachód i jakoś tam ustawić.

- Ale dlaczego?
- Kiedyś o tym porozmawiamy.

Oczywiście nie powinien pozwolić, żeby Duda uciekł teraz. Aż takiego zaufania do niego nie miał. A jeśli Jarek skontaktowałby się ze swymi mocodawcami, ostrzegł „Wolanda”, a wystawiając mu Konrada, próbował ocalić życie? Musiał choć trochę się asekurować.

- Niesamowite! - zawołał nagle Konrad, wskazując okno. Chłopak dał się nabrać i obrócił się we wskazanym przez generała kierunku. Wówczas ten uderzył go pistoletem. Podpułkownik stracił przytomność.

- To w ramach wyrównywania rachunków - mruknął Markiewicz i, mimo że Jarek na pewno go nie słyszał, dodał: - Żebyś wiedział, że nigdy nie podnosi się ręki na tatusia.

Jeszcze raz spojrział przez okno.

Była 13.17. Papież właśnie wszedł do swego wehikułu. Jeszcze chwila i znikł. Pozostały jedynie samotne trzy krzyże, niemy świadek historii, która nigdy się nie wydarzyła.

Pistolet, z którego zastrzelili „Hellę” i „Behemota”, wcisnął do bezwładnej ręki Jarosława. Mistyfikacja nie była zbyt staranna, ale nikt przecież nie zechce sprawdzać, czy na dłoni podpułkownika znajdują się ślady prochu. Jeszcze raz omiół wzrokiem pobojowisko, po czym opuścił pokój, starannie wycierając klamkę.

Wyszedł na korytarz. Zanim jednak doszedł do windy, zapukał do drzwi vis-à-vis dźwigu. Otworzył młody anty terrorysta. Machnął mu legitymacją.

- Weź paru ludzi - rozkazał. - Na końcu korytarza podpułkownik Duda potrzebuje wsparcia.

Niezatrzymywany przez nikogo zjechał i wyszedł z hotelu.

Wiesławę znalazł tam, gdzie się umówili - w kawiarence koło dworca.

Tłumy ze Starego Miasta spływały na północ, kierując się na Zaspę, gdzie miała odbyć się najważniejsza msza trzeciej pielgrzymki.

- Gdzie ksiądz? - zapytał krótko.
- Zaprowadziłam go na dworzec i kazałam wsiąść do pociągu.
- Jakiego?
- Jakiegokolwiek. Mimo że ciągle był naszprycowany, odniosłam wrażenie, że jego instynkt samozachowawczy działał bez zarzutu.

- Doskonale - pochwalił Konrad.

Zapanowała kłopotliwa cisza. Czuł, że nie obejdzie się bez wyjaśnień. Dotąd panna Gellman wypełniała bez zarzutu wszystkie jego polecenia, nie zadając żadnych pytań, ale jej subordynacja osiągnęła chyba swoje granice. Pierwsze pytanie zaskoczyło go jednak.

- To naprawdę jest twój syn? Po dokładnym przyjrzeniu się można rzeczywiście zauważyć spore podobieństwo...

- Niestety, Wiesiu - głucho odpowiedział generał. - Jestem pełen najgorszych obaw.

- To znaczy?

- Nie sądzę, żeby uszło mu to na sucho.

- A nam?

Przez chwilę zbierał myśli.

- To zależy - rzekł w końcu. - Nikt poza Jarkiem nie wie o naszej roli, a nie wydaje mi się, żeby mój potomek okazał się szczególnie skłonny do zwierzeń. Jesteś tu jako dziennikarka i gdyby ktoś cię przesłuchiwał, trzymaj się tej wersji. Ostatni raz widziałaś się z Bettiną rano, przy śniadaniu.

- A ty?

- Ja? - przyglądził ufarbowaną czuprynę. Przecież mnie tu nigdy nie było. Cały czas jestem na rybach w mazurskiej głuszy.

Postanowili się przejść. Do mszy na Zaspie zostało jeszcze trochę czasu, a przepustka do sektora przeznaczonych dla VIP-ów umożliwiała przyście nawet w ostatniej chwili. W dodatku Konrad odczuwał ogromne zmęczenie i ból po uderzeniu. Spacer uznał za najlepszą terapię. Przechadzkę aż do swojej kwatery, a potem sen, a jeszcze później... Wóz albo przewóz. Sprawa wymagała zdecydowanego zakończenia.

Weszli na wiadukt ponad torami kolejowymi. Po prawej stronie rozciągał się widok na stocznię z charakterystycznymi ramionami dźwigów.

- Powiesz mi, co właściwie się stało? - odezwała się kobieta.

- Może kiedyś. I wierz mi - tak będzie lepiej. Na twoją dyskrekcję oczywiście mogę liczyć?

- Jak zawsze... Chociaż - wahała się przez moment - pod jednym warunkiem.

- Jakim?

Dwadzieścia lat czekała na tę chwilę, ale nigdy nie trzymała w ręku tak mocnej karty jak dziś.

- Ożeń się ze mną! - wyrzuciła z siebie desperacko.

Ku jej zaskoczeniu nie odmówił wprost, nie zbył jej żartem, nie zmienił nawet tematu. Odpowiedział całkiem poważnie:

- Zastanowię się nad tym.

*

Do Pruszcza dojechał dobrze po piątej. Droga była wyjątkowo pusta. Wszyscy, którzy mieli przyjechać do Gdańska, już tu dotarli, a do wyjazdu nikt się nie kwapił. „Chociaż - pomyślał o księdzu Maęonie - są wyjątki”.

Uliczki mijanych osad zupełnie się wyludniły. Coś takiego w minionych latach gwarantował jedynie kolejny odcinek przygodów kapitana Klossa w telewizji albo dobry amerykański film. Tym razem do odborników przykuła ludzi msza na Zaspie. Msza - co tu ukrywać - dla Solidarności i całej antysocjalistycznej opozycji. Rozmiary nabożeństwa i rozmach ceremonii prześcignęły wszystko, co widziano dotąd podczas tej pielgrzymki. W środku gigantycznego socjalistycznego osiedla, zabudowanego koszmarowymi blokami, stanął ołtarz. Właściwie nie ołtarz, tylko gigantyczny statek przypominający najwspanialsze dzieła gdańskich szkutników ze złotego wieku, z wielkim żaglem i masztami, których zwieńczenie stanowiły krzyże. Wrażenie morskiej jednostki pogłębiał jeszcze wibrujący tłum przywodzący na myśl wzburzone fale, żywioł, nad którym admirał w bieli, znajdujący się na kapitańskim mostku, panował w sposób doskonały. Gdyby poderwał ten tłum do rewolucji, powstałemu tsunami nie dałby rady nikt na świecie. Jego kurs był jednak przemyślany, a siew głębszy, obliczony na przyszłość, która zdawała się już wyglądać spoza rozstępujących się chmur.

Markiewicz nie widział ani tego tłumy, ani żółtych chustek, dzięki którym milionowa rzesza przypominała łany dojrzewającego rzepaku - to z niego słowa papieża miały wytłoczyć olej do wzniecenia świętego ognia.

Słuchał za to transmisji przez radio, na kiepskim odbiorniku, którego nikomu nie chciało się nawet ukraść podczas kilkudniowego postoju samochodu na parkingu. Kiedy jednak głos zabrał Jan Paweł II, elektroniczny szmelnik jakby łapał dodatkową moc, tak że dźwięk rozlegał się całkiem znośnie. Generał doskonale wiedział, kto przybył na uroczystość: cały kwiat opozycji, ekstrema ekstremy; przez długi czas prywatni obywatele, opluwani przez Urbana w codziennych konferencjach, teraz paradowali jawnie, ze znaczkami w klapach, jakby zdruzgotany związek nadal rościł sobie prawo do reprezentowania tego kraju. I Wałęsa, i Jurczyk, i Rulewski, i tak uparcie ścigany przez te wszystkie lata Bujak, i Frasnikiuk, i Michnik. A gdzieś w dalszych rzędach, odsunięci od głównego nurtu, ale ciągle niebezpieczni - Gwiazda, Wyszowski, Walentyłowicz. Dawnego Markiewicza świerzbiłyby ręce, aby zgarnąć za jednym zamachem całe to bractwo pobierające żołd od CIA lub innych ośrodków antypaństwowej dywersji. Ale dziś... Dziś słuchał papieża.

Ten nauczał o pracy, podnosząc jej wymiar ludzki i moralny. Prawo do wynagrodzenia, do podmiotowości i do godności. Prawo do samoorganizacji. I do solidarności.

Wprawdzie nie mówił wprost o nielegalnym związku zawodowym, ale rzesze słuchaczy przez lata komunistycznej niedoli nauczyły się wyczuwać intencje, czytać sens między wierszami. Raz po raz zrywały się gigantyczne brawa. A przecież papież nie nawoływał do rewolucji, nie żądał natychmiastowej zmiany. Apelował o modlitwę: „Codziennie się za was modlę, tam w Rzymie i gdziekolwiek jestem, codziennie się modlę za moją Ojczyznę i modlę się

za ludzi pracy, i modłę się za to szczególne, wielkie dziedzictwo polskiej Solidarności. Modłę się za ludzi, którzy są związani z tym dziedzictwem, w szczególny sposób za tych, którym wypadało czy wypada ponosić ofiary z tego powodu. I modlić się nie przestanę, bo wiem, że to jest sprawa wielka".

Modlitwa! Na moment myśl Konrada oderwała się od tego placu i reakcji ludzi. Modlitwa? Zawsze uważał ją za coś bezsensownego, nawet wzbudzała w nim abominację. To klepanie zdrowasiek przez stare baby w kościele, to wbijanie w głowy dzieciaków słów, które miały zapadać im w pamięć bez potrzeby analizy sensu... Więc przyswajali te „jakoimy” i „zbawodezłęgoamen”. I wzywali swego Boga nadaremno, trzeba czy nie trzeba, „w pracy, w domu, we dnie, w nocy”, hołdując bardziej magii niż prawdziwej, pogłębionej wierze. Jakaż w tym wartość i co to obchodzi Boga, jeśli nawet istnieje? Z równym skutkiem można by szukać znaczenia w modlitwach odmawianych przez poruszone wiatrem młynki buddyjskie!

Teraz przyszło mu jednak do głowy, że może nie to jest najważniejsze. Że chodzi raczej o uczestnictwo, poczucie wspólnoty, łączność wertrykalną, ale również horyzontalną...

„Szkoda, że to wszystko mnie nie dotyczy” - pomyślał z żalem.

Tymczasem papież zakończył „Trzeba patrzeć w przyszłość i trzeba zachowywać siły ducha i ciała dla przyszłości”.

*

Od stacji do ustronnej alejki w zagajniku było około półtora kilometra. Kwadrans marszu dla dobrego piechura. Jeszcze na dworcu we Wrzeszczu Markiewicz obejrzał dokładnie rozkład pociągów (choć w takim dniu raczej nie obowiązywał). „Asasello” powiedział, że miał odebrać samochód bez spotykania się z kimkolwiek.

Wóz powinien stać w umówionym miejscu o 22.00, z kluczykami przyklejonymi skoczem pod karoserią. Z kolei w awaryjnym planie „Fagotowi” polecono spotkać się z „Wolandem” przy tablicy oznaczającej koniec terenu zabudowanego. O 23.00. Oba punkty dzieliło więc kilkaset metrów i sześćdziesiąt minut. Punkt wybrano trafnie - wiodła stąd najkrótsza droga do Warszawy, dawało się szybko skręcić w stronę Kaszub, kierując się ku gęstwinom Borów Tucholskich - doskonałych, aby ukryć się na jakiś czas. Z kolei jadąc na wschód, po dwóch godzinach docierało się do granicy z obwodem kaliningradzkim - najdalej wysuniętym na zachód fragmentem ZSRR. Posiadacz odpowiednich dokumentów, a „Woland” z pewnością takimi dysponował, mógł po jej przekroczeniu bezpiecznie zniknąć w ogromnym imperium.

Generał przejechał wolno alejką - jak człowiek, który pomylił drogę. Znalazł wierzbę płaczącą nad rowem z wodą. Obiecanego samochodu jeszcze nie było.

Albo „Woland”, widząc fiasko planów, rzucił się do ucieczki, zapominając o współnikach, albo postanowił przyjechać później, w ostatniej chwili. Konrad obstawiał tę drugą możliwość. Odjechał paręset metrów dalej, ukrył samochód między jakimiś rozwalającymi się budami, a potem przywarował w gęstwinie rozrośniętych krzaków, w których wnętrzu znajdowało się wygniecione legowisko, niewidoczne z zewnątrz. Sądząc po starych gazetach i poniewierających się butelkach, służyło ono menelom za stałe miejsce plenerowych libacji. Liczył, że z powodu ogłoszonej prohibicji pijaczkowie się dziś nie pojawiają. I rzeczywiście. Przez cały wieczór raz tylko zarośniętym traktem przejechała jakaś ciężarówka, która wyraźnie zabłądziła. Potem przemknęła trójka dzieciaków na rowerach, jakieś dwie staruchy wychynęły o zmierzchu. Wreszcie chłop z krową.

Konrad większość tego czasu po prostu przespał. Czujnie, jak zając pod miedzą. Budziły go najcichsze nawet dźwięki świadczące o ruchu na drodze, ale ponieważ sprawcą hałasu nie był „Woland”, ponownie zapadał w sen. W pierwszej połowie czerwca zmrok zapada późno, szczególnie tu, na północy Polski, a nawet kiedy już znikło słońce, czerwone zorze długo paliły się nad linią horyzontu, nasuwając skojarzenia z dawnymi wojnami i miastami ogarniętymi pożogą.

Jednak cała natura, w przeciwieństwie do krwistych łun, wręcz emanowała spokojem. Odzywały się żabie chóry, słychać było odgłosy jakichś ptaków, potem wiatr przywiał odległe szczekanie psa.

Najpierw pojawiły się światła. Potem wolno, bardzo wolno samochód wtoczył się na dróżkę, podskakiwał na wybojach, kolebał się na boki, a światła tańczyły niczym latarka w dłoni pijaka, tylko cudem omijając wtulonego w ziemię Markiewicza. Wreszcie pojazd stanął opodal umówionej wierzby.

Sądząc po kształtach, stary wartburg. Po krótkiej chwili zgasły światła, umilkł silnik. Nastąpiła cisza. Nikt nie wysiadał, choć za kierownicą majaczyła ciemna sylwetka. Konrad, który wcześniej sprawdził godzinę, wiedział, że dochodzi za kwadrans dziesiąta. Obawiając się, że może go zdradzić fosforyzująca tarcza, ledwie pojawiły się światła, zdjął zegarek z przegubu i schował go do kieszeni. Trwał przygotowany do akcji. Zanim ukrył się w krzakach, zmienił dotychczasowe ubranie na ciemny dres, następnie rozsmarował na twarzy szlam z rowu melioracyjnego. Paskudztwo śmierdziało okrutnie, ale dzięki temu jego oblicze stało się mniej widoczne.

Czekali. I on, i przybysz w samochodzie.

Minął kwadrans, potem drugi. Zrobiło się prawie całkiem ciemno. Markiewicz sprawdził broń (po potyczce w Heweliuszu zabrał martwej Bettinie swoją starą ulubioną spluwę) i podpełzł bliżej.

Oczekujący chyba zaczął się denerwować nieobecnością swych diabelskich kompanów i zapalił papierosa. Na moment błysk zapalniczki oświetlił wnętrze wartburga. Generała przeszedł dreszcz. Wiedział już, z kim ma do czynienia.

Upłynęło jeszcze pięć minut, po czym zgrzytnęły drzwiczki. „Woland” wysiadł z auta. Konrad myślał, że zamierza jedynie rozprostować nogi, ale szef morderczego komanda, doszedłszy do rowu, zaczął rozpinąć spodnie.

Znakomicie. Hałas wywołany przez mocną strugę ciekącego moczu zagłuszył kroki generała. Stanął za „Wolandem”. Byli mniej więcej równego wzrostu, ale Rosjanin stał niżej, co ułatwiało działanie. Markiewicz nigdy dotąd nie stosował garoty na żywym przeciwniku, ale szkolono go w tym zakresie. Jednym ruchem zarzucił linkę na szyję mężczyzny, który miał obie ręce zajęte zapinaniem rozporka, i szarpnął gwałtownie. Cienka stał od razu przecięła skórę „Wolanda”. Ten, zaskoczony, usiłował się bronić, kopać. Wywijając jedną ręką, podczas gdy drugą próbował chwycić za pętlę. Wszystko na nic. Kiedy opadł na ziemię i zaczęła się agonია, spojrzał na pochylającą się nad nim twarz człowieka, który go zabił.

I można z całą pewnością stwierdzić, że ostatnim uczuciem umierającego Griszy Ostapowicza było bezbrzeżne zdumienie.

Markiewicz nie odczuwał wyrzutów sumienia, przeciwnie - czuł się jak doktor Faust, który zabił Mefistofelesa. Poza tym - jakby by na to nie spojrzeć - działał w samoobronie. Przejrzał zawartość portfela zabitego. Znalazł w nim legitymację prasową Iwana Wasilenki, paszport Igora Radiszczewa i jeszcze parę innych dokumentów, poza tym - sporo szybko dewaluujących się złotych i około pięciuset dolarów. Nic, co mogłoby wskazywać na związek z KGB.

Dolary zabrał, żeby się nie zmarnowały. Teraz musiał zająć się inscenizacją. Obmyślił ją szczegółowo kilka godzin temu. Kanister

z benzyną czekał ukryty w gęstwinie. Najpierw zasiadł za kierownicą, zapiął pasy, wycofał samochód kilkadziesiąt metrów i ostro dodał gazu, nie przejmując się ani resorami, ani miską olejową. Tuż przed wierzbą próbował zahamować, a następnie targnął kierownicą. Drzewo na szczęście wytrzymało. Wóz wbił się w pień od strony pasażera. Pasy ochroniły Konrada przed jakimikolwiek obrażeniami. Teraz wtargał zwłoki do samochodu i przypiął je pasami na miejscu kierowcy. Trup cuchnął fekaliami, ale generał miał nadzieję, że ogień zatrze ślady. Zerwał przewód benzynowy, żeby nie pozostawić ślędczym wątpliwości co do pożaru. Potem oblał zwłoki i wnętrze wozu. Na siedzenie rzucił papierośnicę. Zapalił szluga, zaciągnął się, czego nie robił od wielu lat, i przez rozbite okno wrzucił go do środka.

Ale się hajcowało! Nie czekał, aż ogień zwabi tu jakichś okolicznych mieszkańców. Trafił do miejsca, w którym ukrył samochód. Wcześniej wybadał drogę ewakuacji, żeby nie przejeżdżać koło miejsca katastrofy.

Udało się! Mógł mówić o wyjątkowym szczęściu. Bo w jakiegokolwiek inne wsparcie nie wierzył.

13-14 czerwca, sobota i niedziela

Całą sobotę i niedzielny poranek spędził na Mazurach, łowiąc ryby w swoich ulubionych miejscach. Brały tak chętnie, jakby jeziora należały do Peweksu, a przynęta została kupiona za bony dolarowe. Trudno wyobrazić sobie bardziej komfortową sytuację dla kogoś potrzebującego alibi. Dysponował kluczami do domku przyjaciół i ich motorówką, a sąsiedzi, którzy mogliby poświadczyć jego obecność, gdyby ktokolwiek to sprawdzał, przyjeżdżali dopiero na weekendy. Oczywiście zmył farbę z włosów i zgolił idiotyczny wąs. A po drodze wrócił do swego prywatnego samochodu.

Przez cały ten czas pilnie oglądał telewizję i słuchał radia (sprzęt ten przechowywał w chronionej pancernymi drzwiami piwnicze, niedostępnej dla byle włamywacza), ale nie wspomniano ani słowem o zdarzeniach w Heweliuszu. Wedle oficjalnej wersji nic nie zakłóciło w poważniejszy sposób papieskiej pielgrzymki. Jedynie prasa lokalna podała wiadomość o tragicznym wypadku samochodu pod Pruszczem Gdańskim, ale nie ujawniono personaliów pechowego kierowcy wartburga. W każdym razie maszyna i jej kierowca spalili się doszczętnie.

Uprzedzając dalsze zdarzenia, warto zaznaczyć, że w dokumentach MSW także nie znalazła się najmniejsza choćby wzmianka o incydencie. Szczegółowe sprawozdania, które relacjonowały każde stłuczenie głowy i złamanie palca u funkcjonariusza, a nawet informowały, że dla zomowców obsługujących pielgrzymkę wyświetlono film (nomen omen *Dzień Szakala*), w tej jednej sprawie zachowały zadziwiającą powściągliwość. Owszem, dwa miesiące później specjalistyczna grupa saperów-płetwonurków wydobyla z dna Motławy wojenny niewybuch, ale również nie pojawiły się na ten temat obszerniejsze doniesienia, a reporterów prasowych po prostu nie dopuszczono do sprawy. Jeszcze w piątek podpułkownik Duda został zabrany - z powodu nagłej depresji - na leczenie do wojskowego zamkniętego ośrodka psychiatrycznego. Jego stan musiał być naprawdę ciężki, jednak służby nie wykazały się zbyt dużą starannością, ponieważ choremu w trakcie transportu udało się zbiec. W wykazach pracowników SB, które później trafiły do Instytutu Pamięci Narodowej, podpułkownik Jarosław Duda figuruje jako zaginiony 13 czerwca 1987 roku i jakichkolwiek innych adnotacji na jego temat brak.

Oczywiście Markiewicz nie ograniczył się wyłącznie do łowienia ryb i śledzenia wiadomości o wypadkach. W niedzielne

przedpołudnie zdążył jeszcze obejrzeć ostatnią mszę papieską. W Warszawie. Ktoś z władz odpowiedzialnych za negocjacje z Kościołem okazał się kompletnym idiotą. Symbolika miejsca wybranego na mszę była wręcz zdumiewająca. Ołtarz w kształcie białych organów wzniesiono na tle monstrualnej bryły Pałacu Kultury i Nauki imienia Józefa Stalina - tego pokracznego daru narodu radzieckiego dla Polaków. Plotka głosiła, że to rekompensata za Lwów i Wilno, a może jeszcze za Katyń, za zsyłki, proces szesnastu i zdradzone powstanie... (Miałby o czym szczerze porozmawiać z Griszą, tyle że kiepsko się gada z kimś spalonym na amen).

Tu, na placu Defilad, władcy PRL-u odbierali hołdy od upokorzonego narodu w trakcie pochodów pierwszomajowych - w takt dziarskiej muzyki paradowali przed trybuną honorową i górnicy, i hutnicy, i sprostytuowani luminarze nauki, i kwiat artystycznej braci, który w zamian za lojalność wobec władzy zyskiwał dostęp do najsmaczniejszych socjalistycznych konfitur. Tu w październiku 1956 roku społeczeństwo uwierzyło w mit towarzysza „Wiesława”, tędy 22 lipca 1966 roku szła Defilada Tysiąclecia, mająca przytłumić swym barwnym rozmachem zorganizowane przez episkopat obchody Tysiąclecia Chrztu Polski. Czy naprawdę wierono, że dzięki paradzie wojów Chrobrego i husarii Sobieskiego, ale bez legionistów Piłsudskiego, uda się zatrzeć istotę tysiącletnich dziejów chrześcijańskiej Polski? To właśnie wtedy Władysław Gomułka odrzucił propozycję Pawła VI, który chciał odwiedzić Polskę.

A dziś kolejny papież, którego nie można było nie zaprosić, przybył do siebie. Nagle niewidoczna i nieskuteczna stała się cała dotychczasowa propaganda, schowali się niegdysiejsi mundurowi spikerzy, zmaleli wielkorządcy...

Przemówienie Jana Pawła II w pierwszym odbiorze zawiodło Konrada. Rozczarowało chyba trochę także zgromadzone tłumy.

Spodziewano się jakiegoś silnego przesłania politycznego, jakiejś zachęty do trwania w oporze, żądania swoich praw. Tymczasem Karol Wojtyła mówił o miłości. Miłości Boga do człowieka. Miłości, która między innymi wyraża się w ewangelizacji - bardzo dużo pojawiło się w tym wystąpieniu słów o misjach na całym świecie, o męczennikach za wiarę. (Nie przypadkiem poprzedniego wieczoru Ojciec Święty modlił się na grobie księdza Popiełuszki).

„Idźcie... i nauczajcie wszystkie narody» - powtarzał Chrystusowe wezwanie z Ewangelii. - «Idźcie» - stańcie się sługami słowa Bożej Prawdy, szafarzami Bożych tajemnic, pionierami ewangelizacji. [...] Nie zapominajcie, że nasza własna, polska Ojczyzna wciąż potrzebuje nowej ewangelizacji. Podobnie jak cała chrześcijańska Europa».

Istota przesłania dotarła do Markiewicza dopiero w drodze do stolicy, kiedy siedział za kierownicą. Uświadomił sobie, że papież, jak starotestamentowy prorok, po prostu sięgał myślami dalej niż jego słuchacze. I nie bez przyczyny wygłaszał te słowa na tle socrealistycznego zabytku. Z sobie wiadomego powodu uważał, że sprawy Polski idą już w dobrym kierunku, toteż jego program stał się szerszy - obejmował całe sowieckie imperium i coraz bardziej zlaicyzowaną Europę Zachodnią. Czy chciał ją rechrystianizować przy pomocy Polaków? I czy było to możliwe?

A Związek Radziecki? Mimo pieriestrojki Gorbaczowa euroazjatycki kolos trwał pogrążony w bezwładzie. Jakieś odgłosy, choć słabe, dochodziły z Pribałtyki... Kropla drąży skałę. Może i tam miały zakiełkować zmiany?

*

Do Warszawy Konrad dotarł późnym popołudniem. Na szczęście nie musiał pchać się przez zakorkowane pielgrzymami centrum. Na Żoliborzu panowały cisza i spokój. Podjechał pod dom, który po wyprowadzce

konsula Paragwaju znów pozostawał do jego dyspozycji, wbiegł po schodkach i zauważył, że drzwi wejściowe są niedomknięte.

„O, cholera! Złodzieje? A może KGB?” - pomyślał przestraszony.

Sięgnął po broń. Jednak wewnątrz widocznie już dały się słyszeć jego kroki, bo w drzwiach ukazała się Krystyna. Była w żałobie, miała zaczerwienioną od płaczu twarz.

- Mama nie żyje! - powiedziała. - Jutro w Biłgoraju jest jej pogrzeb.

- Pojadę z tobą - zaproponował impulsywnie.

- Nie musisz. To będzie katolicki pogrzeb.

- Mimo to pojadę. Eryk i Marcin przyjechali z tobą?

- Eryk dopiero co przeszedł operację wszczepienia bajpasów i nie bardzo może się ruszać. A Marcin... Rozmawiałam z nim parę razy. Właśnie kupił dom i... Sam wiesz, pracuje na okrągło.

- Tym bardziej muszę z tobą pojechać.

Wszedł do środka. W saloniku na pełny regulator grał telewizor.

- Oglądałam ceremonię pożegnania papieża - wyjaśniła Krystyna - ale jak chcesz, zaraz wyłączę.

- Nie trzeba. Chętnie obejrzę z tobą - powiedział, sadowiając się w fotelu.

Obrzuciła go zdumionym spojrzeniem.

Gdyby mógł opowiedzieć jej, czego dokonał... Wprawdzie głównie z powodu lęku o własny los, ale również trochę dlatego, że miał dosyć tego łańcucha i kagańca, które nosił od lat.

Czy przypadek sprawił, że zasiadł przed ekranem w momencie, gdy skończyły się wystąpienia prymasa Glempa i generała Jaruzelskiego, wyraźnie zadowolonego, że Jan Paweł II nareszcie wyjeżdża? O czym mówili w trakcie długiej, blisko godzinnej rozmowy w saloniku dla VIP-ów na lotnisku, wiedzą jedynie oni sami i ci, którzy ten dialog podsłuchiwali.

Papież żegnał się, dziękował i przypominał: „Powiedziałem kiedyś, że Polska jest ojczyzną trudnego wyzwania. To wyzwanie składa się na bieg naszej historii. Ono też określa szczególne miejsce Polski w wielkiej rodzinie narodów na kontynencie europejskim oraz na całym globie”.

Zaraz potem, cytując jednego ze swych poprzedników, Jana XXIII, wspominał o czterech fundamentalnych prawach człowieka do: prawdy, wolności, sprawiedliwości i miłości.

Zauważył, że Krystyna więcej uwagi poświęca jemu niż obrazowi w telewizji. Odniósł wrażenie, że patrzy na niego tak, jakby zobaczyła go pierwszy raz w życiu.

15 czerwca 1987, poniedziałek

Pogrzeb teściowej zaplanowano na godzinę drugą. Wyjechali więc z samego rana - koło szóstej - i kierowali się na Dęblin, Lublin, Biłgoraj. Dzięki Bogu, a raczej dzięki władzy ludowej, generała nie dotyczyły żadne ograniczenia związane z benzyną.

Polska wyglądała pięknie o tej porze. Czerwiec był ciepły, zieleni wydawała się intensywna jak nigdy, a kwiaty w przydomowych ogrodach barwniejsze niż zwykle. Patrząc na tę cudowną przyrodę, odnosili wrażenie, że jadą przez normalny kraj europejski, w którym nie istnieją talony i kartki, dolar nie jest sto razy cenniejszy niż w innych krajach świata, a za kilka zielonych turecki gasterbeiter z RFN-u nie może mieć hurys, jakich sam Allah nie byłby w stanie zapewnić mu w raj.

Przez pierwsze kilkanaście kilometrów od wyjazdu z domu milczeli.

Potem Krystyna zaczęła opowiadać o swojej matce. Jej słowa układały się w piękny monolog córki. Nie przerywał, wiedział,

że mówienie przynosi jego ekszynie ulgę. Słuchał więc opowieści o sielsko-anielskim dzieciństwie, chłonał anegdoty z lat wojny, podczas której pomysłowość ojca i zapobiegliwość matki pozwoliły im przetrwać. A później przypomniało się Krystynie, jak bardzo jej mama kochała Sonię. I rozszlochała się na dobre.

Przez moment nie wiedział, co powinien zrobić. Skręcił z drogi i zatrzymał się pod kościołem.

- Idź, pomódl się! - powiedział, otwierając drzwiczki.
- Co mówisz? - z wrażenia przestała szlochać.
- Idź, pomódl się, to ci pomoże...

Weszła do świątyni, a generał spacerował po zielonym skwerku przed kościołem. Na ławeczkach wygrzewali się miejscowi emeryci. W pewnej chwili Konrad zorientował się, że nie wie nawet, gdzie się znajduje, zagadnął więc jednego z nich:

- Przepraszam, co to za miasto?
- Kurów, proszę pana. Kurów.

„Przypadek czy znowu jakiś znak, a może tylko dziejowy paradoks?” - zastanawiał się.

Zawiózł żonę do kościoła, w którym ochrzczono Wojciecha Jauruzelskiego.

Krystyna wyszła ze świątyni po kwadransie.

- Miałeś rację, pomogło.

W Biłgoraju domek rodziców Krystyny wyglądał, jakby umarł razem z właścicielką. Tynki jeszcze bardziej poodpadały. Na dachu łątami z papy uzupełniono brakujące dachówki. Okna dawnej apteki zabito deskami. Tylko powój jak kiedyś wspinał się beztrudnie, pokrywając jedną ze ścian fantastycznym kobiercem.

Markiewicz nie opłakiwał teściowej. Wśród grupki dalszych krewnych i nielicznych sąsiadów, pamiętających jego ubecką przeszłość, czuł się zdecydowanie nieswojo. Kiedy rozpoczęła się stypa

przy stołach wystawionych do ogródka, poszedł do domu, w którym czuć było starzyznę i zapach przedwojennej apteki. Jakiś impuls kazał mu najpierw zajrzeć do szaf, a potem wspiąć się na stryszek zarośnięty pajęczynami jak grotą z Wyspy Skarbów. Wiedział, że jego teściowa nigdy niczego nie wyrzucała. Ta cnota towarzyszyła jej do końca życia. Dlatego nawet się nie zdziwił, kiedy w jednym z pudeł znalazł swoją jesionkę, w 1956 roku podarowaną teściowi. Dzięki naftalinie, której zapach wypełniał pudła, oszczędziły ją mole. Niestety, kieszenie okazały się puste. Chociaż... W lewej kieszeni trafił na dziurę, a następnie, przesuwając dłońmi wzdłuż rantów, wymacał twarde pudełeczko. Bez zbędnych ceregieli jednym szarpnięciem oderwał podszewkę i po chwili trzymał w ręku różaniec. Prosty czarny różaniec, który podarował mu ponad ćwierć wieku temu dzisiejszy biskup Rzymu.

Słońce wyszło właśnie zza chmury i wpadło na stryszek snopem światła, niczym z teatralnego reflektora, oświetlając drewniane słupy, kurz unoszący się w powietrzu i szczupłe dłonie Markiewicza oplecione paciorkami z krzyżykiem.

„Ciekawe - pomyślał generał - czy jeszcze pamiętam, jak to szło?”.

- Ojciec nasz, który jesteś w niebie... - zaczął szeptać. Zaciął się przy „chleba naszego”, ale potem przypomniał sobie wszystko, łącznie ze „Zdrowaś Mario, łaskiś pełna”.

Kiedy Krystyna, zaniepokojona nieobecnością byłego męża, weszła do domu i wspięła się na pięterko, a następnie przez odrzuconą klapę wytknęła głowę na strych, przeżyła szok.

Towarzysz Konrad Markiewicz, generał Służby Bezpieczeństwa, siedział na nieoheblowanych dechach w smudze słonecznego światła i - obracając w ręku stary różaniec - mamrotał słowa modlitwy zapamiętanej z dzieciństwa.

CZĘŚĆ III

KSIĘGA ZAMACHÓW

12 lipca 1992, Vancouver

Jednym z najpiękniejszych miast świata jest Vancouver – niemal cały rok zielone, doświadcza dobrotliwego wpływu ciepłych prądów na Pacyfiku, a jednocześnie niebotyczny łańcuch Gór Skalistych oddziela tę część Kolumbii Brytyjskiej od zimnego kanadyjskiego niżu.

Tego niedzielnego popołudnia czterdziestopięcioletni handlowiec Jack Budley postanowił skosić trawnik za domem – zgrabną pokrytą sidingiem willą w dzielnicy niedaleko oceanu, w której mieszkali ludzie dobrze sytuowani. Trawnik zaniedbywany od dłuższego czasu wybujał ponad miarę, a ponieważ żona Barbara pojechała z trzyletnią Brygidą na urodzinowy kinderbal do jej rówieśniczki Betty, była szansa na uporanie się z zadaniem przed ich powrotem. Kosiarz, człowiek areligijny, nie przejmował się przykazaniem, aby dzień święty święcić. A jego sąsiedzi? Kto miałby protestować? Z lewej strony mieszkał ortodoksyjny Żyd, a posesję z prawej ciągle zdobiła tablica z napisem: „Do wynajęcia”. Słuchawki na uszach przynajmniej częściowo zagłuszały hałas. Niestety, łączyło się z tym zagrożenie. Budley nie usłyszał ani parkującego

przed jego domem jasnego wozu dostawczego, opatrzonego napisem „Czyszczenie dywanów”, ani wejścia do wnętrza willi – nikt w tej okolicy nie zamykał drzwi na klucz – dwóch wysokich pracowników firmy ubranych w robocze kombinezony. Zobaczył ich dopiero, gdy jeden trącił go w ramię.

„Musiało zajść jakieś nieporozumienie” – pomyślał. Zdjął jednak z uszu słuchawki i wyłączył kosiarkę.

– Pan Jack Budley? – zapytał większy z przybyszy, który wyglądał jak zawodowy zapaśnik.

Potwierdził, czując jednocześnie, jak lodowaty chłód rozlewa się po jego całym ciele.

– Właściwie powinniśmy zapytać: *Tawarisz pałkownik* Jarosław Duda? – dorzucił szczuplejszy, który zapewne nie zdążył jeszcze rozsmakować się w daniach serwowanych przez McDonaldy.

W tym samym momencie jakaś cuchnąca szmata spadła na twarz Jacka, kładąc kres daremnym próbom wyrwania się z niedźwiedziowatych uścisków. Zdążył jedynie wśród pozornie bezradnych kopniaków nadepnąć słuchawki, które spadły mu z uszu. Profesjoniści zauważyli jednak ten drobiazg. Jeden z nich podniósł je i schował do kieszeni.

Nikt z sąsiadów nie zwrócił uwagi na dwóch pracowników sektora pralniczego wynoszących wielki dywan z domu Budleyów. Ten sam, który pięć minut wcześniej, wnosili do środka. Teraz tylko trochę grubszy.

Basia z córką pojawiła się pół godziny później. Planowała zostać na dziecięcym party dłużej, ale Brygida zaczęła kaść i kichać, a w dodatku zrobiła się senna i marudna, więc wróciły.

Od drzwi zawołała na męża. Nie odpowiedział. Może rzeczywiście wziął sobie do serca zobowiązanie dotyczące trawnika. Z ogródka nie dobiegał jednak żaden dźwięk.

Obeszła ogród, potem dom, zajrzała do garażu. Nigdzie nie było Jacka. Kosiarka stała w połowie skoszonego trawnika, zimna kawa czekała w ekspresie, grał telewizor. Samochód stał z kluczami w stacyjce. W lodówce znajdowała się bateria piw. Wykluczone, żeby wybrał się do sklepu po papierosy, ponieważ, jak sam mówił, dawno temu rzucił palenie.

Oczywiście nie widziała powodów do paniki. Mógł na przykład zadzwonić jego wspólnik Rolf, pokazać jakiś nowo kupiony samochód albo motor i zaproponować wspólną przejażdżkę. A może wpadł do sąsiadów, żeby pomóc przy uszkodzonym zlewie? Jeśli chciał, potrafił być złotą rączką.

Kiedy jednak nie wrócił do dwudziestej, lekkie zdenerwowanie zaczęło zmieniać się w autentyczny strach. Zadzwoniła do Rolfa. Wspólnik sam czekał na telefon od Jacka w sprawie jutrzejszej dostawy. Obeszła sąsiadów, zajrzała nawet do pubu, do którego niekiedy się wypuszczał. Ani widu, ani słyhu.

A może poczuł się źle i zadzwonił na pogotowie? Jeżeli jednak wystarczyło mu sił, żeby zatelefonować, to znalazłby je także na zostawienie kilku słów. Chyba że zaraz po telefonie stracił przytomność...

Mieli wbite numery alarmowe na stałe do telefonu. Po paru minutach uzyskała pewność – nikt z tego domu nie dzwonił na pogotowie, po straż, na policję.

Policja!

Ponownie wybrała numer i łamiącym się głosem zaczęła mówić o zaginięciu męża. Powiedzmy otwarcie – zlekceważono ją.

Nie podnosi się alarmu, kiedy dorosły mężczyzna wychodzi z domu bez słowa, nawet jeśli oddała się w ogrodowych łąkach, bez dokumentów, kluczy i pieniędzy. Rutynowo zapytali o charakter interesów męża oraz o to, czy miał jakichś wrogów. Podała

adres sklepu i hurtowni, których był udziałowcem, a na pytanie o wrogów odparła przecząco.

- Jesteśmy normalnymi, ciężko pracującymi ludźmi – rzekła.
- Zajmiemy się sprawą – zapewnili.

Przez całą noc nie zmrzyła oka. Podrywała się przy każdym przejeździe samochodu, z każdym krzykiem nocnego ptaka. Ale nic.

Dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak niewiele wiedziała o swoim mężu. Pewnego dnia późną jesienią 1987 roku wszedł do jej sklepu w Toronto i chciał kupić aparat fotograficzny. Bardzo ucieszył się, że ekspedientka jest Polką, jego angielski w tym czasie pozostawiał bardzo wiele do życzenia. Miło pogawędzili przez kwadrans, póki właściciel nie pogonił jej do roboty. Następnego dnia wpadł po teleobiektyw i znów przegadali pół godziny. Trzecia wizyta okazała się pozbawiona handlowego celu, Jarek zajrzał jedynie, żeby zaprosić ją na kolację.

Romans rozwinął się bardzo szybko. Ślub wzięli na Boże Narodzenie, chrzciny Brygidy odbyły się po ośmiu miesiącach. Jeszcze przed ślubem zmienił imię i nazwisko – z Jarosława Dudy na Jacka Budleya. Indagowany twierdził, że polskie korzenie mogą stać się przeszkodą w asymilacji z kanadyjskim społeczeństwem. Żonie podał inną wersję. Był działaczem podziemnej Solidarności i z powodów politycznych musiał uciekać z kraju. Dlaczego jednak nie utrzymywał kontaktów z innymi towarzyszami walki, których w Kandzie mieszkało mnóstwo? I czemu nie chciał wracać do kraju, gdzie w 1989 roku załamał się system komunistyczny, a władzę objęła Solidarność z premierem Mazowieckim, a później także z prezydentem Wałęsą na czele?

- Kiedyś wrócimy, ale jeszcze nie teraz – obiecywał.

Nie pytała o więcej. Kochała go bardzo, poza tym imponował jej wiedzą, czułością, podejściem do córeczki.

Na razie oddalali się coraz bardziej od ojczyzny. Najpierw przenieśli się do Calgary, skąd blisko było do Edmonton, gdzie mieszkała siostra Basi – Kaśka – a potem do Vancouver.

Dalej znajdował się już tylko ocean.

Wstał kolejny dzień, a Jack się nie odezwał. Nawet gdyby go uprowadzono, porywacze powinni dać jej jakiś sygnał, zażądać okupu. A tu nic. Próbowwała śledztwa na własną rękę i odszukała dzieciaka z sąsiedztwa, który całe niedzielne popołudnie szalał na deskorolce.

Nick przypomniał sobie wóz czyścicieli dywanów, który widział przed ich domem.

Już sam fakt, że jakaś firma odwiedzała klientów w niedzielę, jawił się jako co najmniej dziwny.

Nie tracąc czasu, obdzwoiła wszystkie przedsiębiorstwa oferujące usługi w tym zakresie. Żadna nie wysyłała samochodu w ich strony. Więcej, żadna nie posiadała wozu, który przypominałby ten opisany przez chłopaka.

Ponownie zadzwoniła na policję. Tym razem wykazali więcej zainteresowania. Przyjechało dwóch detektywów. Obejrzelik dokładnie dom i ogród, wzięli dokumenty męża i jego komputer.

Ale minął kolejny dzień i nie było żadnej wiadomości. I wtedy przypomniała sobie rozmowę sprzed trzech miesięcy. Któregoś wieczora Jack zabrał ją na spacer nad morze i w trakcie przechadzki wypowiedział dziwne zdanie:

– Gdyby mi się coś stało, zadzwoń pod ten numer do Polski – i podaj serię cyfr. – Pamiętaj, nie wolno zrobić ci tego z telefonu domowego lub firmowego. Kup kartę i skorzystaj z automatu. Pamiętaj numer?

Powtórzyła go z dziesięć razy. Pytała też, jakie zagrożenie ma na myśli.

- Nic szczególnego. To tylko tak na wszelki wypadek. Po prostu czasami jestem lekko przewrażliwiony – uspokajał.

Teraz postąpiła, jak jej polecił. Kupiła kartę za dziesięć dolarów i z automatu w centrum handlowym wykręciła zapamiętany numer. Do Polski, do Warszawy. Włączyła się automatyczna sekretarka. Barbara przedstawiła się i powiedziała o zaginięciu Jarka. Potem się rozłączyła.

*

„Dobrze być przyzwoitym człowiekiem” – myślał generał Markiewicz, spacerując z psem po parku wokół Cytadeli. Pięć lat, które upłynęły od ostatecznego pożegnania z Griszą Ostapowiczem, wspominał jako najprzyjemniejszy okres w swoim życiu. Wywiązał się ze swoich zobowiązań – wziął ślub z Wiesławą, która chyba ze szczęścia i poczucia stabilizacji zaczęła błyskawicznie przybierać na wadze, oraz bezpiecznie wyprawił za granicę Jarka. Wszystko wskazywało na to, że KGB nie odkryło jego udziału w rozbięciu grupy „Wolanda”. Sowieckie służby miały przez ten czas większe kłopoty. Posypał się socjalistyczny blok. W pamiętnym Roku Ludów wpierv Polska i Węgry, potem DDR, Czechy, a na koniec Rumunia wywalczyły niepodległość. Wszechwładni dotąd sekretarze trafili na śmietnik historii, a małżeństwo Ceaușescu – nawet na cmentarz. Padł mur berliński i Niemcy się zjednoczyły. W samym Związuniu też zdrowo zatrzeszczało – ożywiły się niepodległościowe dążenia Bałtów, krócej niż inne narody sowieckie zażywających dobrodziejstw przodującego systemu, zaczęła kipieć para pod pokrywką kaukaskiego garnka, ujawniły się nawet dążenia narodów Azji Centralnej, które wciąż pielęgnowały tradycję islamu.

A sam Michaił Gorbaczow, niegdysiejszy pupil Andropowa, zapadł na syndrom ucznia czarnoksiężnika, próbując reformować

niereformowalny system. Wyzwolił moce, nad którymi nie był w stanie zapanować. W dodatku wyrósł mu poważny konkurent – Borys Jelcyn – niegdysiejszy sekretarz Swierdłowska (dawnego Jekaterynburga). Wcześniej wstawił się jedynie tym, że kazał zburzyć zabytkowy dom kupca Ipatiewa, w którym bolszewicy wymordowali całą rodzinę Mikołaja II. Teraz przelicytowywał go na polu demokratyzacji. Efekt dawał się łatwo przewidzieć. Pucz Janajewa, który w jakimś sensie stanowił realizację planów Kriuczkowa z 1987 roku – niezrealizowanych, ponieważ z niewyjaśnionego powodu nie doszło w Polsce do zamachu na papieża – w swojej odgrzewanej wersji okazał się farsą. Jeden z nieudacznych realizatorów – Borys Pugo – popełnił samobójstwo, a główny planista przewrotu – Kriuczkow – trafił pod klucz. Rozwiązano dawne KGB, a wkrótce potem przestał istnieć Związek Radziecki. Nie do wiary!

Zaskoczenie goniło zaskoczenie. Ludzie, którzy całe życie spędzili w realnym socjalizmie, przecierali oczy ze zdumienia. Ledwo bowiem kraje Europy Środkowej uzyskały suwerenność, jeden za drugim zaczęły wdrażać budowanie kapitalizmu. I to wbrew doktorom naukowego marksizmu, którzy utrzymywali, że po socjalizmie może nastąpić już tylko komunizm, a zawrócenie koła historii jest równie nierealne jak próba zrobienia z jajecznicy na powrót jajek i jeszcze doczekania się z nich kurczaków.

A jednak – jak za dotknięciem magicznej różdżki – napełniły się sklepy, waluty stały się wymienialne, paszporty – ogólnie dostępne, a cenzurę zniesiono. Oczywiście, ceną przełomu okazały się inflacja, gigantyczny wzrost bezrobocia i towarzyszący transformacji żywiołowy wzrost przestępczości, ale Konrad uważał, że się opłacało. Wkrótce również w krajach byłego ZSRR zaczęto budować kapitalizm, a wykarczowana religia powróciła do życia.

„I po co było wysadzać cerkiew Chrystusa Króla, gdy dziś trzeba ją odbudowywać?” – pytali najstarsi świadkowie epoki.

Co ciekawe, nie spełniły się żadne czarne scenariusze, tak popularne wśród funkcjonariuszy reżimu. Nie powieszono w Polsce ani jednego komucha, przeciwnie – umożliwiono im szybkie bogacenie się. Sam Markiewicz prędko zmienił się w jednego z beneficjentów nowego systemu, mimo że jedynie jako cichy wspólnik Eryka i jego synów, wznoszących domy handlowe i wykupujących za bezcen upadające zakłady.

Mógł śmiać się z własnych lęków przed Kuroniem i Michnikiem z nożem w zębach – eksprzywódcy opozycji ogromnie zaprzyjaźnili się z niedawnymi prześladowcami, pospołu z nimi pilnując, żeby władzy nad III Rzeczpospolitą nie przechwycił czarnosecinny ciemnogród.

Konrad miał niejedną grzeszek na sumieniu, ale burzyła się w nim krew, gdy widział, że nikt nie próbuje rozliczać dawnych zbrodni. Co więcej, dopuszczano do niszczenia akt SB i to w sytuacji, gdy ich kopie już dawno znalazły się w Moskwie. W Polsce Okrąglego Stołu dalej bezkarnie mordowano księży, później przyszła pora na bardziej dociekliwych działaczy... Markiewicz doskonale wiedział, jak dorwać „nieznanych sprawców”. W połowie 1990 roku nie zdzierzył i wybrał się do nowo mianowanego ministra spraw wewnętrznych, pocziwiny z „Tygodnika Powszechnego”. Nie spodziewał się spotkać jakobina, ale to, co zobaczył, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Już po paru minutach rozmowy zorientował się, że ma do czynienia z człowiekiem śmiertelnie przestraszonym. Przekonanym, że propozycje Markiewicza, który chciałby się podzielić swoją wiedzą i służyć pomocą, są prowokacją wprost z betonowego antykomunistycznego jądra SB. Zbył Konrada ogólnikami, kazał przedłożyć raport na piśmie, a jedynym efektem, który zauważył generał, było założenie podsłuchu i objęcie go inwigilacją.

Nic dziwnego, że stracił ochotę do dalszej współpracy. Wprawdzie po wyborach prezydenckich minister odszedł z całym rządem Mazowieckiego, ale Markiewicz nie darzył zaufaniem jego następców. Zbyt wiele wiedział o Wałęsie, żeby spodziewać się z jego strony przełomu.

Zdecydował się na prywatność. I nie narzekał. Zmalało również jego zainteresowanie Janem Pawłem II. Wiele wskazywało na to, że od wydarzeń w Gdańsku ich życiorysy utraciły synchroniczny charakter.

Jednak wiadomości z 12 lipca 1992 roku poważnie złączyły dotychczasowe dobre samopoczucie Konrada. Po modlitwie Anioł Pański papież oświadczył, że udaje się do kliniki Gemelli na badania i prosi o modlitwę. Co to oznaczało dla generała?

Od czasu udaru cieszył się zastanawiająco dobrym zdrowiem, a powodzenie i dużo ruchu na świeżym powietrzu sprawiały, że zwykle dawano mu dziesięć lat mniej niż miał w istocie. Rokrocznie poddawał się kompleksowym badaniom, stosował zalecaną dietę i brał środki działające zapobiegawczo na sklerozę i nadciśnienie. Na wszelki wypadek już następnego dnia po niepokojących informacjach spotkał się ze swoim lekarzem.

Zaskoczył go tą wizytą. Ostatnie badania, które zrobił Markiewiczowi przed miesiącem, wypadły doskonale – także powtórzone nie ujawniły niczego podejrzanego.

– Powiem ci szczerze, Konradzie. Jesteś zagadką medycyny – powiedział. – Jedenaście lat temu przeżyłeś ciężki udar mózgu. Po czymś takim szczęśliwcy żyją parę lat, rekordziści – dziesięć. Według badań, które przeprowadziłem, możesz dożyć setki.

– Albo paść jutro na równej drodze.

– Ja tego nie powiedziałem.

Mimo potwierdzonego naukową pieczęcią certyfikatu zdrowia niepokój generała nie ustępował. Postanowił sprawdzić

automatyczną sekretarkę. Jeszcze przed laty zainstalował takie чудо do pewnego telefonu, który oficjalnie nie istniał – to znaczy ukryty na jakimś strychu, podłączony do nieczynnego numeru, przeznaczony wyłącznie do odbierania rozmów i ich nagrywania. Markiewicz znał system pozwalający odsłuchiwać wiadomości na odległość, a następnie je kasować. Połączył się z budki i już po chwili wysłuchał tekstu wygłoszonego przez niezwykle przestraszona kobietę:

– Nazywam się Basia Budley. Mój mąż Jack, to znaczy Jarek, który podał mi ten numer, zniknął w niedzielę. Chyba go porwano. Nie wiem, co robić. – To samo powtórzono również po angielsku, a całości towarzyszyło westchnienie świadczące o głębokiej rozpaczy.

Ogary wpadły na trop! Mimo że przestało istnieć Imperium Zła, a także instytucja, która je poszczuła, pieski robiły swoje. I wiedziały, że nie odpuszczą.

Jeśli Jarosław Duda trafił w ich ręce, zapewne pękł po paru godzinach przesłuchania. Musieli już wiedzieć o nim. O roli Wiesi pewnie też.

– Wyjeżdżamy – powiedział po wejściu do mieszkania. – Znaleźli nas!

– Kiedy? – jego żona upuściła talerzyk.

– Natychmiast!

Posłuchała bezzwłocznie. Od lat wiedzieli, że taka chwila kiedyś nastąpi i byli na nią przygotowani. Walizki mieli spakowane. Musieli tylko wyjąć z sejfów komplety paszportów – prawdziwych i fałszywych.

Kiedy Wiesia pakowała biżuterię i kosmetyki, ostrożnie wyjrzał przez firankę. Przed domem nie stały żadne podejrzone pojazdy. Widocznie nie zdążyli zmobilizować ludzi.

Wyjechał z garażu, zamknął dom. W stosownym ubraniu wyglądał jak letnik wybierający się na działkę. Ruszył powoli, rozglądając się dookoła. Przyspieszył dopiero wtedy, gdy znalazł się na Woli.

- Dokąd jedziemy? – zapytała Wiesława.
- Kierunek: Berlin! – odparł, próbując się uśmiechnąć.

*

Dokumenty dla Dudy zrobiono na chybcika, opierając się na dość prymitywnych metodach fałszerstwa, takich jak przeszkrobanie D na B, a potem zdobycie za sówitą łapówkę duplikatów dowodu osobistego. Następnie Wiesia załatwiła u jednego ze swych starych adoratorów paszport dla „kuzyna”. Wizę kanadyjską uzyskał już w Sztokholmie, gdzie na jego konto w tamtejszym banku przelano z Kanady (pomógł człowiek od Eryka) dość pieniędzy, by Jarosław Duda mógł uchodzić za poważnego biznesmena. Te same pieniądze pomogły mu w pierwszych drobnych interesach w Kanadzie.

Dla siebie załatwiał papiery o wiele staranniej. Miał jednak więcej czasu. Najpierw odkupił tożsamość od bezdomnego włóczęgi wegetującego na skraju wysypiska śmieci i tak stał się Leszkiem Adamskim, później podobną operację przeprowadziła Wiesia. Upatrzyła sobie umierającą w krakowskim hospicjum alkoholicką i udając wolontariuszkę, zaprzyjaźniła się z nią. Wyrobiła duplikat rzekomo utraconego dowodu. Gdy biedna Józefa Bacher zmarła, urzędowo zniszczono duplikat, aie oryginał pozostał w rękach jej opiekunki.

Załatwienie meldunków dla pana Adamskiego i pani Bacher w miasteczku nieodległym od Warszawy nie sprawiło kłopotu, zwłaszcza że wcześniej wynajęli tam mieszkanie. Któż by wnikliwie kontrolował emerytów. Wzięli ślub w miejscowym urzędzie sta-

nu cywilnego. Później wyrobili paszporty. Dzięki zaproszeniu od jakiegoś krezusa, który potrzebował starszych ludzi – ogrodnika i kucharki – do prowadzenia domu, zdobyli wieloletnie wizy kanadyjskie. A potem pozostawało już tylko liczyć, że nigdy im się to nie przyda.

Przydało się. Choć nie obyło się bez komplikacji.

Gdzieś w rejonie Koła przyczepił się do nich samochód, zdezelowany mercedes.

Próbowali mu uciec na autostradzie za Koninem, ale się nie udało. Wóz trzymał się równo dwa, trzy auta za nimi. Przypadek? Markiewicz nie bardzo wierzył w takie przypadki. Na razie dopiero zapadał zmierzch, droga była dość uczęszczana, ale kto wie, co mogło zdarzyć się po zmierzchu. Dlatego, nie dojeżdżając do Poznania, skręcili do zajazdu znajdującego się po lewej stronie szosy, jakby zamierzali wracać do Warszawy. Mercedes zniknął. Po jakimś czasie jednak wypatrzyli go na skraju parkingu. Konrad wynajął pokój, zamówił kolację, a następnie telefonicznie zamówił taksówkę z Poznania, życząc sobie, aby stanęła po drugiej stronie drogi.

Po kolacji poszli do pokoju i nie zapalając światła, włączyli telewizor.

Zastawiali się, jakie plany mają ludzie z mercedesa, przy czym nie zamierzali czekać, aż ci je zrealizują. Wydostali się przez tylne wyjście z motelu (generał skorzystał z wytrycha), przeszli kawałek lasem i dopiero potem przebiegli ciemną szosę. Taksówka czekała we wskazanym miejscu. Kazali się zawieźć na dworzec do Poznania. Tam złapali pociąg do Wrocławia, a we Wrocławiu kupili bilety na ekspres do Berlina. Cały czas posługiwali się swoimi prawdziwymi nazwiskami. Dopiero w Berlinie jako państwo Adamscy wykupili lot do Montrealu, gdzie czekała na nich Krystyna.

Konrad wytłumaczył jej dość ogólnie, że nie będą mogli nor-

malnie się kontaktować. Zarówno ona, jak i Eryk najpewniej także zostaną objęci inwigilacją.

– Ale nic wam nie zrobią. Polują na nas – zakończył.

Pieniądzy im nie brakowało, mogli wynająć miły domek na przedmieściach Montrealu i długo jeszcze cieszyć się życiem i zdrowiem. Markiewicz uznał jednak, że musi udać się do Vancouver. Poleciał tam z przesiadką w Toronto, gdzie na liście pasażerów figurował jako Markiewicz. Pod tym samym nazwiskiem zameldował się w hotelu Blue Boy, choć przespał tam jedynie pierwszą noc.

Zdawał sobie sprawę, że Basia może być śledzona, podrzucił jej więc do sklepu bilecik, w którym przekazał plan dalszego działania. Zaproponował, aby w sobotę wybrała się do parku Stanleya i tam z córeczką wypożyczyła rower wodny. Obserwował je przez lornetkę z brzegu, a przekonawszy się, że nikt za nimi nie płynie, wsiadł na skuter wodny, wynajęty z innej wypożyczalni. Spotkali się w niewidocznej dla postronnych zatoczce. Konrad ogromnie ucieszył się na widok wnuczki.

– Jestem ojcem Jarka – powiedział na przywitanie.

– Nie musi pan się przedstawiać, podobieństwo jest ogromne – odparła Barbara.

– Zastosowałem więc zbyt kiepską charakteryzację.

– Wie pan, co może się dzieć z Jarkiem?

– Nie wiem – odparł, czując, że za bardzo nie powinien kłamać i raczej wypada przygotować młodą kobietę na najgorsze. – Podejrzewam jednak, że naszymi przeciwnikami są straszni ludzie.

– Mafia?

– Gorzej – KGB.

– Słyszałam, że KGB już nie istnieje.

– Obcięcie jednego łba nie uśmierci wielogłowej hydry.

– I nic się nie da zrobić?

- Jeśli żyje, odnajdę go.

Nie mogli za długo rozmawiać, dlatego powiedziała jej tylko, co powinna zrobić dzisiaj. Wręczył jej wielki jak cegła telefon komórkowy, który wówczas – nawet w Kanadzie – należał do nowości. Drugi egzemplarz przygotował dla siebie.

- Masz w domu sejf? – zapytał jeszcze.

Skinęła głową.

- Schowaj tam aparat i pamiętaj – będziemy używali tego sprzętu wyłącznie we wzajemnych kontaktach. Nikt nie powinien wiedzieć, że nim dysponujemy – powiedziała i znowu spojrzała na Brygidę. – Wspaniałe jest to dziecko.

- Dobre geny.

- Kto to był? – zapytała dziewczynka, która nie bardzo zorientowała się w temacie prowadzonej po polsku rozmowy.

- Wodny dziadek – odparła bez namysłu matka.

- Jak to „wodny”?

- Normalnie. Na co dzień mieszka na dnie i rozkazuje wszystkim rusałkom. Wypłynął dziś specjalnie dla nas.

- To dlaczego był całkiem suchy?

- Bo widocznie spędza urlop na lądzie.

*

Markiewicz uważał, że jest coś groteskowego w przebieraniu się za kobietę. Nie miał jednak wyboru. Początkowo zamierzał założyć strój starej Amerykanki ubierającej się jak nastolatka, stwierdził jednak, że wyglądałby zbyt wyzywająco, ubrał się więc jak starowina, która ledwo żyje. I to głównie z zasiłku pomocy społecznej. Za trzysta dolarów kupił też wóz, żądając od sprzedawcy jedynie gwarancji, że pojazd będzie na chodzie dłużej niż tydzień.

W odpowiedzi usłyszał:

- Mogę dać gwarancję na miesiąc.

To mu wystarczyło. Nie zmierzał przebywać tu aż tak długo.

Najpierw pokręcił się w okolicy domu Budleyów. Nie zauważył jednak żadnych śladów inwigilacji, żadnego tajemniczego samochodu czy podejrzanych osobników. Przystąpił więc do kolejnej fazy uzgodnionej z synową. Z Blue Boya zadzwonił do mieszkania Barbary.

- Przyjechałem z Polski i chciałbym się z panią spotkać w sprawie pani męża – rzekł.

Odpowiedziała opryskliwie, że nie zamierza się z nikim spotykać, bo ma dość kłopotów, a sprawą zaginionego małżonka zajmuje się policja. Nalegał i prosił. Na koniec dodał, że gdyby zmieniła zdanie, może szukać go w hotelu Blue Boy. W pokoju sto dwadzieścia dwa.

- Będę tu czekać całą niedzielę – powiedziała z naciskiem.
- Powtarzam, nasze spotkanie jest bardzo ważne.
- Wie pan, gdzie jest mój mąż? – zapytała.
- Liczyłem, że da mi pani wskazówkę...
- W takim razie proszę nie zawracać mi głowy. Jego poszukiwaniami zajmuje się policja – powtórzyła i odwiesiła słuchawkę.

Generał uśmiechnął się do siebie. Jeśli przeciwnik założył podsłuch w telefonie lub zainstalował pluskwę w mieszkaniu, wkrótce powinny być tego efekty.

Zadzwonił jeszcze do recepcji Blue Boya i prosił, żeby – gdyby ktoś pytał o niego – skierować go wprost do pokoju. Po czym nadal w damskim, ale nieco bardziej szykownym przebraniu zszedł do barku z widokiem na hall.

Pojawili się po dwóch godzinach. Nie musieli się przedstawiać. Po twarzach i ruchach poznał, skąd pochodzą. Ruska mafia dopiero

zaczynała się instalować w nowym świecie, ale już chętnie przyjmowała zlecenia od macierzystych instytucji.

Zauważył, że ruszyli od razu na górę, a recepcjonista, dręczony chyba wyrzutami sumienia, próbował dodzwonić się do pokoju, aby uprzedzić gościa o wizycie podejrzanych typów.

Markiewicz nie czekał dłużej, wybiegł na ulicę, omal nie łaamięc sobie nóg. (Fatalnie biega się na szpilkach). Wóz porywaczy – białą półciężarówkę, tym razem bez jakichkolwiek napisów – odnalazł tuż za rogiem. Dotknął silnika. Ciepły. Na wszelki wypadek załomotał. Gdyby ktoś krył się w środku, przedstawiłby się jako słaba kobieta, która zgubiła drogę.

Nie musiał jednak występować w roli na miarę Ireny Kwiatkowskiej. Samochód stał pusty. Pewne siebie bandziory nie zamknęły nawet drzwiczek. Wślizgnął się do środka. Pomiędzy szoferką a paką znajdowała się jedynie na wpół zasunięta firanka. Zauważył aparaturę odbiorczą – zapewne połączoną z aparaturą podsłuchową: magnetofony plus komputer. Wszystko nowe i dosyć profesjonalne.

Gangsterzy wrócili po kwadransie.

– Uciekł przeklęty ptaszek – warczał jeden, dorzucając wulgarne rosyjskie przekleństwo.

– Wróci. Zostawił ubrania i sprzęt do golenia – pocieszał tamtego kamrat. – Założyliśmy pluskwę i niech tylko otworzy drzwi, a już go mamy. Podłącz! Sprawdźmy, co tam słychać. Może właśnie wyłazi z szafy.

– W szafie go nie było – odpowiedział pierwszy i dorzucił ze śmiechem: – A do muszli klozetowej raczej się nie schował.

Szarpnął firankę.

Konrad strzelił mu w brzuch bez zastanowienia (jak dobrze, że Wiesia w bagażu przemyciła tłumiki!). Drugi strzał zabił oprycha, który siedział w szoferce.

Z tej odległości nie mógł chybić...

Olbrzym gapił się z osłupieniem na Konrada. Jedną rękę przycisnął do brzucha, na którym wykwitła purpurowa plama, drugą – zaczął niesprawnie gmerać za paskiem.

– Ani się waż! – ostrzegł Markiewicz. – Masz do wyboru trzy opcje. Walczysz – giniesz od razu. Idziesz w zaparte – wykrwawiasz się na śmierć. Gadasz – wiozę cię do szpitala.

– Będę gadał – wyjęczał ranny zbir – tylko mnie nie zabijaj.

– Gdzie jest Jack Budley?

– W domku nad Lynn Creek.

– Żyje?

– Kiedy odjeżdżaliśmy, jeszcze żył.

– Dobra, dokładny adres tego bungalowu!

Bandzior podał go bez szemrania. Generał zadał mu jeszcze pytanie:

– Ile osób pilnuje więźnia?

– Tylko jedna. To kobieta.

– Imię?

– Masza. Znaczy Mary – poprawił się błyskawicznie. – Zawieziesz mnie teraz do szpitala? – Jego twarz wykrzywił strach, kiedy zobaczył, że Konrad unosi pistolet. – Przecież obiecałeś.

– Kłamałem.

Nawiasem mówiąc, ruski gangster też kłamał. W domku czekało jeszcze dwóch ponurych zakapiorów, a w obejściu szalał pies, którego Markiewicz zneutralizował za pomocą naboju usypiającego. Pistolet z tak specyficznymi ładunkami znalazł wśród innych interesujących gadżetów w półciężarówce. Wziął stamtąd także karabin maszynowy, za pomocą którego załatwił gangsterów, zanim zorientowali się, że ktoś nagle wyrósł za tylnym oknem ich kryjówki.

Niestety, okrutnie pokaleczony Jarek nie żył od dłuższego czasu. Właściwie dziwne, że nie pozbyli się ciała, w którym już rozpoczęła się proces rozkładu.

Konrad dłuższą chwilę stał skamieniały. Dzieliło ich bardzo wiele. Były to jednak jego geny, jego kontynuacja, a przez pewien czas – jego nadzieja...

Zadzwoił do Basi, uznał, że na razie spokojnie może dzwonić na telefon stacjonarny.

– Znalazłeś Jarka?

– W pewnym sensie... – powiedział wolno, szukając właściwych słów.

Zrozumiała bez tego. Rozległ się stłumiony szloch. Odczekał chwilę.

– Strasznie mi przykro, że nie zdążyłem na czas – rzekł. – Jeśli choć trochę cię to pocieszy, wiedz, że sprawcy zostali ukarani.

Pytała o szczegóły. Odmówił odpowiedzi.

– Będzie lepiej dla ciebie, jeśli damy sobie spokój z detalami.

Potem przeprosił ją, że nie dotrze na pogrzeb Jarosława. Uprzeździł też, że odezwie się dopiero za jakiś czas.

– Muszę zadbać również o własne bezpieczeństwo.

Następnie zadzwonił na policję i łamaną ruszczyzną poinformował o gangsterskich porachunkach w domku nad potokiem. Oczywiście wcześniej zlikwidował wszystkie nagrania pochodzące z podsłuchu i skonfiskował część sprzętu, który ewentualnie mógł mu się przydać w przyszłości. Wytarł swoje odciski palców z broni użytej w akcji, automat porzucił przy zwłokach i szybko się oddalił.

Tego samego dnia, nadal jako Markiewicz, poleciał do Winnipeg. Tam parę dni poszwendował się po mieście i jako Adamski kupił bilet do Montrealu.

Cała sekwencja zdarzeń, od porwania Jarka do powrotu w ramiona Wiesławy, trwała szesnaście dni. Dokładnie tyle, ile powracał do zdrowia Jan Paweł II po zabiegu usunięcia pęcherzyka żółciowego i łagodnego nowotworu jelit. Kolejny niewytłumaczalny przypadek?

11 listopada 1993, Edmonton

Zdrowie dopisywało papieżowi przez cały kolejny rok. Może dlatego przez kilkanaście miesięcy Konrad i Wiesława ani razu nie odczuli, że są zwierzyną łowną. Nie zapomnieli jednak o tym ani na chwilę. Naturalnie, mogli się łudzić, że ich prześladowcy odpuścili, tym bardziej że Rosja pogrążyła się w odmętach kolejnej wielkiej smuty, a „siłownicy” zajmowali się głównie robieniem interesów. Najtajniejsze akta z Łubianki były do kupienia na wolnym rynku. Podobnie zresztą jak uran i pluton. To jednak nie zwalniało ich od zachowywania środków bezpieczeństwa.

Wkrótce po pogrzebie męża Basia, zgodnie z sugestią Konrada, przeniosła się z córeczką do Edmonton i zamieszkała obok siostry. Za pośrednictwem komórki utrzymywała dość częsty kontakt z Markiewiczem, zawsze przestrzegając procedury i ostrożności.

Dopiero w listopadzie 1993 roku generał zdecydował się odwiedzić wnuczkę, przy czym zachował wszelkie zasady konspiracji. Na miejsce spotkania wybrał ogromne, słynne na całą prowincję Alberta centrum handlowe West Edmonton Mall. Jeśli nawet prowadzono wrywkową obserwację pani Budley, to wyjście z dzieckiem na zakupy do hipermarketu nie powinno wzbudzać podejrzeń.

Basia popełniła tylko jeden błąd. Karygodny w skutkach. Wieczorem poprzedniego dnia poinformowała córkę o planowanym spotkaniu z dziadkiem. Brygida zorientowała się wcześniej, że ma dziadka

– podsłuchiwała, jak na spacerach mama rozmawiała z kimś przez wielką komórkę. Oczywiście obiecała, że nie powie o tym nikomu.

Tymczasem od paru miesięcy w przedszkolu, do którego uczęszczała Brygida, pracowała nowa przedszkolanka, Nadia. Rok wcześniej przyjechała z Ukrainy na zaproszenie krewnych i została w Kandzie. Potem zgłosił się do niej ktoś i zaproponował pracę w przedszkolu, a później ktoś zupełnie inny ofiarował dodatkowe wynagrodzenie za szczególną troskę o jedno dziecko. Nadieżda nie interesowała się tym, kto płaci i do czego mogą być wykorzystywane informacje. Chętnie przekazywała różne, najczęściej bezwartościowe wiadomości wyciągnięte od dziecka. Płatnika szczególnie ciekawiły dane na temat „Wodnego Dziadka”, jak mała nazywała tajemniczego rozmówcę matki. Sugestia dotycząca jego możliwego przyjazdu do Edmonton zaowocowała ściągnięciem do miasta wybitnego specjalisty o imieniu Oleg, który od pewnego czasu dekował się w Calgary i tam, oficjalnie trenując narciarstwo, czekał na sygnał.

Nadieżda zadzwoniła pod ustalony numer o 10.45 i przekazała wiadomość o planowanym spotkaniu w centrum handlowym.

O 13.05 Oleg był już w samolocie. Godzinę później inny „człowiek z Edmonton” wprowadził go w szczegóły planu. Najważniejsze, żeby śmierć „celu” wyglądała na przypadkową i nikt nie skojarzył jej z siłami specjalnymi obcego państwa, które – jak wiadomo – właśnie się demokratyzuje i odeszło od dawnych kontrowersyjnych metod, nawet wobec zdrajców i wrogów.

– Uważaj tylko, żebyś sam nie oberwał. Gość jest specjalistą w naszym fachu, a dodatkowo ma fenomenalne szczęście – zakończył listę wskazówek.

Oleg tylko się uśmiechnął – nie takich specjalistów wysłał już do piachu.

– Zróbcie swoje, ja załatwię resztę – skwitował.

Konrad zaproponował spotkanie o szóstej – w porze popołudniowego szczytu. Ruch był więc ogromny. Większe tłumy przybywały tu jedynie w piątki. I o to chodziło.

West Edmonton Mall porażał swą wielkością. To jedno z pierwszych w Kanadzie centrów handlowych zbudowanych z takim rozmachem. W środku znajdowała się nawet sztuczna laguna z plażą i palmami, służąca jako basen, na której zakotwiczone okręt piracki. Na dworze szalała mroźna zadyma, a tu panowała idylla. Ze sklepików i restauracyjek dobiegała nastrojowa muzyka, a w głównym hallu błażowały klauny w kolorowych przebraniach. Jeden żonglował piłeczkami, stojąc na gigantycznych szczudłach, drugi machał koziołki, jakby z człowieka przeobraził się w doskonale zaprogramowanego robota.

Konrad, jak miał w zwyczaju, przybył na długo przed wyznaczonym terminem i dokładnie zlustrował miejsce spotkania. Wyglądało bezpiecznie. Wszędzie kamery, ochroniarze, mnóstwo ludzi. On sam z siwą bródką i równie śnieżną czupryną mógł uchodzić za mikołaja w cywilu.

W sklepie z zabawkami kupił wielkiego pluszowego renifera.

Basię i Brygidę wypatrzył koło statku pirackiego. Pomachał im radośnie...

– Nie tak sobie ciebie wyobrażałam – powiedziała jego synowa. – Dobrze, że przynajmniej można poznać cię po głosie.

– „Wodny Dziadek” się przebrał – cieszyła się Brygida, tuląc do siebie mechate zwierzątko z rogami.

– Co się mówi, gdy dostaje się taki piękny prezent? – zwróciła jej uwagę matka.

– Dziękuję.

Wyglądało na to, że nikt się nimi nie interesuje, ale Markiewicz dla pewności zadał Barbarze kilka pytań związanych z bezpieczeństwem.

- Nie, ani przez moment nie odniosłam wrażenia, że jesteśmy śledzone.

- Chcę lody – powiedziała Brygida.

Stanęli w kolejce i rozmawiali o różnych błahostkach. Nagle wybuchła awantura – jakaś kobieta chciała się przepchać, ktoś ją obsztorcował, tłum zafalował, w rezultacie czyjś łód kapnął na marynarkę Konrada.

- Przepraszam – rzucił sprawca nieszczęścia, młody chłopak w dżinsach z rozczochraną czupryną.

- Nic nie szkodzi – odparł Markiewicz, sięgając po chusteczkę. W innej sytuacji pewnie zwróciłby uwagę na cudzoziemski akcent niedorajdy, a także zimne jasnoniebieskie oczy, ale za bardzo był zaabsorbowany wnuczką.

Kupili lody i poszli dalej, obserwując, jak do grupki błaznów dołączyła jeszcze para trefnisiów z torbami sportowymi na ramionach. Przy perfumerii Barbara stwierdziła, że musi coś kupić (jak się okazało – wodę po goleniu w prezencie dla teścia).

- Idźcie cały czas prosto, ja was dogonię – rzekła.

Poszli więc.

- Siusiu – zapiszczała dziewczynka po kilkudziesięciu krokach.

- Poradzisz sobie sama?

- Oczywiście, tylko mi nie ucieknij.

Odprowadził ją do drzwi toalety, a potem zaczął się rozglądać. Nadal nic ciekawego. Zdjął marynarkę i przypatrywał się plamie. Wyglądała nieładnie, w dodatku wydzielala jakiś dziwny zapach. Trudno – wyczyści się albo wyrzuci. Założył ją ponownie...

I w tym momencie stało się.

Tknięty przecuciem podniósł głowę i zobaczył, jak dwójka nowych klaunów w błazeńskich maskach wyciągnęła z toreb pistolety

maszynowe. Z tej odległości trudno było rozpoznać markę, ale wydawały się bardzo podobne do izraelskich uzi. W pierwszej chwili uznano to za kolejny kawał.

Raptem rozległa się odległa eksplozja, potem druga i w supermarkecie zgasły wszystkie światła.

„Co do cholery?” – pomyślał Konrad.

Z miejsca, gdzie stały błazny, wytrysnęły strumienie ognia. Huk strzałów i krzyki ludzi wypełniły centrum. Konrad padł w miejscu, gdzie – jak zapamiętał – mogła osłonić go drewniana ława. Tymczasem rozprysła się płyta odgradzająca lagunę i cały hall zalało gorące, tropikalne powietrze znad basenu. Część ludzi rzuciła się na ziemię, większość jednak usiłowała uciekać.

Zabójcy prażyli na ślepo we wszystkich kierunkach.

„Kto to jest? Jacyś fanatycy? Ćpuny, którym odbiło z powodu głodu narkotycznego? Pewno jedno i drugie” – przynajmniej połowa mózgu Konrada pracowała racjonalnie na pełnych obrotach. I ta połowa podpowiadała, że takie zbiegi okoliczności po prostu się nie zdarzają. A zatem jaki cel miał ten chaotyczny atak? Naraz w całym tym zgietku wyłowił jeden pojedynczy strzał. Tuż koło niego śmignęła kula i odłupała kawał słupa. Gdyby nie chroniła go ławka, już byłoby po nim. Przeturlał się w prawo i natrafił na jakąś leżącą kobietę. Przepraszając, przetoczył się nad nią. Kolejny strzał. Kobieta zawyła z bólu. Pozbył się wątpliwości – polowano na niego. Reszta to jedynie nagonka. Poderwał się na równe nogi i pognął tam, gdzie zaczynał się rząd sklepików. W rozbłyskach niekończących się wystrzałów całe wnętrze przypominało upiorną dyskotekę. W jednym z rozbłysków zobaczył swoje odbicie w witrynie i kogoś, kto wyglądał jak snajper, zdaje się, z goglami na podczerveniu.

„Widzi mnie w ciemności, skubany” – pomyślał gorączkowo Konrad.

Kolejny strzał trafił go w lewe ramię, ale zdążył wpaść do sklepu. Znalazło tam schronienie mnóstwo ludzi. Miał nadzieję, że zniknie w tłumie. Następnym strzałem świsnęła jednak znów tuż obok niego.

Przykucnął, zastanawiając się nerwowo: „Jak on rozróżnia mnie od innych?”.

I naraz przemknęła mu myśl niczym błyskawica. Lody! Ten zapach... Musiał być w nich jakiś specyfik, którym zabójca lub jego wspólnik go naznaczył! Niezły pomysł. Kiedy zginie, zostanie uznany za jedną z przypadkowych ofiar chaotycznej strzelaniny.

Nie podnosząc się z klęczek, ściągnął marynarkę i wyrzucił ją na lewą stronę.

Ostrożnie wstał.

Kanonada umilkła. Klauni przestali strzelać i zapewne rzucili się do ucieczki. Snajper też najwyraźniej czekał. Gdzie był? Przed sklepem, już wewnątrz? Dokoła dały się słyszeć płacze, jęki, nawoływania... Wszędzie panował koszmarny bałagan. Ktoś zadbał, aby uszkodzić lub wyłączyć światła awaryjne.

Markiewicz zaczął się cofać i trafił na manekina, który się przewrócił. To podsunęło mu pewną myśl. Znów ukląkł, nałożył marynarkę na kukłę i ostrożnie ją podniósł.

Bach! Bach! Bach! Zabójca czaił się już nie dalej niż pięć metrów.

Trzy strzały dosięgły manekina, który – dodatkowo pchnięty przez Konrada – przewrócił się na ziemię tak, jak powinien upaść śmiertelnie trafiony człowiek.

Generał liczył na to, że zabójca zachowa się jak profesjonalista i sprawdzi, czy cel na pewno nie żyje.

Usunął się na bok. Jediną bronią, jaką dysponował, był nóż sprężynowy. Nieprzydatny, jeśli zabójca nosił kamizelkę kuloodporną.

Przypomniał sobie jednak masywnego chłopaka z lodami i był prawie pewien, że pod rozpiętą kurtką miał tylko sweter.

Znów zaczął się ruch w sklepie, ludzie skamieniali po strzałach teraz się zerwali, szukając drzwi wejściowych. Jak rozpoznać zabójcę w ciemności i takim tumultie? Pomógł mu nos. Mężczyzna, który przeciskał się pod prąd spanikowanych ludzi, pachniał prochem.

„Teraz albo nigdy!” – pomyślał Konrad. Czując, że snajper go mija, podniósł się, objął go lewą ręką, przewyciężając potężny ból, i – jak ktoś poruszający się po omacku – ustaliwszy orientacyjnie, gdzie może znajdować się gardło, pociągnął szeroko. Charakterystyczny posoka zalewająca mu palce świadczyły o tym, że się udało.

Wyszedł ze sklepiku. Nagle zapaliły się awaryjne światła, a centrum wypełniły jęki i krzyki. Usłyszał płacz Brygidy, później odnalazł Basię. A potem zemdlał.

*

W szpitalu w Edmonton wytrzymał ledwie dwa dni. Tak jak papież, który tego dnia potknął się podczas audiencji i spadł z kilku stopni, doznając urazu stawu barkowego. Ojciec Święty natychmiast skomentował upadek z właściwym sobie poczuciem humoru, mówiąc do zgromadzonych w watykańskiej auli pracowników FAO: „Upadłem, ale nie zostałem zdegradowany”. Po czym pozdrowił ich lewą ręką.

Masakra w West Edmonton Mall okazała się bardziej widowiskowa niż tragiczna. Można uznać za cud, że zginęły tylko cztery osoby, w tym snajper w goglach na podczerwień, któremu ktoś, kto nigdy się nie ujawnił, fachowo poderżnął gardło w sklepie z damską odzieżą. Tożsamości samego snajpera też nie udało się ustalić. Na pewno – a tak twierdzili ci, z którymi miał styczność

podczas pobytu w Calgary – był Słowianinem, a zatem Rosjaninem, Ukraińcem, Serbem, Czechem... Może Polakiem?

W każdym razie nazwisko, które podał, lecąc z Calgary do Edmonton, okazało się fałszywe (jak również to wpisane do księgi gości hotelowych). Żadnych dokumentów ani w pokoju hotelowym, ani przy denacie nie odnaleziono. Jego liniami papilarnymi bardzo zainteresowali się Amerykanie, którzy przyjechali aż z Langley obejrzeć trupa. Niestety, Amerykanie niechętnie dzielą się informacjami – nawet z sojusznikami.

Bez trudu natomiast ustalono personalia klaunów – dwóch ćpunów znanych miejscowej policji, dotąd uważanych za niegroźnych. Jaki diabeł w nich wstąpił, że nagle postanowili się tak bawić? Skąd wzięła się kasa, którą przy nich znaleziono? W jaki sposób zdobyli broń? Te pytania pozostały bez odpowiedzi. Po fajerwerkach w centrum handlowym obaj walnęli sobie na mecie po królewskim strzale i kiedy w starej przyczepie za miastem znalazła ich Kanadyjska Królewska Policja Konna, byli zimni jak Labrador w styczniu.

Świadczyło to, że poza zabójcą w mieście znajdował się ktoś jeszcze, kto koordynował akcję. Dlatego Konrad nie czekał na poprawiny i szybko dał drapaką ze szpitala, by okrężną drogą wrócić do domu.

– Byłeś niesamowity. Będę się za ciebie codziennie modlić – obiecała Barbara, kiedy znów skontaktował się z nią przez telefon.

– I ja też – dostyszał dochodzący z boku głosik Brygidy.

– Że też chce ci się tak bawić na stare lata! – skomentowała jego wyczyny Wiesława, która kolekcjonowała wszelkie doniesienia prasowe na temat masakry w Edmonton.

– A co miałem robić?! – odpowiedział Konrad, przekonany bardziej niż kiedykolwiek, że przeciwnik nigdy mu nie odpuści.

28 kwietnia 1994, Montreal

Nigdy nie dowiedział się, w jaki sposób go namierzyli. Popętnił błąd, pozostając zbyt długo w Kanadzie i nie zmieniając po raz kolejny tożsamości? Planował do końca 1994 roku, najpóźniej na początku 1995 przenieść się do Australii, zaszyć się w tamtejszej głuszy i żyć jak kangur, czy raczej jak miś koala. Niestety, zabrakło czasu.

Być może trafili na jego ślad po drobiazgowym sprawdzeniu wszystkich Polaków, którzy przybyli w tym czasie do Kanady, co naturalnie wymagało wtyczek w urzędzie imigracyjnym. Istnieje też prawdopodobieństwo, że wyłapano jakiś przepływ środków z firmy Eryka, mimo że szły one zazwyczaj przez Szwajcarię, Liechtenstein, Wyspy Normandzkie i Kajmany. Albo po prostu mieli szczęście. Zapewne gdyby państwo Adamscy zrezygnowali ze swej polskości – nie prenumerowali gazet, nie kupowali polskich książek i kaset z telewizyjnymi programami – pożyliby dłużej. Pewnie w końcu też by ich dopadli, ale zabrałoby im to więcej czasu.

W połowie kwietnia 1994 roku przenieśli się do nowego domku na wzgórzu, skąd rozpościerał się widok na szeroko rozlaną Rzekę Świętego Wawrzyńca, i spędzali tam większość czasu. Nie mieli znajomych, choć z sąsiadami starali się utrzymywać sympatyczne stosunki.

Wiesława okazała się dobrą żoną. Wyrozumiała, czuła, a poza tym, mimo że rozpierała ją wrodzona gadatliwość, jego jednego potrafiła słuchać. Wprawdzie znacznie utyła, przez co jego apetyt na seks spadł do minimum, ale to, co z czasem zaczęło ich łączyć, było czymś więcej niż przyzwyczajeniem i przywiązaniem.

Dwudziesty ósmy kwietnia 1994 roku przypadał w czwartek, a od wydarzeń w Edmonton generał nie przepadał za czwartkami.

Mimo to wybrał się do miasta, żeby zajrzeć do swojej skrytki pocztowej i odebrać paczkę najświeższych gazet z Polski. Wolał, żeby nikt nie znał jego domowego adresu.

Wiesia, która uwierzyła w teorię o długowieczności chudych, od pewnego czasu walczyła z nadwagą. Stała się bywalczynią fitness dubu, budząc tam podziw nie tylko ze względu na wiek, ale także z powodu zaciętości w ćwiczeniach. Walka o szczupłą sylwetkę skłoniła ją również do powrotu do porzuconego nałogu. Zaczęło się od dwóch papierosów dziennie, a obecnie kopciła jak za młodych lat. Czasami jeździli do miasta razem, jednym samochodem, ale nie stanowiło to reguły, ponieważ zwykle Konrad wracał do domu wcześniej, a ona szła jeszcze na zakupy.

Pozostawali wtedy zwykle w kontakcie telefonicznym. Dawne komórki o wielkości cegły zastąpiły już dużo poręczniejsze ericssony.

Tego dnia wybrali wariant oddzielny. Markiewicz, wracając z poczty, zaszedł jeszcze do pobliskiego pubu na jedno piwo. Gromadzili się tam miejscowi Polacy i choć raczej nie wdawał się w dyskusje polityczne, lubił tu, na obczyźnie, posłuchać ojczyściej mowy. Nawet jeśli okraszano ją siermiężnymi wulgaryzmami.

Już od wejścia zauważył dziwny nastrój wśród bywalców okupujących stoliki z widokiem na telewizor.

- Stało się coś? – zapytał.
- Papierz miał wypadek – odparł barman, nalewając mu małe jasne.
- Żyje?
- Oczywiście. Staruszek przewrócił się w łazience. Jakieś skomplikowane złamanie, ale już się nim zajęli.
- Czyli nic groźnego?
- W tym wieku wszystko może być groźne – zauważył filozoficznie wytatuowany na całym ciele matros.

Markiewicz wypił piwo, zapłacił i szybko wyszedł. Doświadczenie nauczyło go, żeby nie lekceważyć najmniejszych nawet przypadłości Karola Wojtyły.

Zadzwoił do żony. Nie odbierała.

Połączył się z fitness dubem.

– Och, dziś nie pracujemy z powodu małej awarii wody – wyjaśniła instruktorka. – Pańska żona wpadła tu na krótko i wyszła przed kwadransem.

Znaczy, pojechała do domu. A telefon? Zdarzało się, że zapomniała go naładować.

– Spokojnie – mruknął do siebie. – Wpierw rozważmy wszelkie możliwe zagrożenia.

Sprawdził samochód. Nie znalazł żadnych podejrzanych instalacji ani śladów po włamaniu. Już dawno zamontował swój subtelny system zabezpieczeń. Mimo to czuł irracjonalny strach, przekręcając kluczyk w stacyjce. Nic się jednak nie stało.

Jeśli więc nie wóz, to z pewnością dom. Biorąc pod uwagę metodę zastosowaną w Edmonton, gdzie strzelanina ćpunów kryła jedynie zamach na niego, należało się liczyć z czymś podobnym. Wybrano by nie strzał z ukrycia, ale na przykład nieszczęśliwy wypadek.

Zadzwoił do sąsiadów. Pana Morleya złapał dopiero pod komórką. Jechał do miasta i mogli się nawet minąć.

– Ale przedtem byłeś w domu, Bob?

– Oczywiście.

– A nie widziałeś przypadkiem, czy ktoś kręcił się koło mego domu?

– Co pół godziny rzucam okiem, tak jak proszę.

– I co?

– I nic. To znaczy jakieś dwie godziny temu zauważyłem wóz pogotowia gazowego, ale już odjechał.

Serce skoczyło mu do gardła. Wycisnął wszystkie siły ze swe go forda, złamał wszelkie możliwe przepisy drogowe, ale w piętnaście minut, a nie tradycyjne pół godziny, dotarł do domu. Samochód Wiesi stał już na podjeździe. Chciał szybko podjechać, ale na ulicy jakieś dzieciaki grały w badmintona, więc musiał zahamować. Zaraz zobaczył żonę. Stała już na schodach z nieodłącznym papierosem w ustach i gmerała w torebce w poszukiwaniu kluczy.

– O Boże, nie!

Nacisnął klakson.

Odwróciła się, poznała go, pomachała wesoło i weszła do mieszkania.

Wybuch dało się słyszeć w promieniu kilku mil. Dom zmienił się w kulę ognia. Podmuch rzucił dzieciaki na trawnik i obsypał odłamkami samochód Konrada.

A potem zrobiło się przeraźliwie cicho.

6 października 1996, Jerozolima

Są takie chwile, kiedy obudzisz się z drzemki, odnosi się wrażenie, że jawa stanowi dalszy ciąg marzeń sennych. Często zaraz potem okazuje się, że było to tylko kolejne piętro snu. Pewien znajomy Konrada, obieżyświat poznany w Peru, twierdził, że zdarzyło mu się przechodzić pięć takich pięter, za każdym razem w przekonaniu, że to już jawa.

– Najbardziej bałem się, gdy na przedostatnim poziomie dowiedziałem się, że nie żyję.

Różnica między tym, co przeżył ów globtroter, a tym, czego doświadczał Markiewicz, pozostawała znacząca. Generał wiedział, że mimo wszelkich pozorów otaczająca go rzeczywistość jest jawą,

a jego życie zaraz dobiegnie końca. I nawet nie dowie się, czy to samo spotkało starego mężczyznę z Watykanu.

W swojej zdającej się nie mieć końca podróży dotarł właśnie do Jerozolimy. Spełnił tym samym prośbę Wiesławy.

– Po śmierci – mawiała nieraz – chciałabym zostać spalona. Marzę, żeby moje prochy rozsypano w świętej dolinie Cedronu, którą wy, chrześcijanie, nazywacie Doliną Jozafata.

– Dlaczego akurat tam?

– Żeby mieć dobry punkt obserwacyjny, gdy trąby archaniołów wezwą was wszystkich na Sąd Ostateczny.

Marzenie Wiesi o spopieleniu częściowo spełnił anonimowy terrorysta, który otworzył zawory i wypełnił ich dom gazem, niczym balon braci Montgolfier. Konradowi pozostało jedynie zebranie nielicznych szczątków do plastikowej urny i przywiezienie ich do Izraela.

Nie pojechał najkrótszą drogą. Wybrał najdłuższą! Od dawna planowali wspólną podróż dookoła świata. Zrealizował ją sam. Z plastikową urną. Jeśli żona nie mogła towarzyszyć mu ciałem, pragnął, aby była obecna duchem. Przeważnie przysyłał popielnicę w pakunku nadawanym na bagaż, kiedy urna trafiała do bagażu podręcznego, wzbudzała nieodmiennie zaciekawienie celników, a niekiedy – na przykład w Chinach – kazali przesiewać jej zawartość.

Mówi się, że podróżowanie jest drugą naturą człowieka. Odkrywanie nieznanych lądów i eksploracja odległych krain marzyło się Markiewiczowi od wczesnego dzieciństwa. Długo tego marzenia nie realizował. Owszem, sporo jeździł w latach osiemdziesiątych, ale głównie po Europie. Dopiero teraz zdecydował się na wyprawę życia, z której – jak sądził – niekoniecznie uda mu się powrócić. Z całą powagą liczył się z taką możliwością. Wiek robił swoje, a wrogowie zapewne nie zrezygnowali. Jeśli czegoś żałował, to minionej

młodości. Gdyby cofnął się w czasie, mógłby wspiąć się na Czołomungmę lub choćby Kilimandżaro, przemaszzerować pieszo przez dżunglę Borneo bądź z psim zaprzęgiem przemierzyć Grenlandię. Fantazją pozostała Sierra Pacaraima, tajemniczy płaskowyż między Gujaną a Wenezuelą, na której sir Arthur Conan Doyle zlokalizował *Świat zaginiony*. Konrad jako siedemdziesięciosześcioletek – niezależnie od tego, jak dobrze wyglądał i jak się czuł – skazany był na komfort pięciogwiazdkowych hoteli i luksus utartych szlaków przemierzanych w klimatyzowanych samochodach. A jeśli nawet wychylał się z owego bezpiecznego kokonu, wiedział, że zawsze może się schować.

Toteż całe ryzyko dotyczyło głównie kwestii, czy – a raczej kiedy – go dopadną? Czy w trakcie tej niezwyklej podróży prześladowcy trafili na jego trop? Nie miał na to dowodów. Raz popsuły się hamulce w wynajętym wozie, awaryjnie lądował jego samolot, zdarzył się wybuch na promie, dopadło go ostre zatrucie pokarmowe w hotelu, znalazł również kobrę w swoim bucie. Jednak żadnego z tych incydentów nie dało się jednoznacznie przypisać spiskowi wiadomych sił.

Dwadzieścia dziewięć dni trwał pobyt Jana Pawła II w szpitalu wiosną 1994 roku. Mniej więcej tyle samo czasu zajęło Konradowi zdobycie nowych dokumentów, tym razem niejakiego Svena Johanssona, Kanadyjczyka, ale o szwedzkich korzeniach, który w rzeczywistości zmarł jako niemowlę przed pół wiekiem. Papiery z zadziwiającą żywotnością (w przeciwieństwie do Kanadyjczyka) znalazły się na wolnym rynku i za odpowiednie pieniądze można by załatwić sobie za ich pomocą nawet emeryturę.

Generał nie znał ani słowa po szwedzku, gdyby jednak przyszło mu spotkać się z jakimś rodakiem Karola Gustawa, zamierzał twierdzić, że pochodzi z kompletnie zamerykanizowanej

rodziny. O napotkanie ewentualnych krewnych też się nie kłopotał – Johanssonów jest w świecie prawie tyłu, co Kowalskich.

Resztę spraw też pozafatwiał. Do zrealizowania polisy ubezpieczeniowej, kiedy już Adamski zostanie formalnie uznany za zmarłego, upoważnił Basię Budley, która trzy dni po eksplozji przybyła z Edmonton i doskonale odegrała komedię pogrążonej w głębokim żalu synowej. Przybyli również Eryk i Krystyna. O tym, że uczestniczyli w mistyfikacji, a Konrad przeżył, dowiedzieli się od Barbary już po pogrzebie. Przez cały ten czas przy pomocy synowej (i za sprawą komórek naturalnie) ukrywający się Markiewicz zrobił wiele dla zmylenia przeciwnika. Opublikowali nekrolog, w którym z rodziną Adamskich żegnali się przyjaciele. Urny (obie puste) przewieziono do Edmonton, gdzie powstał piękny nagrobek obojga. Wykorzystując ciągle istniejącą tożsamość Markiewicza i konta, zadbał o zabezpieczenie swych finansów. A potem ruszył w świat już jako Johansson. Przez maj i czerwiec zwiedził zachód i południe Stanów Zjednoczonych, w lipcu relaksował się na Karaibach, a w sierpniu – na Galapagos.

Kolejne miesiące spędził w Peru, Brazylii i Wenezueli. Nowy Rok 1995 witał w Chile na Ziemi Ognistej, potem przemieścił się do Afryki Południowej. Odwiedził RPA, Namibię i Zimbabwe. Widział niesamowite zachody słońca nad Wodospadami Wiktorii, odpoczął na Seszelach, wziął udział w rajdzie po słynnych rezerwach Kenii i Tanzanii, a w ugandyjskich górach – koło jeziora Kiwu – spotkał goryle.

Siedemdziesiąte piąte urodziny obchodził w Australii w Surfing Paradise, niedaleko Brisbane. Potem Nowa Zelandia, Fidżi, Samoa, Tahiti, Nowa Gwinea, Hawaje. Całą zimę grzał się w słońcu na indonezyjskiej wyspie Bali, robiąc stamtąd wypady do Malezji, Wietnamu, Kambodży i Tajlandii. Gdy znudził go klimatyzowany hotel

nad basenem, przez trzy miesiące podróżował po subkontynencie indyjskim. Przez Nepal dotarł do Tybetu, spłynął w dół Jangcy, podziwiając zmiany, które z wolna zaczęły ogarniać Państwo Środka. Zwiedził Japonię i Alaskę. Nie zakończył jednak pętli w Kanadzie. Jesienią 1996 roku dotarł na niespokojny Bliski Wschód i tak znalazł się w Jerozolimie – mieście trzech wielkich religii i zderzenia cywilizacji.

Od pewnego czasu zastanawiał się, co robić dalej? Gdzie ewentualnie osiąść?

Nie miał pojęcia, że decyzję w tej sprawie podejmie ktoś inny.

Szóstego października obudził się nagle z przekonaniem, że lada moment zdarzy się coś niesłychanie ważnego. Hotel, który mu polecono, był drogi i podobno stuprocentowo bezpieczny, mimo że mieścił się w arabskiej części Jerozolimy.

Zaprzeczeniem tego poczucia bezpieczeństwa wydawał się smagłolicy mężczyzna, który wszedł bez pukania i spokojnie obserwował, jak podróżnik budzi się, otwiera oczy... Drugi intruz jak cień wyrósł koło okna, trzeci stał w drzwiach łazienki. Jak się tu znaleźli? Przypomniał sobie dzisiejszy obiad, po którym ogarnęła go ogromna senność. Ani chybi, dodali mu coś do posiłku. Dlaczego jednak nie zabito go we śnie?

To jasne. Chcieli, żeby wiedział, że umiera. Próbował znaleźć w pościeli broń, ale pistolet – jego nieodłączny towarzysz – zniknął. Wzrok generała zderzył się z twardym spojrzeniem Araba. Wyczytał w nim śmierć! Zanim Konrad zdołał wstać, wspólnicy Palestyńczyka podbiegli do łóżka, sprawnie unieruchomili mu ręce i nogi, dowódca przyduśił go poduszką.

Piękny, naturalny zgon starego człowieka. Bez żadnych śladów.

Naraz odechciało mu się walczyć. Podobno w chwilach najwyższego zagrożenia ludzie zyskują niesamowite moce, których

istnienia wcześniej nawet nie podejrzewali. Markiewicza owładnęła rezygnacja. Wiedział, że za chwilę umrze. Chciał, żeby to nastąpiło jak najszybciej.

„Szkoda papieża” – sam się zdumiał, że w takim momencie myślał przede wszystkim o swym „bliźniaku”.

Pac! Pac! Pac!

Nacisk na twarz zelżał, choć nadal coś ciężkiego gniotło mu pierś. Odrzucił z twarzy poduszkę i zorientował się, że smagłolicy napastnik leży na nim martwy, z oczami wybałuszonymi w niemym osłupieniu. Nie żyli również dwaj pozostali.

– Lepiej stąd chodźmy – powiedział po angielsku mężczyzna w sportowym dresie, którego w pierwszym momencie też wzięła za mużulmanina. – Mówiąc wprost: wiejmy!

Konradowi nie trzeba było dwa razy powtarzać. Ubrał się, chwycił podróżny neseser i zbliżył się do drzwi.

– Okno! – zakomenderował wybawca, odkręcając tłumik ze swego magnum.

Na zewnątrz znaleźli drabinę przeciwpożarową, która po rozciągnięciu dosięgła ziemi. Na dole czekał samochód z kierowcą. Pojawił się jeszcze jeden Izraelczyk – pewnie będący obstawą pierwszego.

Ruszyli z piskiem opon.

– Nie zdążyłem jeszcze panu podziękować – wydusił wreszcie na wpół ogłupiały generał. – Uratował mi pan życie. A przy okazji – z kim mam przyjemność?

– Nazywam się Gabriel – odparł mężczyzna.

– Archanioł Gabriel?

– Żałuję, ale nie.

– Czemu w takim razie zawdzięczam ocalenie?

– Mojej mamie – wyznał szczerze Izraelczyk.

Tymczasem kościółek, który mijali, przypomniał Markiewiczowi najważniejszą dla niego kwestię. Wojtyła!

- Co z papieżem? – zapytał.

- A co ma być? – Gabriel wzruszył ramionami. – Nie występował ostatnio jako bohater żadnej sensacji.

Zajechali do ładnego białego domku, otoczonego przez gaj cyprysów. Weszli do chłodnego hallu, gdzie czekała na nich starsza siwa kobieta.

Rysy i sylwetka zmieniły się bardzo, ale takich oczu się nie zapomina.

- Hanna. Hanna Blomberg – wybełkotał.

Nie wiedział, co zrobić, jak się zachować, ale kobieta podeszła i ucałowała go jak brata.

- Mego syna już poznałeś – zaczęła. – Mam nadzieję, że dasz się zaprosić na skromny obiad.

- Znakomicie mówisz po polsku – zauważył.

- A jak mam mówić? To będzie zawsze mój pierwszy język. Jidysz nigdy nie poznałam, a hebrajskiego nauczyłam się dopiero tutaj.

Jeszcze raz zapytał o papieża. Hanna okazała się lepiej poinformowana od syna. Rzeczywiście, papież znów znalazł się w klinice Gemelli. Media mówiły o rozpoznanej chorobie Parkinsona, ale później okazało się, że chodziło o dawno odkładaną operację wyrostka robaczkowego. Po latach, wspominając to wydarzenie, Konrad zauważył, że jego Gabriel okazał się lepszy od papieskiego chirurga, ponieważ podczas jednego zabiegu pozbył się aż trzech wyrostków.

Zamachowcy należeli do jednego z wojowniczych odłamów organizacji Hamas i figurowali na czarnej liście Izraela, ale tę operację wykonali na obce zlecenie.

Na zlecenie (choć tym razem swej matki) działał także Gabriel – wysoki oficer (Konrad nigdy nie dowiedział się, jakiego stopnia) izraelskiego wywiadu.

– To oczywiście, że Mossad wie wszystko, ale jak wpadliście na trop przygotowywanego na mnie zamachu? – indagował generał.

Gabriel nie wykazywał chęci do zwierzeń, ale jego matka, od paru lat wdowa po szanowanym izraelskim polityku, zrobiła sporo, żeby się przełamał. W rezultacie wyjaśnił, że o przybyciu Markiewicza wiedzieli, od kiedy w Australii złożył podanie o wizę turystyczną.

– A jak odgadliście, że Sven Johansson to ja?

– Zabawne, ale większość czarnej roboty odważyło za nas KGB – uśmiechnął się Gabriel. – Tak się szczęśliwie złożyło, że jakiś czas temu zbiegł do nas wysoki funkcjonariusz tego resortu, który teraz zmienił nazwę na FSB. Opowiadając o wielu różnych operacjach, wspominał, że przed laty pracował jako zwierzchnik niejakiego Ostapa Griszyna i nadzorował sprawę pewnego renegata – generała Konrada Markiewicza. Zrelacjonował, co zrobiłeś w 1987 roku. Dla mamy, która śledziła twoją karierę od lat, był to miód na serce.

– Nigdy nie mogłam się pogodzić z myślą, że człowiek, który uratował mi życie, ryzykując własne, zdecydował się na tak haniebną służbę w PRL-u – rzekła Hanna. – Wszystko odkupiło jednak to niezwykle zerwanie z reżimem... Zawsze zastanawiałam się, dlaczego?

– Chyba po prostu dojrzałem do takiego kroku – Konrad nie chciał zdradzać prawdziwego motywu swych działań.

– Rozumiesz więc – kontynuował Izraelczyk – że od twojego przylotu do Lod zawsze towarzyszył ci ktoś z naszych. A kiedy do akcji przystąpiło tych trzech typków z Hamasu, osobiście

wkroczyłem do akcji, a przy okazji pozbyłem się trójki zagorzałych wrogów mojego państwa. To wszystko.

– Czuj się u nas jak u siebie domu! – dodała Hanna.

Hospitalizacja papieża trwała dziesięć dni. Markiewicz pozostał w Ziemi Świętej trochę dłużej. Zwiedził Jerozolimę, był nad Morzem Martwym i wspiał się do twierdzy Masada. Odwiedził Betlejem i Megiddo, gdzie w przyszłości – według Apokalipsy świętego Jana – ma się rozegrać finalna bitwa dobra ze złem.

Przede wszystkim spełnił obietnicę złożoną żonie. Udał się na Górę Oliwną, odwiedzając po drodze Getsemani – miejsce, w którym pojmano Jezusa Chrystusa – a potem stanął na stoku. Przed nim rozciągał się widok na wzgórze świątynne, gdzie podczas Sądu Ostatecznego zasiądzie Bóg Ojciec, żeby sędzić żywych i umarłych. Powiadają, że w tym dniu pojawią się nad doliną dwa mosty – żelazny i papierowy. Grzesznicy wybiorą żelazny, który zawali się pod ich ciężarem, sprawiedliwi zaś bezpiecznie przejdą po papierowym do Krainy Wiecznej Szczęśliwości.

Konrad otworzył urnę i czekał na podmuch ciepłego wiatru od strony Synaju.

– Żegnaj, Wiesiu!

Dziesiątego dnia jego pobytu Hanna wydała uroczystą kolację. Nazajutrz zamierzała wybrać się z Konradem do Ejlatu nad zatoką Akaba, aby przez tydzień wygrzewać się w słońcu.

Gabriel spóźnił się mocno na posiłek, ale na jego twarzy malował się wyraz tryumfu.

– Możesz wracać do domu – oznajmił Konradowi.

Markiewicz nie wierzył własnym uszom.

– Jak to? – wybełkotał. – Dorwą mnie tam w kilka godzin!

– Powiedzmy, że daliśmy naszym znajomym z Moskwy propozycję nie do odrzucenia. Dysponujemy pewnymi informacjami,

których wykorzystanie może zrujnować kariery kilku bardzo ważnym ludziom ze służb. Nie ujawnimy ich, a w zamian oni dadzą ci spokój. I tyle.

– Czy możemy im wierzyć? To przecież kłamcy i mordercy!

– Hanna była mocno sceptyczna.

– Tak, mamó. Możemy, a nawet musimy. Oni mają zdecydowanie więcej do stracenia. A bez odrobiny zaufania w naszej robocie, nawet w stosunku do wrogów, ten świat już dawno przestałby istnieć.

2 kwietnia 2005, Wileńszczyzna

Ileż spokoju kryje się w takich małych miasteczkach, nawet niezbyt odległych od metropolii. Życie płynie w nich w wolniejszym rytmie, urozmaiconym jedynie przez święta kościelne i rodzinne. Gdy zapadnie wieczór, okna mieszkań rozjaśniają się poświatą telewizorów i – poza zakochanymi – tylko nieliczni szwendają się po uliczkach. Szczekają psy, czasem w oddali przejedzie jakiś pociąg.

Oczywiście, zdarzają się takie dni, kiedy ustalony porządek bywa zakłócany, odzywają się dzwony kościoła, a ludzie wylęgają na ulice. Jak wówczas – 2 kwietnia.

Podobno w miarę starzenia się postrzegamy biegnący czas jak coraz szybciej płynącą rzekę. Mało się dzieje w naszym życiu, doznania są coraz słabsze, wino nie smakuje tak jak kiedyś, piękne dziewczyny nie wzbudzają dawnego dreszczu w lędźwiach, ruchy stają się coraz powolniejsze, tymczasem szybkość owego nurtu ciągle się wzmacnia. Poranek, wieczór, znów poranek. Tydzień, miesiąc, rok... I tak rzeka życia – w młodości leniwie rozlana, pełna łach i zakoli – teraz przyspiesza, zwięża się, aby efektywnym wodospadem wpaść w ocean mgły.

Dziesięć lat przeleciało bardzo szybko.

Gabriel powiedział prawdę, a jego rozmówcy dotrzyмали obietnicy. Nikt nie nękał Konrada w jego żoliborskiej enklawie, co nie oznacza, że się nudził. Póki w Kanadzie żyli Eryk i Krystyna, utrzymywali regularny kontakt, który stał się intensywniejszy, gdy zaczęli korzystać z Internetu i Skype'a. Z Basią i rosnącą jak na drożdżach Brygidą widywał się co najmniej dwa razy w roku. Dziewczynka spędzała też zawsze miesiąc w/akacji w kraju przodków. Mazury, Bałtyk, Bieszczady, Sudety, Tatry – dziadek potrafił za każdym razem znaleźć inne magiczne miejsce, pełne rozmaitych atrakcji. Postanowiono, że w 2006 roku dziewczyna podejmie studia na Uniwersytecie Warszawskim.

Nie stracił również kontaktu z Hanną i jej synem. Gabriel zaczął odwiedzać kraj, w którym jego przodkowie żyli przez setki lat. I zakochał się w nim.

Jedyną bolesną porażkę, którą poniósł Markiewicz, stanowił Marcin, który od wyjazdu z kraju w 1980 roku oddalał się od ojca coraz bardziej. Konrad nigdy nie dowiedział się, dlaczego tak naprawdę syn przestał go kochać. Fach, który uprawiał, stosunek do matki, romans z Majką? A może jego syn był przede wszystkim wygodnym egoistą zapatrzonym w siebie i w swoje przyjemności? Nigdy się nie ożenił, ponieważ pochłonięto go robienie coraz większej kariery. Ta kariera skończyła się 11 września 2001 roku w czarnym leju, który powstał w Pensylwanii po upadku na ziemię boeinga 757, który za cel obrał podobno Biały Dom. Czy Marcin należał do tych, którzy w ostatniej chwili zerwali się do walki z porywaczami? Nie sposób tego dociec.

Jednak mimo tych wszystkich kontaktów i znajomości zwykle Konrad pozostawał sam. Nie żałował tego – miał więcej czasu na myślenie.

Na starość, wraz z poczuciem nieuchronnego zbliżania się kresu dni, coraz bardziej interesował się rzeczami ostatecznymi, czytał świętych doktorów Kościoła i filozofów dwudziestowiecznych – Mouniera i Kołakowskiego. Kiedy ukazał się *Tryptyk rzymski* Jana Pawła II, nauczył się go na pamięć.

Różaniec, który otrzymał od młodego księdza w Lublinie, towarzyszył mu we wszystkich podróżach. Raz, gdy zostawił go na lotnisku w Paryżu z bagażem podręcznym, udał zasłabnięcie, a kiedy samolot zawrócił na lotnisko i przybyła po niego karetka, uciekł pielęgniarzom i odnalazł zgubę.

Czy oznacza to, że on – ateista – uwierzył w Boga? Trudno udzielić jednoznacznej odpowiedzi. Raz wierzył, raz nie wierzył. Bywało, że chodził na skwerek koło kościoła Świętego Stanisława Kostki. Stawał w bramce, czasem parę kroków dalej. Nigdy jednak nie wszedł do świątyni. Czyżby bał się, że sklepienie kościoła przysypie bezbożnika?

A może się wstydził.

W rocznice uprowadzenia Popiełuszki i na Wszystkich Świętych zapalał znicz na grobie księdza Jerzego. Przede wszystkim interesował się jednak Janem Pawłem II. I jego zdrowiem.

Przyznawał, że jest w tym jakaś niepojęta niesprawiedliwość. On – łotr – ukończył osiemdziesiątkę i nadal był czerstwy i zdrowy, podczas gdy życie jego „bliźniaka” przypominało coraz bardziej Drogę Krzyżową. Bolało go, gdy Karol Wojtyła cierpiał.

Wiele razy zastanawiał się, dlaczego jego Najwyższy Zwierzchnik mu tego nie oszczędził. Przecież mógł. Nie takich rzeczy dokonywał. Patrzył na coraz bardziej drżącą rękę, na twarz obrzmiałą, w której tak trudno dawało się rozpoznać dawne dziarskie oblicze demiurga najnowszej historii. Płakał w tę tragiczną środę, gdy papież podszedł do okna, wziął mikrofon, ale nie zdołał wykrztusić ani słowa.

Markiewicz nie wierzył w moc modlitwy, ale się modlił. Modlił się za papieża. I nie łączył już tego z własnymi losami. Zależało mu, żeby Jan Paweł II żył jak najdłużej, ponieważ potrzebował go świat, Polska i on sam... Ale stan biskupa Rzymu stale się pogarszał.

Wreszcie generał nie wytrzymał. W Wielki Piątek pod wpływem impulsu wsiadł do pociągu i wyruszył do Wilna, a stamtąd pojechał taksówką do swego miasteczka, gdzie wynajął pokój w zajeździe. Nie odwiedzał tych stron od sześćdziesięciu pięciu lat. Ale uważał, że właśnie tam powinno zamknąć się koło jego żywota. Nie istniał jego/dom, nie zostało ani śladu po drewnianej szkole... Nie żył już nikt, kto mógłby go pamiętać. Odnalazł za to na miejscowym cmentarzyku zarośnięty chwastami grób matki i brata. Wypielił go starannie. I czekał. Wszystkie sprawy doczesne uporządkował. Majątek, nie taki mały, zapisał Brygidzie, chociaż sporą jego część przeznaczył na rozmaite organizacje charytatywne, a zwłaszcza – Fundację „Życ z chorobą Parkinsona”. Otoczył opieką ludzi chorych i cierpiących. Sam nie brał już żadnych leków i jedynie czekał.

W motelowym pokoju miał telewizor, który odbierał Program I TVP. Wieczorem 2 kwietnia oglądał *Pana Tadeusza* w reżyserii Andrzeja Wajdy, ale nie potrafił się skupić. Może dlatego, że wcześniej widział ten film w kinie.

Projekcję przerwano o 21.37.

Nie musieli podawać komunikatu. Lodowata dłoń ścisnęła jego serce.

Papież odszedł do Domu Ojca.

Konrad padł na kolana i trwał z zalaną łzami twarzą przed niewielkim ekranem telewizora jak przed Najświętszym Sakramentem.

„Moja kolej!” – pomyślał.

Po pięciu minutach zorientował się jednak, że ciągle żyje. Nic mu nie dolega. Z niewiadomego powodu reguła działająca od rodzin ich obu przestała obowiązywać.

Zaczęły bić dzwony. Wybiegł na ulicę i dołączył do grupki ludzi spieszących do kościoła. Drzwi świątyni zastali zamknięte. Pukali i zapewne wywaliliby je z zawiasami, gdyby nie pojawił się młody wikary, najwyraźniej wyrwany ze snu. Potem modlono się, a młody ksiądz na życzenie zgromadzonych odprawił mszę. Nawet nie wiedział, czy dobrze robi, ale taka była wola ludu bożego – Polaków, Litwinów, Białorusinów, tworzących współczesną populację miasteczka.

Gdy nabożeństwo dobiegło końca, Markiewicz podszedł do kapłana.

– Chciałbym się wyspowiadać.

Wikary popatrzył na niego jak na wariata.

– Proszę przyjść jutro, będzie ksiądz proboszcz – odparł kiejską polszczyzną.

– Ja muszę wyspowiadać się dzisiaj!

– Dlaczego?

– Bo dzisiejszej nocy umrę!

Ksiądz popatrzył głębiej w oczy staremu człowiekowi i ujrzał w nich taką determinację, że aż się przeraził.

– Ale ja jest Litwinem. Kiejsko znam polski – próbował się tłumaczyć.

– A rosyjski ksiądz zna?

– Znam.

– To wyspowiada mnie ksiądz po rosyjsku.

Wikary westchnął zrezygnowany. Czuł powracającą senność, ale nie miał ochoty walczyć ze staruszką i jego obsesjami.

Senność pierzchła zresztą bardzo szybko.

– Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus – zaczął niepewnie penitent, jakby przypominając sobie dawną lekcję. – Ostatni raz byłem u spowiedzi siedemdziesiąt trzy lata temu. W tym kościele.

Ksiądz rzucił zdumione spojrzenie na postać po drugiej stronie krzesełek, ale nic nie powiedział. Z seminarium zapamiętał, że nawet wariatów należy wysłuchiwać cierpliwie. Zwłaszcza ich.

Spowiadający się jednak z pewnością do nich nie należał. Skończył osiemdziesiąt pięć lat, jak twierdził, a mimo to odznaczał się jasnym umysłem, niewiarygodną pamięcią i wypowiadał się bardzo precyzyjnie. Ani krzty starczej demencji.

Słuchał zatem młody syn niepodległej Litwy tej zadziwiającej spowiedzi wysokiego oficera polskiej Służby Bezpieczeństwa. Penitent mówił o kłamstwach, zbrodniach, morderstwach.

– Jestem wielkim łotrem – powtarzał Konrad Markiewicz.
– Zabijałem, cudzołożyłem, kłamałem, bluźniłem, krzywdziłem ludzi... I jeszcze mam czelność błagać o Boże Miłosierdzie!

Opowiedział też o przedziwnym związku łączącym go ze zmarłym papieżem, o zamachach i finale w Jerozolimie. Momentami młodemu Litwinowi wydawało się, że słucha jakiejś sensacyjnej powieści. Tylko że nikt dzisiaj nie pisze takich powieści. W dodatku barwność i wiarygodność opisu wykluczała możliwość, że spowiadający się wszystko to sobie zmyślił lub uroił.

Penitent nie potrafił zrozumieć tylko jednego, dlaczego papież zmarł, a on nadal żyje. Przypuszczał, że dostał dodatkowy czas na uregulowanie relacji z Bogiem. I właśnie to czynił.

Trudno powiedzieć, ile dokładnie trwała ta spowiedź – godzinę, może dwie. Dla wikarego czas przestał się liczyć.

Konrad doszedł wreszcie do końca. Wypowiedział formułę:

– Więcej grzechów nie pamiętam. Żałuję za nie szczerze, a ciebie, ojcze duchowny, proszę o rozgrzeszenie.

Litwin milczał.

– Wiem, że nie powinienem prosić o rozgrzeszenie – dodał generał – ale skoro nawet łotrowi na krzyżu wybaczone...

– Nie o to chodzi – odpowiedział ksiądz. Głos mu drżał. Może nawet płakał. – Rzecz w tym, że mnie nie wolno... Grzechy, które pan... – słowo „syn” wobec człowieka starszego o pół wieku nie mogło przejść mu przez usta – które pan mi wyznał, są takiego kalibru, że ani ja, ani nawet ksiądz proboszcz nie możemy... Tylko biskup.

– Słyszałem, że na łożu śmierci nawet zwykły ksiądz ma prawo udzielić absencji.

– Pan przecież nie umiera! Jeśli pan się zgodzi, jutro pojedziemy do Wilna, do biskupa. I jestem pewien, że osiągniemy pomyślne rozwiązanie.

– Dobrze – odpowiedział Konrad. – Jestem księdzu bardzo wdzięczny za cierpliwość. A czy znalazłby ksiądz jeszcze czas, żeby... Żeby odmówić ze mną *Credo*? Pamięć nie do końca mi służy, poza tym teraz tak to się pozmieniało...

Klęknęli przed ołtarzem.

– Wierzę w Boga Ojca Wszchemogącego, Stworzyciela nieba i ziemi...

Wikary, suflując tekst mężczyźnie, który powtarzał go skwapliwie, doznawał przedziwnych uczuć. Oto modlił się obok niego ktoś, kto – jak sam utrzymywał – przeżył ponad siedemdziesiąt lat w ateizmie, w tym wiele lat agresywnym, a teraz... Teraz wydawał się człowiekiem wiary tak głębokiej, że aż kapłanowi w głowie się zakręciło. Czy to cud? I w jakim momencie pojawił się ten staruszek? Przed kilkoma godzinami Vytautas sam znajdował się na skraju utraty wiary. Z powodu dziewczyny nosił się z zamiarem rzucenia szaty duchownej. Ale teraz... Czuł mętlik w głowie.

Podał Konradowi laseczkę i odprowadził go do drzwi kościoła.

- Proszę przyjść jutro o jedenastej. Pojedziemy do Wilna.
- Przyjdę na pewno – odparł Markiewicz i ruszył skrajem drogi w stronę zajazdu.

Duchowny w zamyśleniu zamykał świątynię, kiedy naraz rozległ się ryk silnika.

Na drodze pojawił się ogromny tir – niczym cerber zerwany z łańcucha w królestwie cieni – pojazd lekceważył wszelkie ograniczenia prędkości. Vytautas zobaczył sylwetkę mężczyzny z laską w sнопie reflektorów. Myślał, że starszy pan zdoła uskoczyć na trawnik, a wóz będzie bardziej trzymał się środka drogi.

Usłyszał – i chyba nawet fizycznie poczuł – uderzenie. Ciało nawróconego grzesznika przeleciało kilka metrów w powietrzu i upadło na asfalt, a samochód przeciął jak nóż uśpione miasteczko i znikł w mroku. Vytautas zdążył zauważyć jedynie brak numerów rejestracyjnych i rudą czuprynę prowadzącego kierowcy. Dobiegł do mężczyzny leżącego na poboczu. Staruszek był półprzytomny, ale poznał go.

– *Ego te absolvo*! – zawołał młody wikary tak głośno, że mogli usłyszeć go wszyscy święci.

Konrad uśmiechnął się. Księdzu wydawało się jednak, że nie jest to uśmiech skierowany do niego, ponieważ uwolniony od brzemienia grzechów starzec patrzył gdzieś dalej i wyżej...

KONIEC

Wawer, lato 2009

WYKAZ ŹRÓDEŁ

- S. Dziwisz, *Świadectwo*, TBA Komunikacja Marketingowa, Warszawa 2007.
- Jan Paweł II, *Dar i Tajemnica. W pięćdziesiątą rocznicę moich święceń kapłańskich*, Wydawnictwo św. Stanisława BM Archidiecezji Krakowskiej, Kraków 2005.
- Jan Paweł II, *Pamięć i tożsamość. Rozmowy na przelomie tysiącleci*, Znak, Kraków 2005.
- Jan Paweł II, *Pielgrzymki do Ojczyzny. Przemówienia, homilie*, oprac. Janusz Poniewierski, Znak, Kraków 2006.
- Jan Paweł II, *Tryptyk rzymski*, Znak, Kraków 2004.
- Kalendarium życia Karola Wojtyły*, oprac. A. Boniecki, Znak, Kraków 1983.
- J. Kwitny, *Człowiek stulecia. Życie i czasy papieża Jana Pawła II*, tłum. B. Sławomirska, Fijorr Publishing, Warszawa, Chicago 1998.
- Operacja „Zorza II”. Służba Bezpieczeństwa i Komitet Wojewódzki PZPR wobec wizyty Jana Pawła II w Trójmieście (czerniec 1987), oprac. S. Cenckiewicz, M. Kruk, Instytut Pamięci Narodowej, Gdańsk-Warszawa 2008.
- Trzecia pielgrzymka Jana Pawła II do Ojczyzny*, oprac. A. Szafrąńska, Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1988.
- G. Weigel, *Świadek nadziei. Biografia papieża Jana Pawła II*, tłum. M. Tarnowska, Znak, Kraków 2005.
- J. Woy-Wojciechowski, *Jan Paweł II i medycyna*, Oficyna Wydawniczo-Poligraficzna „Adam”, Warszawa 2007.

SPIS TREŚCI

Część I

Bliźniak 13

Część II

Kilka dni jednego miesiąca 131

Część III

Księga zamachów 225



Kolejna znakomita, chociaż zupełnie inna niż poprzednie, wyjątkowa powieść Marcina Wolskiego. Frapująca political fiction. W roli głównej: James Bond w polskim wydaniu. Sześćdziesięcioletni Konrad – generał UB, zaangażowany w najbardziej zakulisowe działania władz PRL – niespodziewanie uświadamia sobie, że jego pogmatwany życiorys stanowi swego rodzaju kontrastowe odbicie drogi życiowej Karola Wojtyły – Jana Pawła II. Odtąd życie funkcjonariusza całkowicie się zmienia, zwłaszcza że dociera on do informacji o planowanym zamachu na Papieża podczas jego wizyty w Polsce... Żywa narracja, akcja trzymająca w napięciu od pierwszej strony aż do ostatniej frazy, zaskakujące rozwiązania. A w mistrzowsko naszkicowanym tle polska rzeczywistość, od lat dwudziestych XX wieku do pamiętnego 2 kwietnia 2005 roku, i Jan Paweł II, którego charyzmatyczna osobowość przemienia naszą historię.

ISBN 978-83-60853-01-6



9 788360 853016

scan - lesiojot

Patroni medialni

TVP 1

WPROST

FRONDA

książki